

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/179

1962



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

- N. ARŻAK: **CZŁOWIEK Z MINAP'u**
P. HOSTOWIEC: **DZIENNIK PODRÓŻY**
K. A. JELEŃSKI: **NOWE OBLCICZE MARKSA I MALTHUSA**
A. KAWAŁKOWSKI: **ALTERNATYWA**

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski:	<i>Na Rubikonie nie ma mostu</i>	3
K.A. Jeleński:	<i>Nowe oblicze Marksa i Malthusa</i> ..	15
Paweł Hostowiec:	<i>Notatnik nieśpiesznego przechodnia</i> ..	25
N. Arzak:	<i>Człowiek z MINAP'u</i>	49

WIERSZE

Marian Czuchnowski:	<i>W fabryce</i>	66
---------------------	------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Aleksander Kawalkowski:	<i>Alternatywa</i>	75
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	93

KRAJ

—	<i>Jak mały lizus wyobraża sobie ko-</i> <i>munizm</i>	101
—	<i>Sprawa Gustawa Grudzińskiego</i> ..	103

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

—	<i>Jak likwidowano rewizjonizm</i>	107
---	---	-----

KRONIKA KULTURALNA

K.A. Jeleński:	<i>Georges Bataille</i>	116
Zygmunt Turkiewicz:	<i>Wystawy polskie w Londynie</i>	120

KSIĄŻKI

Florian Śmieja:	<i>Nowe przekłady z hiszpańskiego (I)</i> ..	125
Teresa Snores:	<i>Antologia współczesnej myśli pol-</i> <i>skiej</i>	129
Michał Sambor:	<i>„Trzeźwość w mistycyzmie”</i>	135
Benedykt Heydenkorn:	<i>Mniejszości narodowe w Polsce</i> ..	141
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> ..	144

W. Gniatczyński, J. Jenne, Sz. Kamiński, St. Korboński, Mel- vin J. Lasky, M.K. Pawli- kowski, Br. Przyłuski, Sławoj- Składkowski, K. Szternal, P. Wandycz, Al. Wasung, K. Zademski:	<i>Listy do Redakcji</i>	146
—	<i>Errata</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień – Septembre 1962

INSTYTUT



LITERACKI

DARY DO BIBLIOTEKI „KULTURY”

W związku z naszym apelem w nrze 7/8 „Kultury” skierowanym do czytelników o uzupełnienie braków w naszej bibliotece czasopism otrzymaliśmy następujące dary:

Tadeusz Święcicki (Paryż) — 16 książek i broszur oraz 8 luźnych egzemplarzy pism emigracyjnych i przedwojennych.

Adam Ciołkosz (Londyn) — roczniki i pojedyncze numery polskiej prasy socjalistycznej na emigracji po 1939 roku.

Cz.* Tarnowski (Quackenbruck) — dwie książki.

Redakcja „Robotnika Polskiego” w W. Brytanii — uzupełnienia roczników za ostatnie lata.

WPLĄTY NA FUNDUSZ KULTURY

Dr Z. Marek, Bardwell Park, N.S.W. (Australia)	27,50 NF
Jan Piórkowski, Passaic, N.J. (Po raz piąty)	9,80 „
Janusz Laskowski, Paryż	35,00 „
Irena Vogt, South Gate, Calif. (po raz drugi)	22,50 „
M.K.W., Australia (po raz 6-ty)	16,00 „
Nina Sereda, Montreal, Que. (po raz 7-my)	22,50 „
M.P. Wróblewski, Oak. Park, Ill., (USA)	4,90 „

WPLĄTY NA NAGROBEK BOBKOWSKIEGO

Prof. J. Alexandrowicz, Plymouth (Anglia)	27,50 „
---	---------

Na Rubikonie nie ma mostu

Narody historyczne jak Francuzi czy Anglicy nie rezygnują z suwerenności dla celów ekonomicznych. Motyw gospodarczy nie dostarczyłby dostatecznie potężnego impulsu. Odpowiedzi na pytanie czy EWG okaże się sukcesem i czy dojdzie do utworzenia projektowanej przez prez. Kennedy'ego „wspólnoty atlantyckiej” — szukać należy nie w Paryżu, w Londynie czy w Waszyngtonie, lecz w Moskwie.

Dla ilustracji posłużmy się absurdalnym przykładem. Wyobraźmy sobie, że w Sowietach dochodzi do wojskowego zamachu stanu. Jednak kilku marszałków pozostaje wiernych rządowi wskutek czego wybucha wojna domowa. W państwach satelickich następują przewroty i powstania ukoronowane interwencją Stanów Zjednoczonych. Rosja wykrwawiona i osłabiona, pozbawiona imperium — przechodzi czasowo na „garnuszek” amerykański.

W takiej sytuacji zapomniano by o „wspólnocie atlantyckiej” w przeciągu tygodnia. Anglia nie przystąpiłaby do „wspólnego rynku”. NATO zmarłoby śmiercią nagłą choć całkowicie naturalną. Odżyłaby „Entente Cordiale” w obliczu potężnych zjednoczonych Niemiec. Bazy amerykańskie w Europie uległyby likwidacji, a żołnierze amerykańscy z uczuciem nieopisanego ulgi opuściliby kontynent starego świata.

Rysem charakterystycznym Europy jest różnorodność, a nie jedność — nacjonalizmy, a nie internacjonalizm. Z wyjątkiem Szwajcarii, która stanowi specyficzne zagadnienie — idea federacyjna tak droga sercu Amerykanów — w Europie zakorzenia się z wielkim trudem.

Istnieją dziś dwie koncepcje zjednoczeniowe. Koncepcja de Gaulle'a i projekt Kennedy'ego. Koncepcja de Gaulle'a zmierza do odbudowy hegemonicznego stanowiska Francji na kontynencie. „Wielki projekt” Kennedy'ego przywróciłby supremację anglosaską na całym obszarze wspólnoty atlantyckiej.

Peter Drucker („American Economic Report”) — sądzi, że w roku 1980 „wspólnota atlantycka” liczyć będzie ponad 500 milionów mieszkańców. Jej produkcja przemysłowa przewyższy o sto procent łączną produkcję EWG i Stanów Zjednoczonych. W sensie przemysłowym „wspólnota” byłaby wielokrotnie potężniejsza od bloku wschodniego.

„Grand Design” Kennedy’ego zmierza do trzech celów równocześnie. Na polu ekonomicznym prezydent chciałby konkurencję z EWG zastąpić atlantycką współpracą. Równocześnie „Grand design” miałyby za zadanie ułatwić pozycję Anglii w EWG. I wreszcie w ramach wspólnoty byłoby możliwe rozwiązać nierozwiązalny problem atomowy. Państwa członkowskie, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi, mogłyby bowiem „bez utraty twarzy” zrezygnować z suwerenności atomowej na rzecz atlantyckiej, związkowej władzy atomowej. Wówczas nie tylko Francja rezygnowałaby z suwerenności atomowej, lecz również Wielka Brytania i Stany Zjednoczone.

„Grand design” jako deklaracja polityczna oznacza koniec epoki amerykańskiego „bogatego wujaszka”. Realizacja wspólnoty atlantyckiej byłaby powrotem Ameryki do Europy, do Europy zjednoczonej, potężnej, bogatej — zdolnej ponieść wspólny ciężar zbrojeń i światowych zobowiązań wynikających z „pokoju koegzystencji” z blokiem sowieckim.

Sowietolodzy zachodni popełniają często podstawowy błąd traktując blok wschodni za wyspę, która rządzi się własnymi prawami. Komuniści popełniają ten sam błąd w stosunku do świata kapitalistycznego. W rzeczywistości jednak oba bloki nie tylko wywierają na siebie wpływ, ale ich rozwój jest poniekąd funkcją owej dziwnej współzależności. Ewolucję w bloku wschodnim można ocenić tylko w relacji do świata kapitalistycznego i odwrotnie, rozwój kapitalizmu tylko w relacji do bloku komunistycznego. Bo jedynie owa relacja kryje w sobie potencjalny wyrok zwycięstwa lub klęski.

Tezę tego artykułu jest pogląd, że w tym pojedynku komunizm — jak dotąd — wykazuje mniejszą zdolność ewolucyjną niż kapitalizm. Komunizm jest niepomierne bardziej konformistyczny i mniej giętki niż system kapitalistyczny. Gdyby podsumować przemiany, adaptacje i realny wzrost potencjałów ekonomicznych od roku 1945 we Francji czy w Niemieckiej Republice Federalnej to okazałoby się, że blok wschodni niczym podobnym pochwalić się nie może.

W moim przekonaniu bez gotowości do radykalnych przemian — żadna ze stron nie sprostą sytuacji. Wydaje mi się również, że tradycjonalistami i wielbicielami utraconych horyzontów są komuniści. Tym panom trudniej jest pożegnać się z doktrynalnymi dogmatami niż Anglikom czy Francuzom z kolonialnym imperium.

Był czas, że teologia była królową nauk. Był czas, że doktryna „naukowego socjalizmu” była w imperium sowieckim królową nauk. Na całym świecie rządzi i organizuje produkcję apa-

rat. Ale nigdzie poza blokiem wschodnim nie rządzą i nie administrują aparatczyki. I tu leży owa totalna różnica.

P. Drucker — cytowany powyżej — ocenia, że w roku 1980 połowa pracującej ludności Stanów Zjednoczonych to będą „knowledge workers”, a więc setki gatunków specjalistów technologicznych. Jedną czwartą pracującej ludności według tej oceny stanowić będą „menadżerowie” i urzędnicy.

Komunistom starej daty wydaje się, że rolą przywódcy partyjnego jest organizowanie życia narodu od periodyków literackich po ciężki przemysł, od filozofii po energię atomową — od rolnictwa po międzynarodowe kongresy pokoju.

W krajach gospodarczo zacofanych, biernych, bez inicjatywy — ideowi i bezwzględni aparatczyki mogą odegrać ogromną rolę w organizowaniu „wielkiego skoku”. Ale po pewnym czasie przychodzi chwila kiedy aparat partyjny staje się kulą u nogi. Przekształcony w „nową klasę” aparat polityczny walczy do upadłego o władzę, nie wywiązując się z zadania organizowania produkcji ponieważ to zadanie przekracza jego możliwości.

Kto rządzi Anglią? Anthony Sampson w swej świeżo ogłoszonej książce pt. „Anatomy of Britain” — wyraża pogląd, że w Anglii bardzo wiele zależy od decyzji 200 panów, którzy są „właściwymi ludźmi na właściwych stanowiskach”. To nie są milionerzy, ale menadżerowie, którzy, jak dr Beeching (administrator brytyjskich kolei), łączą w sobie wykształcenie technologiczne z talentem organizacyjnym.

Porównajmy sumę wiedzy technologicznej i doświadczenia administracyjnego owych dwustu „kapitanów przemysłu” z sumą wiedzy technologicznej i doświadczenia administracyjnego panów tworzących Komitet Centralny PZPR. Ilu fizyków, chemików, technologów — zasiada w KC PZPR?

Komuś powyższe porównanie może się wydać dziwne. Niewątpliwie jest dziwne, ale znacznie mniej niż to na pozór się wydaje. Owych 200 czołowych menadżerów w pewnym sensie i w pewnym stopniu tworzy „Komitet Centralny” W. Brytanii ponieważ w ich rękach spoczywa władza i decyzja — podobnie jak i w rękach KC PZPR spoczywa władza i decyzja.

Ktoś powie, że tu mamy kapitalizm, a w Polsce socjalizm. Produkcja wszędzie wygląda tak samo i wszędzie w identycznej mierze wymaga fachowców. Organizować literaturę i prasę może nawet p. Werblan. Ale nie było i nigdy nie będzie takiego ustroju, który umożliwiłby aparatczykom zajęcie miejsca, które w Anglii czy w Stanach Zjednoczonych zajmuje klasa przywódców przemysłowych. Aparatczyki mogliby utrzymać swą władzę tylko za cenę rezygnacji z wysokiego stopnia uprzemysłowienia, za cenę rezygnacji z „doganiania Ameryki”.

W swojej walce o utrzymanie się przy władzy aparatczyki z jednej strony rozbudowują szkolnictwo technologiczne i mobilizują fachowców — z drugiej strony, zazdrośniej niż kiedykolwiek przedtem, strzegą źrenicy swej dyktatury to jest pozycji KC. Kierownicy największych przedsiębiorstw w każdej sprawie

zależni są od Warszawy. Menadżerowie są dobrze płatni, mają różnorakie przywileje, ale nie mają władzy i prawa decyzji. Ta podwójna maszyna z dwoma aparatami — menadżerskim i nadrzędnym politycznym — nie funkcjonuje i nigdy funkcjonować nie będzie. Dlaczego? Ponieważ kierownicy przemysłu, bez względu na ustrój, by wykonać swe zadanie muszą mieć prawo decyzji i de facto rządzić. Wysoki stopień uprzemysłowienia osiągnąć można tylko za cenę podporządkowania wszystkiego lub niemal wszystkiego produkcji. Jest więc oczywiste, że ci, którzy organizują tę produkcję — choć sami nie tworzą rządu — muszą de facto *run the place*.

To nie jest rozprawa w zakresie socjologii przemysłu tylko esej publicystyczny i pewne rzeczy dla uwypuklenia są świadomie przerysowane. Niemniej w nowoczesnym świecie wszyscy żyjemy z produkcji i dla produkcji i ci, którzy kierują tym widowiskiem dysponują większą władzą niż ktokolwiek inny. To wynika z natury rzeczy — tak jak z natury rzeczy wynika, że kapitan okrętu na morzu musi mieć władzę.

Komunizm chce się, że rozwiązał problem własności środków produkcji. Lecz istotą nowoczesnego kapitalizmu bynajmniej nie jest własność środków produkcji, tylko władza, będąca funkcją zarządzania środkami produkcji.

Z punktu widzenia komunistycznego za ideał należałoby uznać identyfikację aparatu partyjnego z klasą menadżerów. Innymi słowy byłoby idealnie, gdyby wybitni aparaczkowiecy byli równocześnie wybitnymi administratorami, technokratami, technologami, inżynierami — łącząc w sobie ideologię, naukę i doświadczenie. Mogłoby tak być, ale nie jest i nigdy nie będzie. Mogłoby tak być, gdyby komunizm był masowym ruchem ideologicznym, a nie teologiczno-dogmatyczną doktryną.

Rewolucja wielko-przemysłowa ma swoją własną logikę z której nie można się wyłamać. Rozrasta się wszędzie i wszędzie. Potrzebuje coraz większej masy, coraz bardziej wykształconych pracowników. Żaden aparaczkowiec czy ideolog nie zastąpi fachowca, tym mniej uczonego. Jeżeli plany produkcyjne mają być realizowane i dynamiczna rozbudowa gospodarki zapewniona — władza i prawo decyzji muszą przejść z rąk aparaczkowców w ręce menadżerów, naukowców i fachowców.

Nie ulega wątpliwości, że aparat partyjny, gdyby mógł zatrzymać ten proces. Aparaczkowiecy woleliby nie dogonić Ameryki a zatrzymać pełnię władzy. Bez wahania godziliby się nadal na niską stopę życiową ludów sowieckich, bez wahania przesuwaliby mit raju na ziemi z pokolenia na pokolenie — byle tylko utrzymać pełnię władzy.

Chruszczow opowiedział nam barwnie w swoim słynnym „tajnym referacie”, jak w pierwszych okresach wojny Stalin kierował operacjami wojennymi posługując się globusem. Powoli jednak, pod naporem logiki konieczności, inicjatywa zaczęła przechodzić w ręce fachowców — generałów, dowódców frontów. Stalin zdawał sobie z tego doskonale sprawę i z chwilą, gdy ci

panowie zrobili swoje usunął ich szybko w cień. Największe nasilenie „kultu jednostki” przypada na okres bezpośrednio powojenny. We wszystkich filmach dokumentacyjnych — Stalin przedstawiony jest nie jako zwycięzca, ale jako jedyny zwycięzca. Wojna skończyła się, fachowych wojskowych zredukowano do właściwych proporcji, a aparat zagarnął całość władzy.

Ale Chruszczow i jego następca (czy następcy) są w gorszej sytuacji, bo końca wojny nie widać. Wojna konkurencyjna, wyścig gospodarczy, wyścig zbrojeniowy — ledwo się rozpoczęły.

Wytworzyła się paradoksalna sytuacja. Doktrynalny komunizm przy władzy mobilizuje świat zachodni. Owa mobilizacja wyraża się tendencjami zjednoczeniowymi, reformami społecznymi i gospodarczymi. Bez przesady można powiedzieć, że zagrożenie komunistyczne dostarczyło Zachodowi *raison d'être*, którego więcej potrzebował niż złota. Komunizm przedłużył życie systemu kapitalistycznego o stulecie, a może o dwieście lat — wydobywając z niego utajone zdolności ewolucyjne, o które Marks kapitalizmowi nigdy nie podejrzewał. Komunizm, jeżeli nie utraci fanatyzmu zafunduje kapitalizmowi milenium, które jeszcze kilkanaście lat temu wydawać by się musiało nieprawdopodobną mrzonką. Gigantyczny „wspólny rynek” europejsko-amerykański, jeśli dojdzie do skutku, będzie stanowił apogeum i szczyt rozwoju kapitalizmu.

Społeczeństwa bogate, cieszące się bardzo wysoką stopą życiową, są z natury konserwatywne. W tej chwili istnieje jeszcze przepaść pomiędzy wizją zarysowaną przez Kennedy'ego w jego przemówieniu w Filadelfii, a konserwatywnymi i często izolacjonistycznymi masami amerykańskimi.

Przepaść oddzielającą „Grand Design” Kennedy'ego od konserwatywności mas amerykańskich — nie zabrukują ani demokraci ani republikanie, ani Biały Dom. Tę przepaść zabrukować może tylko Moskwa.

Jednym z permanentnych niedomagań kapitalizmu był rozbrat między gospodarką, a polityką. Nacjonalizmy, suwerenności, autarchie, wysokie bariery celne — to wszystko dławiło kapitalizm podporządkowując go częściowo lub całkowicie ambicjom politycznym („armaty zamiast masła”). Pod wpływem zagrożenia komunistycznego odkryto, że istnieje podstawowa zbieżność w wielko-przecznym traktowaniu gospodarki i polityki. Impuls ku zjednoczeniu — nawet w planie Schumana, który był pierwszy z serii — był i pozostał natury politycznej. I tak oto komunizm, jednocząc świat zachodni, wywianował kapitalizm w historyczną koniunkturę otwierając przed nim nowe, a-tradycyjne perspektywy rozwoju.

Zamiast wojen imperialistycznych, które miały wynikać z antagonizmów sprzeczności kapitalizmu — obserwujemy ruch ku politycznemu zjednoczeniu i gospodarczej integracji; zamiast postępującego zubożenia proletariatu — obserwujemy roztopianie się proletariatu w wysoko płatnej „biało-kołnierzykowej” *middle class*. Zagrożenie komunistyczne zmodyfikowało „prawa

Historii" i co dziwniejsze zmodyfikowało na niekorzyść komunizmu.

Antykomunizm nie jest strawą dla intelektualistów. Chociaż i na tym odcinku Sowiety potrafiły zrazić sobie pewne koła Zachodu, czego wymowną ilustracją był tzw. Kongres Pokoju w Moskwie w lipcu br. Ale nie chodzi o intelektualistów — chodzi o najszerze masy na kontynencie europejskim, a w szczególności w Ameryce. Obraz bloku wschodniego jako „międzynarodowego spisku komunistycznego” wyposażonego w rakiety, sputniki, bomby wodorowe — w swym prymitywizmie stanowi idealną kliszę masowej propagandy. Akcent spoczywa na słowie „spisek” (*conspiracy*). Tym razem nie chodzi o zaborcze mocarstwo, które można nasycić cudzymi ziemiami. Takiemu złudzeniu ulegał jeszcze Roosevelt, który wierzył, że jeżeli pozwoli się Stalinowi połknąć pół Europy podziela to na niego... sedatywnie. Termin *conspiracy* w umysłowości przeciętnego Amerykanina kojarzy się z bezpośrednim zagrożeniem jego *way of life*, zagrożeniem dolara i amerykańskiej drogi do ziemskiego raju. Antykomunizm przedstawia się polityką *containment*, a staje się aktywną kontrrewolucją. Staje się kontrrewolucją ponieważ ofiarowuje nie tylko obronę, lecz i alternatywę. Gdyby nie zagrożenie komunistyczne — gdyby nie obawa przed „Fidel-castryzmem” nie byłoby „Alianza para Progreso”.

Gdyby prognoza Peter Druckera miała się urzeczywistnić — gdyby na przestrzeni najbliższych lat dwudziestu powstał wspólny rynek europejsko-amerykański obejmujący 500 milionów ludzi oraz największe w świecie przemysły, kapitały, technologiczną wiedzę i doświadczenie — to blok wschodni nie dogoniłby tej super-Ameryki ani za 300 lat. Kombinacja Amerykanów, Francuzów, Anglików, Niemców i Włochów jest nie do pobicia na polu produkcji i organizacji przemysłów. Tego rodzaju „wspólnota” łączyłaby najbogatsze i najbardziej gospodarczo uzdolnione narody świata. Byłaby to pełna realizacja hasła „kapitałiści wszystkich krajów łączy się”.

Patrząc na rozwój sytuacji z perspektywy ostatnich lat dziesięciu należy stwierdzić, że oba bloki państw im bardziej się konsolidują i potężniają tym silniej na siebie oddziaływują. Moskwa jest nie tylko przeciwnikiem Waszyngtonu, ale jest również punktem odniesienia, który determinuje planowanie i rozwój polityki amerykańskiej. Tę samą rolę spełnia Waszyngton w stosunku do Moskwy. Dla obiektywnego obserwatora naszej planety dzisiaj nie ma ani kapitalizmu, ani komunizmu — są tylko stosunki i proporcje jednego systemu do drugiego.

Jeżeli do wojny nie dojdzie (czego ciągle jeszcze nie można wykluczyć) konflikt rozegra się w pierwszej linii na polu gospodarczym. Choć zabrzmiałoby to reakcyjnie należy stwierdzić, że na zwycięstwo (czy choćby na przewagę) liczyć mogą bogaci.

Jeżeli na przestrzeni najbliższych lat trzydziestu Związek Sowiecki przekształci się w kraj mlekiem i miodem płynący, a na Zachodzie zapanują epidemicznie kryzysy, bezrobocie, krachy

gieldowe i katastrofalny spadek stopy życiowej — wówczas bogaty Związek Sowiecki będzie święcił swój triumf nad spauperyzowanym wolnym światem.

Jeżeli jednak na przestrzeni najbliższych lat trzydziestu amerykańsko-europejski wspólny rynek stanie się rzeczywistością i sukcesem — jeżeli różnica w dynamice gospodarczej przesunie się jeszcze wyraźniej na korzyść Zachodu — wówczas rozpocznie się zmierzach sowieckiego imperium.

W gruncie rzeczy walczymy bowiem o możliwie najlepszy i najsprawniejszy system ekonomiczny. Wszyscy pragniemy wolności i sprawiedliwości społecznej, ale nie za cenę powszechnego ubóstwa. System w teorii sprawiedliwy społecznie, ale niezdolny do zapewnienia społeczeństwu wysokiej stopy życiowej — nie ma żadnej szansy przetrwania. Trzeba być w pełni i całkowicie wolnym od niedostatku, by móc korzystać z wszystkich innych wolności. Kołchoznikowi w Sowietach z całą pewnością nie zależy na wolnej prasie i pięcio-przymiotnikowych wyborach. Musiałoby mu powodzić się znacznie lepiej w sensie „bytowym”, by zaczął interesować się tymi sprawami.

Inteligencja w takich krajach, jak Polska czy Związek Sowiecki — dzięki wykształceniu, lekturze, radiu — zdaje sobie sprawę z odmian i gatunków wolności. Ale ponieważ w ramach istniejącego systemu społeczno-gospodarczego znaczny procent owej inteligencji nie może zrealizować swych ambicji życiowych — w rezultacie powiększa potencjał społecznej frustracji.

Komuniści odmieniają słowo „produkcja” we wszystkich przypadkach liczby mnogiej i pojedynczej. Równocześnie wypracowali w Polsce inteligentki mit a-ekonomiczny. Jak się czegoś nie ma, najłatwiej jest tym gardzić i ową pogardę wywindować na piedestał wzniosłej, heroicznej cnoty. W dziesiątkach artykułów, reportaży i korespondencji w prasie polskiej zarzuca się Amerykanom zmaterializowanie. Polacy również marzyliby o zmaterializowaniu — tylko im niestety tej materii nie dostaje. Jedyńm dostępnym dla nich materializmem jest „materializm historyczny”, z którego jeszcze nikt nie utył.

Niska stopa życiowa bynajmniej nie jest synonimem postępowości. Amerykański materializm i zamożność bywają często znacznie bardziej plebejskie niż po-szlachecka polska bieda. W tym pomiataniu amerykańskim materializmem i kultem dolara odzywa się głośno szlachecka pogarda dla handlu, przemysłu i produkcji.

My jesteśmy biedni, ale wzniosli i postępowi. Nieporozumienie polega na tym, że dopóki jesteśmy biedni możemy być wprawdzie wzniosli, ale nie postępowi. Postęp to są pieniądze, owe przyziemne pieniądze. Postęp w każdej dziedzinie od łązinek po kwartalniki filozoficzne wymaga pieniędzy. A jedynym źródłem pieniędzy jest produkcja. Celem komunizmu musi być zapewnienie wysokiej stopy życiowej, a więc udziału w bogactwie — szerszym masom społecznym niż jest to w stanie zrealizować system kapitalistyczny. Jeżeli komunizm zawiedzie w tej

dziejnie — upadnie. Sprawiedliwy podział narodowego bochenka chleba jest rzeczą niezmiernie istotną. Ale jeszcze istotniejszą rzeczą jest produkcja owego bochenka chleba. Na dalszą metę zwycięży ten system, który będzie produkował sprawniej i więcej.

Komuniści zdają się nie zauważać, że w porównaniu z ubiegłym stuleciem problem sprawiedliwego podziału uległ pewnej przemianie. „Welfare State”, reformy społeczne, dobrobyt klasy robotniczej — są tylko częściowo wynikiem postępu w sensie socjalnym. Chleba jest pod dostatkiem dla wszystkich nie dlatego, że ludzie są sprawiedliwsi, ale dlatego, że tego chleba jest w nadmiarze. Nowoczesna technologia, nowe metody produkcji, maksymalne uprzemysłowienie sprawiły, że narodowy bochenek chleba jest tak duży, że kwestia jego podziału przestała być palącym problemem. Bo jeżeli czegoś jest w nadmiarze — względnie sprawiedliwy podział nie wymaga cnót heroicznych. To tylko tam, gdzie chleb odważa się ludziom na gramy — podział urasta do rangi ideologii. I tylko tam, gdzie chleb odważa się na gramy występują najokrutniejsze formy wyzysku człowieka przez człowieka.

Wydaje się również, że komuniści nie zdają sobie sprawy z faktu, że świadomość tych spraw przenikać zaczyna w najszersze warstwy społeczeństw. Co to znaczy? Znaczy to, że dzisiaj ludzie niską stopę życiową i rażące braki przypisują nie wadliwemu systemowi podziału narodowego bochenka chleba, lecz *nieudolności* w jego produkcji. W drugiej połowie dwudziestego wieku nie ma żadnych obiektywnych powodów, by masło zniknęło ze sklepów w Moskwie na całe tygodnie lub by robotnik sowiecki musiał sześć razy dłużej pracować na parę butów niż jego kolega brytyjski. Co komu przyjdzie z idealnego komunistycznego systemu podziału jeżeli nie ma na tyle, by sprawiedliwie wszystkich obdzielić?

Wiemy z praktyki, że system komunistyczny ze swoją „nową klasą” jest daleki od idealnego, sprawiedliwego podziału dochodu narodowego. Ale założmy teoretycznie, że system komunistyczny jest idealnie sprawiedliwy. Nawet i wówczas trzeba by stwierdzić, że szanse zwycięstwa będzie miał system może mniej sprawiedliwy, ale ekonomicznie bardziej wydajny. Nie walczymy bowiem o teoretyczną sprawiedliwość. Walczymy o wolność od niedostatku dla wszystkich. Ludzie w swej masie nie są i nigdy nie będą sprawiedliwi i altruistyczni. Idealna sprawiedliwość jest utopią. Możemy tylko wybierać pomiędzy mniej lub bardziej sprawiedliwymi systemami społecznymi. W ich obecnej formie żaden z konkurencyjnych systemów nie jest sprawiedliwy społecznie. W moim przekonaniu jednak większe możliwości zbliżenia się ku ideałowi sprawiedliwości społecznej będzie miał ten system, który ekonomicznie okaże się sprawniejszy i wydajniejszy. Jeżeli bowiem chleba jest mnóstwo mniej sprawiedliwy system okaże się w praktyce sprawiedliwszy od idealnie sprawiedliwego systemu społecznego, który jest gospodarczo nieudolny. W ramach nieudolnej gospodarki, pomiędzy człowiekiem, który

dostaje 300 gramów chleba, a człowiekiem, który dostaje 900 gramów chleba istnieje przepaść. Natomiast w ramach systemu, który dzięki swej gospodarczej sprawności zapewnia wysoką stopę życiową — nie ma pomiędzy ludźmi przepaści, a tylko różnice w stopniu powszechnej zamożności.

Nie twierdząc, że zamożność automatycznie rozwiązuje wszystkie problemy społeczne. Twierdząc natomiast, że w kraju biednym o niewydajnej gospodarce — o zagadnieniach społecznych można tylko dyskutować, ale żadnego z nich nie można rozwiązać. Służby społeczne, jak np. brytyjska służba zdrowia — jeżeli mają sprawnie funkcjonować kosztują mnóstwo pieniędzy. Wcielanie w życie choćby w skromnej formie pięknej zasady: „każdemu według jego potrzeb” — wymaga zaplecza niezmiernie prężnej i arcy-produktywnej gospodarki.

Na naszej planecie wszystko zaczyna się i kończy na produkcji. Wysoka produkcja i zamożność nie gwarantują nikomu idealnej sprawiedliwości społecznej. Ale bez wysokiego stopnia produktywności i ogólnej zamożności 90% ideałów społecznych wieść musi żywot jałowych sloganów na łamach oficjalnej prasy.



Zakon Jezuitów jest w wielu aspektach organizacją idealną. Jezuitom powiodło się bowiem zrealizować to — czego komuniści osiągnąć nie zdołali, a mianowicie identyfikację aparatu ideologicznego z klasą menadżerów. Z wyjątkiem braci zakonnych każdy Jezuita jest księdzem i równocześnie posiada inny zawód — lekarza, inżyniera, antropologa, rolnika itd. W ten sposób władza aparatu teologiczno-ideologicznego jest totalna, ponieważ aparat jest wszystkim.

Jednak ten wzorzec zakonny nie da się przenieść na organizm państwowy. Jeżeli blok wschodni, a w szczególności Związek Sowiecki zechce procesowi „doganiania Ameryki” nadać realistyczne tempo — jeżeli Moskwa zechce szukać konkretnych odpowiedzi na zarysowujące się możliwości wspólnoty atlantyckiej — wówczas de-stalinizacja będzie musiała przybrać nowe oblicze. Nieodczowna będzie dalsza decentralizacja oraz „upełnoletnienie” klasy menadżerów, naukowców i fachowców.

Drucker w innej swojej pracy („Landmarks of Tomorrow”) — podkreślił, że na wysokim szczeblu rozwoju przemysłowego centralistyczna, biurokratyczna kontrola ekonomicznych procesów poprzez aparat partyjny nie będzie możliwa. Nie będzie możliwa ponieważ nowoczesna technologia, w której plan i materiały ulegają szybkim ustawicznym przemianom — wymaga eksperymentowania i podejmowania ryzyka. Nie ma innej drogi postępu. Ośrodek centralny będzie mógł planować tylko w najogólniejszym zarysie, a większość zasadniczych decyzji trzeba będzie pozostawić uznaniu lokalnych kierowników-menadżerów i sztabowi ich specjalistów. Zdaniem Druckera centralistycznie planowana i centralistycznie kierowana ekonomia możliwa jest tyl-

ko w krajach o zapóźnionym rozwoju, które stawiają sobie za cel „dogonienie” potężniejszych sąsiadów. Innymi słowy ten typ gospodarki możliwy jest tylko w okresie kopiowania krajów wyżej rozwiniętych.

Jeżeli przemiany w tym kierunku nie nastąpią, jeżeli Rosja Sowiecka pozostanie państwem teokratycznym, w którym ostatnie słowo we wszystkich sprawach należy do aparatu polityczno-ideologicznego, wyścig produkcji przemysłowej wygra z całą pewnością świat kapitalistyczny. Ponieważ sowiecki aparat polityczny znakomicie mobilizuje Zachód, a bardzo nieudolnie i powoli mobilizuje gospodarzo Wschód.

Teokratyczno-totalne państwa bywają zdolne do zdumiewających wyczynów, jak piramidy egipskie czy sputniki sowieckie. Ale to nie jest gospodarka. Gospodarka to nie są nigdy sputniki i armaty — tylko zawsze masło. Masło dla wszystkich i w dowolnych ilościach. I o to masło — jeżeli ma być dla wszystkich — jest niepomiernie trudniej niż o sputniki.

Teoretycy i prorocy doktryny nie przewidzieli, że komunizmowi przyjdzie walczyć o treść i formę systemu komunistycznego w okresie nowych perspektyw rozwojowych kapitalizmu. Liczono, że rozkład imperiów kolonialnych pociągnie za sobą kryzysy, bezrobocie i rozkład gospodarki kapitalistycznej. Jeszcze kilkanaście lat temu prasa komunistyczna wysoki zarobki robotników brytyjskich przypisywała „Murzynom, którzy pracują za Anglików i na Anglików”. Imperium brytyjskie należy już do przeszłości, ale jak wynika z oficjalnych danych ogłoszonych w lipcu br. przeciętny zarobek robotnika brytyjskiego powyżej lat 21 wynosi: £ 15.12.10 tygodniowo. To jest równowartość pięciu par doskonałych butów lub garnituru męskiego z dobrego materiału.

Związek Sowiecki w przeciwieństwie do Anglii posiada rozległe imperium, ale robotnikowi sowieckiemu jest jeszcze daleko do przeciętnych zarobków brytyjskich nie mówiąc o amerykańskich.

Pragmatyzmowi przeciwstawić można tylko pragmatyzm. Destalinizacja jeżeli miałaby przynieść konkretne rezultaty musiałaby przybrać formę ruchu emancypacji technokratów — co w dalszej perspektywie prowadziło do erozji dogmatycznej doktryny. Tylko technokraci i menadżerowie zdołaliby znaleźć wspólny język z Ameryką i osłabić tempo mobilizacji polityczno-gospodarczej „otoczenia kapitalistycznego”.

Dopóki to nie nastąpi istnieć będzie zawsze obawa, że konserwatywne, dogmatyczne elementy w partii zdołają uzyskać poparcie aparatu w walce o zachowanie monopolu władzy.

Chruszczow jest politykiem „centrowym”. Gotów jest dać technokratom maksimum inicjatywy, ale nie za cenę okrojenia monopolu władzy partii. Gotów jest „wychylić się” dość daleko ale nie poza margines bezpieczeństwa. Dlatego od chruszczowizmu teoretycznie możliwy jest jeszcze ciągle powrót do stalinizmu, bo Rubikonu nie przekroczone.

Dopóki re-stalinizacja nie jest wyłączona i wojna nie jest wyłączona. Albowiem, gdyby do władzy doszli stalinowcy — wcześniej lub później musieliby dojść do wniosku, że stalinowska Rosja Sowiecka nie ma żadnej szansy dogonienia Ameryki, ale — być może — miałyby szansę zniszczyć ją uderzeniem atomowym.

Polityka amerykańska pośrednio i bezpośrednio winna uświadamiać tak sfery partyjne jak i społeczeństwo sowieckie, że re-stalinizacja pociągnęłaby za sobą natychmiastową zmianę w strategicznej dyspozycji Zachodu i przejście ze strategii „odwetu” do strategii „pierwszego uderzenia”. Aparatczycy w całym bloku wschodnim winni sobie jasno zdawać sprawę, że ze stalinowcami nie będzie koegzystencji ponieważ koegzystencja ze stalinizmem nie jest możliwa.

Ci politycy zachodni, którzy uważają, że komunizm niezdolny jest do ewolucji i dla których pomiędzy Chruszczowem, a Mołotowem nie ma żadnej różnicy — nie tylko hamują procesy ewolucyjne w bloku wschodnim, ale w gruncie rzeczy premiuja stalinowców.

Juliusz MIEROSZEWSKI

WOLNE OD OPŁAT CELNYCH

- WSZYSTKIE LEKARSTWA
- MATERIAŁY DENTYSTYCZNE
- OKULARY
- POŃCZOCHY na ŻYLAKI
- WYKONYWANIE RECEPT KRAJOWYCH

WYSŁE SPRAWNIE I BEZ ZWŁOKI

Największy Dom Wysyłkowy

TAZAB & Co. Ltd.

Tezab House

LONDON, S.W.7.
22, Roland Gdns.,
Tel. FRE 3175-6

TAZAB & Co. Ltd

36, Third Avenue,
NEW YORK, 3
ALgenquin 4-4161

Nowości

BIBLIOTEKI "KULTURY"

TOM LXXVI

JÓZEF CZAPSKI
NA NIELUDZKIEJ ZIEMI

WYDANIE DRUGIE

Cena egz. 15 NF (dol. 3,25; 22/6)



TOM LXXVII

CZESŁAW MIŁOSZ
CZŁOWIEK WSRÓD SKORPIONÓW

STUDIUM O STANISŁAWIE BRZozOWSKIM

Cena egz. 9 NF (dol. 2,00; 13/6)



TOM LXXVIII

BERNARD SINGER
OD WITOSA DO SŁAWKA

Cena egz. 18 NF (dol. 4,00; 27/-)



TOM LXXIX

CZESŁAW MIŁOSZ
KRÓL POPIEL

I INNE WIERSZE

(Cena egz. 5 NF (dol. 1,25; 7/6)

Nowe oblicze Marksa i Malthusa

Na miarę cienia Marksa rośnie ku nam z odległego XIX wieku inny olbrzymi cień: Malthusa. Obaj postawili słuszną diagnozę głównych problemów współczesnej ludzkości, mimo że pomylili się w środkach. Droga do bezklasowego społeczeństwa niekoniecznie wiedzie poprzez „dyktaturę proletariatu”, raczej poprzez masowe społeczeństwo, które zwolna wytwarza nową rewolucja przemysłowa. Nadejście społeczeństwa techniczno-przemysłowo-konsumpcyjnego nie ulegałoby zaś wątpliwości, gdyby nie alternatywna groźba zniszczenia atomowego lub Apokalipsy demograficznej.

Nadzieje nasze są zatem związane z Marksem. Wiemy dziś, że podstawowy problem zaspokojenia potrzeb jest potencjalnie rozwiązany przez nowe Społeczeństwo Przemysłowe. Na miarę globalną głównym zagadnieniem jest w jaki sposób eks-kolonialny Trzeci Świat, kraje o niskim rozwoju gospodarczym Azji, Afryki i Ameryki Południowej dostąpią do dobrodziejstw Społeczeństwa Przemysłowego. Rozwiązanie tego zagadnienia utrudnione jest „przyśpieszeniem historii” (niecierpliwością inteligencji „rewolucyjnej” Trzeciego Świata, uformowanej na Zachodzie lub w Związku Sowieckim i niezdolnej do rozumowania w kategoriach innych niż Społeczeństwa Przemysłowego) i przerażającym przyrostem demograficznym. Uprzemysłowanie Trzeciego Świata (uniwersalizacja Społeczeństwa Przemysłowego) może dokonać się metodami stalinowskimi (pod prawdopodobnym kierownictwem Chin), albo poprzez masową (i pozornie bezinteresowną) inwestycję kapitałów przez Stany Zjednoczone, Europę Zachodnią i Związek Sowiecki. Ta druga metoda uprzemysłowania, która by oszczędziła połowie ludzkości ofiarę dwóch pokoleń skazanych na nowoczesne niewolnictwo, wymagałaby spełnienia dwóch warunków — materialnego i psychologicznego. Warunkiem materialnym jest położenie kresu przez Zachód i Związek Sowiecki wyścigowi zbrojeń (perspektywa chińskiej

bomby atomowej osłabia możliwości rozbrojenia) i uwolnienie w ten sposób mas kapitału potrzebnych do uprzemysłowienia Trzeciego Świata w fatalnych warunkach technologicznych i administracyjnych. Przeszkoda psychologiczna jest bodaj jeszcze trudniejsza do pokonania: zachodnia opinia publiczna, uśpiona archaiczną retoryką swych przywódców, nie jest przygotowana do zrozumienia, że na daleką metę jej własne interesy pokrywają się z interesami całej ludzkości. Nadejście Społeczeństwa Przemysłowego w skali uniwersalnej nie ulega jednak wątpliwości, gdyż nawet gdyby uprzemysłowienie Trzeciego Świata odbyło się na modłę stalinowską, dałoby ono w ostatecznym wyniku pewną formę społeczeństwa masowego, którego zarysy możemy przewidzieć, obserwując jego różne stopnie ewolucji w Stanach Zjednoczonych, w Europie Zachodniej, a nawet w Związku Sowieckim. Możemy nawet przewidzieć do pewnego stopnia odpowiedź na zasadnicze pytanie, które stawiał sobie Marks — co może człowiek zrobić z własnym życiem gdy wyzwoli się z więzów potrzeb materialnych — obserwując nowe formy wyobraźni zbiorowej, ich uniwersalizację poprzez kulturę masową.

Obawy nasze i niepokoje są natomiast związane z Malthusem. Agitacja wokół niebezpieczeństwa atomowego nie ma sensu, jeśli pomija się niebezpieczeństwo demograficzne. Na świecie żyje dziś około trzech miliardów ludzi. W roku 2000 będzie ich sześć miliardów. Ludność świata podwaja się co czterdzieści lat, czyli przy obecnym przyroście naturalnym będzie 700 miliardów ludzi za trzysta lat — jeden człowiek na dziesięć metrów kwadratowych powierzchni ziemskiej. Koło roku 2500 — ludzie stoją przy sobie ramię przy ramieniu, powierzchnia ziemi — to kawior ludzkich głów. Ten najprostszy rachunek wykazuje zaślepienia katolickich ekonomistów, którzy bredzą o żywieniu ludzkości algami i planktonem, tak im nie w smak regulacja urodzeń. Na ostatniej stronie „Świadomości Zena”, Italo Svevo rzuca wizję tej potwornej przyszłości „kiedy każdy metr kwadratowy ziemi zajęty będzie przez jednego człowieka”. I przewiduje on — w roku 1920 — „człowieka niczym nie różnego od innych, który w sekrecie swego laboratorium wymyśli niesamowity środek wybuchowy, wobec którego wszystkie znane nam pociski i bomby staną się dziecinną zabawką... Nastąpi olbrzymi wybuch i ziemia, obrócona w pierwotną mgławicę, krążyć będzie w przestrzeni bez ludzi...”.

Powyższe uwagi nasunęły mi się przy jednoczesnej lekturze dwóch książek, z których jedna — „L'Esprit du Temps” Edgara Morina (1) stanowi dla mnie nowe oblicze Marksa, druga zaś — „Sauver la Geurre” Gaston Bouthoul'a (2) — nowe oblicze Malthusa.

Książka Morina pozornie poświęcona jest problemom kultury masowej. Ale Morin rozumiał, że w kulturze masowej

(1) Edgar Morin: „L'Esprit du Temps”, Grasset, Paris 1962.

(2) Gaston Bouthoul: „Sauver la Guerre”, Grasset, Paris, 1961.

można dopatrzeć się głębokiego wyrazu współczesności i zapowiedzi prawdopodobnej przyszłości. Porusza on, na tle kultury masowej, podstawowe zagadnienia społeczeństwa i człowieka.

Kultura masowa jest nierozłącznie związana z naszym Społeczeństwem Przemysłowym, stanowi jego najbardziej autentyczną nadbudowę. Kultura *masowa*, gdyż wytwarzana jest zgodnie z masowymi normami produkcji przemysłowej; gdyż rozchodzi się za pośrednictwem masowych środków komunikacji; gdyż zwraca się do społecznej *mas*y, czyli bezpośrednio do olbrzymiego zbiorowiska jednostek, bez względu na klasę, wiek lub zawód, pomijając pośrednictwo wewnętrznych struktur społeczeństwa z rodziną włącznie. Żadne społeczne zjawisko nie było tak fałszywie ocenione w swoim zarodku. Pisarze i filozofowie, którzy pierwsi zajęli się tymi problemami, widzieli w kulturze masowej wyraz nowego barbarzyństwa, które przypisywali bądź „niehumanitarnej” technice, bądź wypłynięciu „anonimowych” mas, bądź połączeniu obu tych elementów. Istnieje co prawda logicznie dopuszczalna krytyka kultury masowej, operująca kryteriami elity, arystokracji, spirytualizmu. Ortega y Gasset, Karl Jaspers, T.S. Eliot, Gabriel Marcel mają prawo do opłakiwania nadejścia społeczeństwa masowego, gdyż wierzą, że pewien poziom „kultury”, „smaku”, „uduchowienia” może być utrzymany tylko przez elity. Ale jeśli się myśli, że postęp materialny i związana z nim nowa forma postępu kulturalnego mas nie jest sprawą „pereł dla wieprzów”, ale zburzeniem systemu najbardziej ukrytych przywilejów, nie ma się prawa do wybrzydzenia się na tę formę rewolucji pod pretekstem, że nie pokrywa się ona z tradycyjną formą myśli rewolucyjnej. Nie ma nic bardziej absurdu od pseudo-marksistowskiej krytyki, według której kultura masowa byłaby nowym „opium dla ludu”, za pomocą którego kapitalizm odwraca rozmyślnie uwagę mas od ich istotnych problemów. Niesposób sprowadzać krytyki kultury masowej do krytyki kapitalizmu, choćby dlatego że, mimo iż kultura masowa ujawniła się po raz pierwszy w kapitalistycznych Stanach Zjednoczonych, związana jest ona nie z formą własności, ani z systemem społecznym, ale ze stopniem rozwoju przemysłowego, jak to wykazuje choćby jej rosnąca popularność w Polsce, a nawet w Związku Sowieckim. Opłakiwanie nierozłącznie związanych zjawisk, dzięki którym życie mas ludzkich w świecie uprzemysłowionym stało się już wygodniejsze, barwniejsze, bardziej różnorodne, swobodniejsze, wydaje mi się formą nieznośnego purytanizmu, niedopuszczalnej pogardy dla człowieka.

Reakcją naturalną „intelektualisty” na kulturę masową jest jednak niemal zawsze niechęć, niesmak, obawa. Nawet socjologowie amerykańscy, którzy pierwsi zajęli się „mass culture”, najczęściej niepokoją się (jasno to wynika choćby z antologii Miłosza) jej „wulgarnymi” aspektami. Zaledwie kilku pionierów, jak Edward Shils czy Daniel Bell, utożsamiało kulturę masową z nadzieją lepszego jutra ludzkości. Spośród wszystkich książek

poświęconych kulturze masowej „L'Esprit du Temps” Morina jest najodważniejszą, najbardziej osobistą, najswobodniejszą.

Morin zauważa, że opory psychologiczne i socjologiczne wobec kultury masowej wśród intelektualistów są wynikiem „systemu obrony, często podświadomego, przeciw procesowi rozwojowemu, który dąży do zniszczenia intelektualistów, którymi jesteśmy”. Istotnie, kultura masowa niszczy autonomię i estetyczną hierarchię właściwą kulturze „wyższej”. W kulturze masowej nie ma podziału na „sztukę” i na „życie”. I właśnie ta ciągła gra wzajemnych wpływów między wzorami zbiorowego bytowania i kulturą masową, czynią z niej lustro współczesności, a nawet kryształową kulę, w której można odczytać przyszłość. Morin słusznie podkreśla, że do kultury masowej nie ma dostępu najważniejszy bodaj prąd kultury — prąd czarny, subwersyjny, zasadniczych kontestacji i buntów. Ale kultura „wyższa” oswajała zawsze z zadziwiajączą łatwością najbardziej subwersyjne myśli, najczarniejszych poetów. Dla mieszczańskiego humanisty „nic ludzkiego nie było obce”, ale tylko w kategoriach tomów ustawionych na półce. Rimbaud doczekał się, że poczciwy burmistrz Charleroi odsonił niedawno jego pomnik. Cała francuska burżuazja ma literacko-kulturalny szacunek nawet dla Sade'a. Dwie literackie dyskusje w „Figaro Littéraire” uświadomiły mi niedawno różnicę kryteriów burżuazji wobec Wielkich Dzieł Kultury i dzieł wchodzących w zakres kultury masowej. W jednej z nich najbardziej szanowni przedstawiciele oficjalnego świata literackiego bronili Chaderlos de Laclos przed „profanacją” użycia „Niebezpiecznych Związków” jako scenariusza filmowego. Zrehabilitowany wypisami szkolnymi i delikatną bibułą „Plejady”, cynik i libertyn Laclos stał się „klasykiem”, przyjacielem, sprzymierzonym. W kilka miesięcy później, ten sam mniej więcej skład „świata kultury i myśli” gorszył się jednogłośnie „skandalicznym” charakterem filmu Bunuela „Viridiana”. Książki są „oswojone”, film pozostał niebezpieczny.

Kultura masowa jest spontanicznym wyrazem kierunku, w którym rozwijają się formy samego życia w każdym wysoko uprzemysłowionym społeczeństwie, bez względu na jego oficjalną ideologię. Jest to kultura ery konsumpcyjnej, stojącej dziś u zarania i ściśle jeszcze zlokalizowanej. Edgar Morin odczytuje i interpretuje „Ducha Czasu” w swej książce na podstawie kina i telewizji; radia i grających szaf; meczów i campingu; pism kobiecych w rodzaju „Elle” czy „Przyjaciółki” i tygodników ilustrowanych w rodzaju „Paris-Match” czy „Przekroju”; „wielkiej prasy” — międzynarodowych wieczorników; piosenek i szlagerów; jazzu, rock-and-rolla i twista. Oprowadza nas po rzęście oświetlonych hałaśliwych bulwarach kultury masowej. Jest to kultura równania (w oderwaniu od pojęć takich jak „dół” czy „góra”). W tej samej chwili robotnik i przemysłowiec nucą tę samą piosenkę Edith Piaf czy Johnny Halliday; oglądają ten sam program w telewizji, szukają tego samego „comics'u” w „France-Soir”; widzą ten sam film. Są zresztą coraz częściej tak

samo ubrani, podobnie rozmawiają. Klasowe przegrody kulturalno-obyczajowe załamują się. Załamują się podobnie przegrody pomiędzy pokoleniami. W swym sektorze dziecięcym, kultura masowa wciąga dziecko do tematyki „dorosłej”; do dorosłych zaś zwraca się często z tematyką dzieciinną.

Drugą cechą kultury masowej jest jej kosmopolityzm. Różnice kulturalne pomiędzy narodami nikną w miarę formowania się nowej kultury wielkiego obszaru wysoko uprzemysłowionego, który niedługo obejmie cały pas kuli ziemskiej na linii San Francisco — Nowy Jork — Paryż — Berlin — Moskwa — Tokio. Kultura masowa wytwarza nową formę synkretycznego folkloru, którego elementami składowymi są jazz, brazylijskie samby, hiszpańskie flamenco, argentyńskie tango, neapolitańska piosenka. Ale, synkretyzując ten folklor, kultura masowa nie pozbawia go elementu archaicznego. Słowami Edgar Morina: „szukając publiczności uniwersalnej, kultura masowa zwraca się również do pierwotnego *anthropos*, do uniwersalnego wspólnego mianownika ludzkiego, którym jest człowiek archaiczny tkwiący w każdym z nas”. Kultura masowa jest wreszcie pierwszą kulturą czysto estetyczną, całkowicie świecką. Nie znaczy to aby nie wytwarzała specyficznej mitologii, ale celem jej jest indywidualne, natychmiastowe użycie: nie ma w niej związku z wartościami „transcendentalnymi”.

Morin zwraca uwagę na dwa bieguny tej cechy czysto estetycznej. Z jednej strony powołuje się on na „świadomość ironiczną”, o której Hegel pisał, że „gubi w niej to co jest najwyższego, cieszy się samym sobą”. Z drugiej strony, stosunek estetyczny nawraca do stosunku archaicznego ze światem, do dzieciństwa ludzkości, odkrywającej, pod magicznym rytuałem, grę, taniec, śpiew, poezję.

Kultura masowa jest kulturą wczasów i opanowuje coraz większe porcje ludzkiego życia, w miarę jak kurczą się dziedziny poświęcone pracy, świętu, rodzinie. Humanistyczni moralści na lewicy i na prawicy widzą zazwyczaj tylko negatywne strony współczesnej rozrywki, wczasów — oplakują bierność „materializm”, „eskapizm”. Nie widzą, że po raz pierwszy ludzkość w swej masie zaczyna stykać się z dziedziną wolności i osobistego losu.

Ten nowy indywidualizm, poświęcony „pogoni za szczęściem” różni się jednak znacznie od klasycznego hedonizmu. Nowym zupełnie wkładem kultury masowej jest udział w teraźniejszości świata. Symbolem tego udziału może być cała Ameryka, cała Rosja z zapartym tchem towarzysząca poprzez telewizyjne okienko niebawem przygodzie swoich kosmonautów.

Morin nie ukrywa żadnej ze złych stron kultury masowej. Ale twierdzi on, po pierwsze, że jest to *jedyna* kultura odpowiadająca współczesnej rzeczywistości, jedyna kultura pozbawiona hipokryzji i retoryki, po drugie, że potencjalne jej możliwości są olbrzymie. Istotnie, poprzez ten wyraz człowieka uwalniającego się z więzów pracy, oswajającego się, na skalę uni-

wersalną, z życiem wyobraźni, łamiącego społeczne przegrody, przemawia nadzieja związana z nowym obliczem Marksa.

Nowe oblicze Malthusa nakreśla w swej książce Gaston Bouthoul, jeden z nielicznych socjologów wojny, twórca „Polemologii”. Bouthoul walczy z moralizmem i psychologizmem większości historyków wojen, zgadza się on z tezą Durkheima, że nie można zachowań zbiorowych sprowadzać ani do sumy ani do średniej zachowań indywidualnych. Społeczeństwo ludzkie jest dla niego „gatunkiem”, równie nieświadomym swych istotnych losów, mimo iluzji jakie żywi na ten temat, jak mrówki czy szczury. Słownictwo biologiczne w odniesieniu do społeczeństw jest często wyrazem najbardziej złowieszczonego „idealizmu” (w sensie marksistowskim), jak to wykazał faszyzm. Ale Bouthoul ogranicza się właściwie do tezy, że istnieje stosunek, „komunikacja” między zbiorowymi tendencjami psychologicznymi, a zmianami w strukturze materialnej społeczeństwa. Tyle, że stawia on akcent na element demograficzny bardziej jeszcze niż na element gospodarczy. Czy można jednak oddzielić te dwa elementy, czyż nie ma się zawsze do czynienia z sytuacją „demo-ekonomiczną”?

Tradycja historyczna i moralistyczna przedstawia zazwyczaj każdą wojnę jako zjawisko wyjątkowe, nieprzewidziane i którego można było uniknąć. Dla Gaston Bouthoula, przeciwnie, „wojna jest celem, przebrany za środek”. Cywilizacja usunęła dzieciobójstwo, trudniej jest jej się obyć bez tego dzieciobójstwa odłożonego jakim jest wojna. Zdaniem Bouthoula, wojna jest po prostu niszczącą funkcją demograficzną, podobnie jak śmiertelność dziecinna, niewolnictwo, zabójcze warunki pracy, śmiertelność porodowa, głody i epidemie. Tyle, że na skutek postępów społecznych, higienicznych, lekarskich, kumuluje ona obecnie większość tych funkcji, pozostała niemal samotna na polu. „Można by — pisze Bouthoul — wyprowadzić swoiste prawo: okrucieństwo wypadków politycznych wewnętrznych czy zewnętrznych jest zazwyczaj proporcjonalne do przyrostu demograficznego w krajach, w których zachodzą. Ludobójstwo jest owocem przeludnienia”. Agresywność danego narodu powodowana jest, zdaniem Bouthoula, zakłóceniem równowagi demo-ekonomicznej, poprzez nadmiar młodych mężczyzn w stosunku do potrzebnych zadań gospodarczych. Bouthoul nie przeczy, że istnieją pokojowe sposoby przystosowania narodu — na pewien czas przynajmniej — do sytuacji wytworzonej przez jego dynamizm demograficzny. Można zmienić gospodarczą strukturę kraju, zająć się nowym rozdziałem dóbr, stwarzać nowe przemysły, zmienić system rolny, kontrolować konsumpcję itd. Ale są to środki trudne do wykonania, napotykające na wszystkie bierne siły oporu materialne i moralne. Nawet jeśli uda się przeprowadzić konieczny w tych warunkach wstrząs rewolucyjny, zamierzone przedsięwzięcia nie dadzą wyników przed upływem okresu jednego pokolenia, podczas gdy presja demograficzna nie przestaje rosnąć.

Współczesny świat pełen jest dziś narodów o analogicznej sytuacji demograficznej. W ciągu pięćdziesięciu lat ludność Indii wzrosła o 120 milionów mieszkańców, czyli o 52 procent. Spis ludności z r. 1941 wykazywał 315 milionów mieszkańców, Następny spis — z r. 1951 — już 356 milionów. Gdyby ten rytm przyrostu miał się zachować, Indie liczyć będą za 40 lat przeszło 700 milionów mieszkańców! Wspólną cechą wszystkich krajów eks-kolonialnych Trzeciego Świata jest zresztą stałe pogarszanie się ich równowagi demograficznej poprzez szybszy od rozwoju gospodarczego przyrost ludności. Poza wspomnianymi powyżej środkami rewolucyjnymi, w dziedzinie gospodarczej, Bouthoul wymienia cztery tradycyjne środki przywrócenia równowagi. Pierwszym jest emigracja, ale coraz mniej krajów stoi dla imigrantów otworem. Drugim jest wojna — forma emigracji zbrojnej („jakikolwiek byłby jej wynik — pisze Bouthoul — zapewnia ona przynajmniej sporą emigrację w zaświaty”). Trzeci środek — to wojna domowa. („Kiedy dany naród nie może, lub już nie może, pozwoić sobie na luksus wojny zewnętrznej, jego agresywność wyładowuje się w walkach wewnętrznych”). Czwartym „rozwiązaniem” jest eliminacja mniejszości: „Zależnie od mentalności chwili, lub, jeśli się woli, od „koniunktury ideologicznej”, ofiarami będą mniejszości narodowe lub rasowe, klasy społeczne, mniejszości religijne itd. Indie, pacyfistyczne, idealistyczne, gandyjskie, uczciły odzyskaną niepodległość rzezią siedmiu milionów ludzi, pod pretekstem, tym razem, religijnym”.

Broń atomowa zmieniła jednak klasyczne dane problemu: „Zakłopotani tym środkiem przeraźliwym i nieobliczalnym, mężowie stanu starają się na próżno ocalić wojnę klasyczną, wojnę wielkich batalionów i linii frontu, dążąc do zabronienia użytku, a nawet konstrukcji broni atomowych”. Czyżby zatem ludzkość była skazana na dalsze rzezie?

Gaston Bouthoul studiuje wojnę jak zjawisko psycho-somatyczne, przetwarzające fluktuacje biologiczne organizmów społecznych w reakcje psychologiczne. Tymczasem, kiedy zastanawia się nad sposobem zapobieżenia wojnom, sam tkwi w kategoriach świadomego planowania demograficznego. Wszystkie jego propozycje, dążące do „zastąpienia w miarę możliwości adaptacji spazmodycznej i niszczyielskiej prewencyjnymi tamami”, są nader rozsądne, ale dziwne, że Gaston Bouthoul, tak sceptycznie odnoszący się do humanistycznych iluzji, myśli, że tylko racjonalne decyzje mogą nas uchronić od wojny, dziwne, że nie stawia sobie pytania czy „fluktuacje biologiczne organizmów społecznych” nie mogłyby przetrwać się w reakcje psychologiczne odmienne od agresywnych, a spełniające mimo to podobną funkcję bio-społeczną. Co prawda, przeczuwa on mimochodem możliwość podobnej reakcji kiedy pisze, że jeśli nie uda się „uratować wojny” wykluczając użytek broni atomowych „przyjdzie czas promocji wartości kobiecych”. Oraz dalej: „Wpływ kobiet rozwiąże być może współzawodnictwo między

narodami, odwracając je od ideologii przemocy i hekatomb w kierunku współzawodnictwa w dziedzinie poziomu życia, wygody i czasów. *Hedonizm kobiety przeciw męskiemu bohaterstwu. Dążenie do szczęścia przeciw dążeniu do władzy.* (Podkreślenie autora).

Książka Morina wykazuje, że podobna ewolucja już się dokonuje, że przewaga wartości kobiecych jest nawet jedną z najbardziej charakterystycznych cech kultury masowej. „Prasa kobieca — pisze Morin — jest mikrokosmosem podstawowych praktycznych wartości kultury masowej: afirmacji prywatnej osobowości, dobrobytu, miłości, szczęścia. Wszystkie te podstawowe wartości są istotnie wartościami w głównej mierze kobiecymi”. Zasadnicze nurty kobiecości przenikają całość kultury masowej. Wielka prasa popularna jest bardziej kobieca niż męska (ilość miejsca poświęconego tematom sentymentalnym, modzie, gospodarstwu domowemu itd.). Za czasów filmu niemego, przemysł kinowy wytwarzał równoległe filmy o cechach kobiecych, sentymentalne i filmy o cechach męskich, agresywne, brutalne. Obecnie wytwarza przeważnie filmy synkretyczne, w których zawartość sentymentalna miesza się z zawartością brutalną. Morin wnioskuje z tego, że istnieje tendencja do mieszania tematyki męskiej z kobiecą, z przewagą tematyki kobiecej. Analizując tak charakterystyczne dla kultury masowej zjawisko „cover-girl”, Morin zwraca uwagę na fakt, że piękna dziewczyna figuruje zarówno na okładkach pism kobiecych, jak na okładkach tygodników ilustrowanych dla publiczności mieszanej. Dla czytelniczek w obu wypadkach gra tu rolę model identyfikacyjny uwodzielejskiej kobiety, kobieta jest podmiotem, podczas gdy dla czytelników kobieta pozostaje przedmiotem — zmysłowego pożądania. Sam fakt natomiast, że nie istnieje męski model identyfikacyjny, jest dla Morina jeszcze jednym dowodem, że wartości kobiece górują w kulturze masowej. Istnieją co prawda w kulturze masowej dziedziny wyłącznie męskie, ale te dziedziny, to sport, dziu-dżitsu, polowanie podwodne itd. Wartości męskie przejawiają się zatem wyłącznie w grach i zabawach, podczas gdy podstawowa „praxis” kulturalna dotyczy wartości kobiecych — miłości, wygody, dobrobytu, szczęścia.

Nie jest zatem przypadkiem, że Bouthoul i Morin odwołują się do podobnych obrazów archetypicznych kobiety. Jeśli cywilizacja wschodnie chcą uniknąć zagłady przez przeludnienie, pisze Bouthoul, „będą one musiały wytworzyć z kolei typ bohaterów ibsenowskich, bezpłodnych i zbuntowanych przeciw patriarchalnej uległości mężczyźnie. Będzie to rewanż Lilith”. Podczas gdy Morin pisze: „Nie tylko wartości kobiece wcielają się i zaczynają dominować w społeczeństwie, podczas gdy wartości męskie cofają się w dziedziny bądź to marzenia, bądź zabaw i sportów, ale zarysowuje się i zaczyna się narzucać nowy model kobiety, analogiczny do pradawnych wielkich bogiń Azji Mniejszej, będących zarazem dziewicą i prostytutką, którym towarzyszy kochanek — satelita. Istnieje oczywiście nadal idealny model

męczyzny, zarazem twardego i czulego, opiekuńczego i potrzebującego opieki, ale nie jest to już model dominujący. Przy końcu przygody zachodniego Fausta, podnosi się śpiew wiecznie kobiecego”.

Lilith, którą Bouthoul przywołuje na pomoc, Wielka Bogini, którą wymienia Morin, są oczywiście wcieleniami Białej Bogini Roberta Graves, należą do Królestwa Matek Goethego, związane są z najstarszym kultem Pierwotnej Bogini, z cywilizacją matriarchalną, która była udziałem ludzkości zanim Ojciec dokonał rozdziału między Złem a Dobrem. Nostalgia do tej cywilizacji spontaniczności i natury przejawia się coraz częściej we współczesnej sztuce i poezji i przenika aż do kultury masowej. Czyżby Johann-Jakob Bachofen miał rację gdy przewidywał ostateczną klęskę cywilizacji patriarchalnych? Mówiąc o podstawowym psychologicznym motywie Edypa, Morin zapytuje nawet: „Czy istnieje jeszcze dziś władczy Ojciec, którego trzeba zabić aby wydrzeć mu berło i utożsamić się z nim? Zapewne dopiero w chwili początku dekadencji edypowej sytuacji to wielkie Tabu mogło być wreszcie rozpoznane, odsłonięte, sprofanowane przez psychanalizę. Freud zaznaczył być może koniec tego sakralnego misterium”.

Ale kultura masowa przynosi jeszcze bardziej bezpośrednią odpowiedź na obawy wyrażane przez Bouthoula. Morin co prawda o tym nie wspomina, ale z książki jego tym niemniej jasno wynika, że kultura masowa jest potencjalnie kulturą regulacji urodzin, kulturą maltuzjańską. Świat kultury masowej jest przeżyty erotyzmem naskórkowym i uogólnionym, który niewątpliwie rozprasa koncentrację seksualną. „Każdy postęp erotyzmu — pisze Morin — pociąga za sobą osłabienie różnic seksualnych i współczesny rozwój homoseksualizmu jest jednym zaledwie z aspektów tego osłabienia”. Sama koncepcja życia, którą przejawia kultura masowa oparta jest na indywidualnym i prywatnym szczęściu, osiąganym w intensywnie odczutej chwili obecnej. To szczęście dotyczy nie rodziny, a pary kochanków. Współczesna cywilizacja rozwija hedonizm terażniejszości, złożony z dobrobytu, wygody, konsumpcji, przeczący tradycyjnym koncepcjom ludzkiej egzystencji, w których człowiek poświęcał swoją terażniejszość dla przechowania wartości przeszłości (swoich rodziców) i dla inwestycji na rzecz przyszłości (swoich dzieci). Filmowy „happy-end”, oparty na intensywnie przeżywanej chwili obecnej, zastąpił zakończenie dawnych bajek, rytualne „żyli sto lat i mieli dużo dzieci”.

Ale czy ten „maltuzjanizm” kultury masowej może działać na ekskolonialny Trzeci Świat, tam właśnie gdzie przeludnienie jest najgroźniejsze? W społeczeństwach zachodnich mentalność i kultura zostały przetworzone, zgodnie z przewidywaniami Marksa, przez przemiany gospodarcze i społeczne. Ale współczesni marksiści, równie poważni jak Naville i Lefebvre, odkryli już, że światowy dynamizm nowych środków komunikacyjnych (od transportu statkiem i samolotem, aż po telekomunikacje, poprzez

radio, prasę, telewizję i kino) gra rolę społecznego motoru, zanim infrastruktury tradycyjnych społeczeństw zostaną przekształcone. „Świat środków komunikacyjnych będzie dominował świat produkcji jak społeczeństwo nad społeczeństwem”, pisze Naville. W Trzecim Świecie przemysł ultra-lekki, przemysł komunikacji (radio i kino w pierwszym rzędzie) zaczyna rewolucyjny proces w mentalnościach zanim społeczeństwo się przemieni. Kto wie czy owa azjatycka Lilith, którą przyzywa Bouthoul, nie zaczyna już marzyć o emancypacji, o dobrobycie, o życiu indywidualnym?

W ten sposób krocząc po omacku w kierunku możliwego już dziś materialnie rozkwitu, ludzkość wytwarza sama formy odtrutek na niebezpieczeństwa, które temu rozkwitowi zagrażają. Poświęcona nadziei książka Morina przynosi elementy odpowiedzi na książkę Bouthoula, poświęconą niebezpieczeństwu. Nie jest wykluczone, że tylko przekładając cywilizację i wolność nad wzrost i pokusę wieczności choćby w anonimowej formie ciągłości gatunku, mogłaby się ludzkość uwolnić od form alienacji, które znała dotychczas: do Marksa droga wiodłaby przez Malthusa. Zresztą czy ludzkość skazałaby się w ten sposób na wygaśnięcie, raz położywszy tamy swemu pędowi życiowemu? Wątpię w to, nie wierzę w „koniec historii” w żadnej formie.

Nowa rewolucja przemysłowa ze swymi elementami automacji, techniki atomowej, elektroniki, ze swą siecią komunikacji, ze swą kulturą masową nie prowadzi nas zapewne do „Złotego Wieku”. Jak mówi słusznie Morin usunięcie jednych form alienacji nie wyklucza pojawienia się nowych. Ale dodaje on: „Jeśli nie ma magicznych odpowiedzi na sprzeczności egzystencji, sprzeczności te są w ciągłym ruchu, a ruch ten wytwarza odpowiedzi, które z kolei są w ruchu...”.

K. A. JELEŃSKI

PRZEDSTAWICIELSTWO BANKU P.K.O.

**PRZEKAZY
PIENIĘŻNE
DO POLSKI**

CENTRALA WYSYŁKOWA

HASKOBA LTD

121 Earls Court Rd, London S. W. 5



Notatnik nieśpiesznego przechodnia

HAARLEM

De Grootte Markt

De Stadhuis czyli ratusz ma od rana wygląd odświętny. Schody wspinające się z dwu stron do wysoko umieszczonych w murze drzwi są wysłane czerwonym chodnikiem. Jest to zapowiedź mających się odbyć ślubów cywilnych. Jest ich dziś dwa: jeden skromny, drugi bardziej paradny.

Przed ratusz zajeżdżają cztery czarne samochody, dobre do wesela, jak do pogrzebu. Z pierwszego wysiadają: panna młoda w białym *deux pièces* i pan młody w nowym brązowo-liliowym garniturze z białym goździkiem w butonierce. (W takim samym ubraniu widziałem kiedyś przemawiającego w auli Martina Heideggera). Oboje są bardzo młodzi i zdają się pochodzić ze wsi. Z następnych wozów wysiadają rodzice i zaproszeni. Potem widać na schodach gości przybyłych pieszo.

W pół godziny później przed ratuszem zatrzymuje się sześć samochodów, tym razem czarno-białych, przybranych girlandami kwiatów. Panna młoda ukazuje się w białym obłoku muślinów, pan młody w długim żakiecie, z cylindrem w ręku.

Wszystko to widać jak na dłoni z kawiarni Brinkmanna, od której znawcy radzą zaczynać zwiedzanie miasta. Kawiarnia jest rozmiaru paryskiej Café de la Paix. Przed nią, na chodniku z czerwonego klinkieru stoją cztery rzędy krzeseł, z których można objąć wzrokiem cały *Grootte Markt* czyli rynek. Dokoła niego stoją: *Sint-Bavo*, *Vleeshal*, wzmiankowany już ratusz i koło dziedzińcu starych domów.

Oswojenie się z miastem wymaga chwili refleksji. Podobnie jak Wenecja, Haarlem uderza w pierwszej chwili jako twór wyobraźni, potem dopiero można odróżnić inne elementy obrazu miasta. Wenecję przypomina tu jedność architektury, czerwień murów i białe obwódki okien, cisza uliczek i kanałów, wreszcie

siła tradycji, dzięki której oba miasta zachowały swój dawny wygląd.

Obecny rynek był zapewne kiedyś jednym z wzniesień za ledwie wystających z wody, na których Pliniusz Starszy widział ubogie lepianki. Przy wysokim stanie wody — notuje rzymski autor — mieszkańcy mogli łapać ryby nie wychodząc z domu. W wiekach średnich feudalni panowie przyjeżdżali polować w sąsiednich lasach i odpoczywali potem w obecnym ratuszu. Hrabia Holandii Willem II nadał Haarlemowi prawa miejskie w połowie XIII wieku. Rynek nazywał się wówczas *de Zand* — piasek — i widział zapewne turnieje miejscowych rycerzy, którzy brali udział w wyprawach krzyżowych. Kilka starych obrazów i przechowywany na ratuszu gobelin przedstawiają zdobycie przez nich w 1219 r. Damietty u ujścia Nilu.

Mam przed sobą opis Flandrii z połowy XVI wieku pióra florenckiego podróżnika Ludwika Guicciardiniego. W tym pięknie ilustrowanym druku arnhemskim z 1613 r. włoski podróżnik chwali Haarlem jako najpiękniejsze miasto Niderlandów, miejsce wynalezienia i pierwszego rozwoju sztuki drukarskiej. Laurens Janszon Coster, którego pomnik wznosi się na środku rynku, naprzeciw kawiarni Brinkmanna, uchodzi w Haarlemie za wynalazcę druku. Z Guicciardiniego dowiaduję się, że wynalazek ten był przez długi czas otaczany tajemnicą, jak dziś fabrykacja bomb atomowych. Współpracownicy Costera musieli przysięgać, że go nie zdradzą, jeden z nich uciekł jednak do Moguncji i wydał tajemnicę Gutenbergowi. Oglądane przeze mnie w miejscowym muzeum costeriana są drukami odbijanymi z drewnianych plansz jak drzeworyty. Wobec tajemnicy otaczającej początki tego rzemiosła trudno zapewne dojść prawdy. Już Guicciardini odradzał powątpiewać w Haarlemie o pierwszeństwie wynalazku Costera. Cokolwiek o tym myśleć, sztuka drukarska rozwinęła się wcześniej w Holandii i przemysł graficzny jest dotąd jednym ze źródeł zamożności Haarlemu.

Miasto ma za sobą długą przeszłość, przechodziło oblężenia, okresy upadku i odbudowy. Do XVII w. historię jego poznajemy z książek; poza *Sint Bavo* nie widzimy jej w pomnikach i zabudowaniach. Patrząc na dzisiejszy rynek nie możemy sobie jasno wyobrazić turniejów, wymarszu rycerzy do Damietty ani Costera odbierającego przysięgę od drukarzy. XVII i XVIII wiek są natomiast żywe na każdym kroku. Haarlem zatrzymał się w swym złotym wieku, za jaki mieszkańcy jego uważają wiek XVII. Domy z ciemnoczerwonej cegły i okna w białych obwódkach, które malowali Pieter de Hooch i Vermeer, stoją przed nami. Firanki w oknach i dywany bucharskie rozścielane na stołach

zamiast serwet są takie same jak we wnętrzach malowanych przez Rembrandta, Ferdynanda Bola, Gerarda ter Borchę, Coddego i innych. Rysy wielu przechodniów przypominają portrety Fransa Halsę i Versproncka. Jeżeli na ulicach nie widzimy scen w rodzaju Jana Steena, Brouwera i braci Van Ostade, pamiętajmy, że od tych malarzy oddzieliły nas obyczaje wieku Oświecenia. Klienci Brinkmanna siedzą swobodni i towarzyscy, jak w salonach dwóch ostatnich stuleci.

Sint Bavo

Czczony w Gandawie i Haarlemie św. Bavo jest mało znany gdzie indziej. Wiadomo o nim tyle, że za Karola Martela był pustelnikiem i nawrócił na drogę cnoty sześćdziesięciu szlachetnie urodzonych rycerzy, co w owych czasach musiało być we Flandrii równie trudne jak dziś. Zbudowany pod jego wezwaniem w Haarlemie kościół jest gigantem średniowiecznej architektury. Jego widoczną z dala sylwetkę spostrzegamy na horyzoncie kilku obrazów Ruysdaela i innych pejzażystów szkoły haarlemskiej.

Ołtarze znikły zeń w czasach Reformacji i olbrzymie wnętrza wydaje się puste. Otchłanie wieków dzieli od siebie nieliczne przedmioty. Stalle z wyrzeźbionymi w drzewie postaciami ludzi i zwierząt są bardzo średniowieczne. Na otaczających ambonę ławach honoratorów leżą ogromne Biblie, pomniki dawnej sztuki drukarskiej. Pod rokokowym organem bieleje marmurowa płaskorzeźba: dystygowana dama w greckiej szacie, personifikująca miasto Haarlem, przyjmuje na niej gratulacje muzyki i poezji; łaciński napis mówi o idach marca 1738 r.

Podłoga kościoła składa się z kamiennych płyt z resztkami napisów i emblematów startych stopami pobożnych. Są to groby dawnych honoratorów, którzy przez pokorę chrześcijańską kazali się grzebać w tym miejscu. Mniej starta płyta przykrywa grób Fransa Halsę.

Kościół nie jest opalany i pod ławkami stoją *stoofjes* do ogrzewania nóg. Są to drewniane skrzynki z pięciu otworami na wierzchu. Do środka ich wkłada się gliniane naczynie zwane *test*, z żarzącym się węglem.

Zewnętrzne ściany kościoła oblepione są niskimi domkami, w których kiedyś zapewne handlowano dewocjonaliami, obecnie zaś mieszczą się antykwariaty. O starości ich świadczą niskie pułapy, obliczone na wzrost ludzi dawnych wieków. W innych miastach XIX-wieczni restauratorzy oczyścili średniowieczne kościoły z tych handlowych naleciałości. Gotyckie katedry stoją zazwyczaj na pustych placach, oderwane od życia, widmowe. *Sint Bavo*

jest rzadkim wyjątkiem. Konserwatorzy haarlemscy zachowali swój kościół w postaci, w jakiej został im przekazany przez historię.

Vleeshal

Wyraz ten oznacza halę mięsną, rynek rzeźniczy. Wiadomość o pierwotnym przeznaczeniu tego budynku jest dla patrzącego niespodzianką. Wszystko zresztą jest niespodziane w tym domu, stojącym obok kościoła. Edmondo De Amicis wziął go w pierwszej chwili za indyjską pagodę. Fasada jego nie odbiega daleko od przyjętych w Haarlemie wzorów: zwęża się ostro ku górze między stromiznami dwuspadowego dachu. Lieven de Key, architekt miejski z początku XVII w., umieścił na jej ciemnej czerwieni tyle ozdób, że całość sprawia wrażenie wymyślnej i rozrzuconej fantazji architektonicznej. Przyglądając się bliżej spostrzegamy, że efekt ten osiągnięty został przy pomocy prostych i skromnych środków. Dom ten, najpiękniejszy na rynku, jest odwrotnością tzw. funkcjonalnej architektury naszych czasów.

Domy i ulice

Poza paru głównymi arteriami ulice Haarlemu wybrukowane są czerwonym klinkierem. Od jednolitej czerwieni fasad i bruków odcina się biel okien i gzymsów. Błotnisty grunt nie sprzyjał wznoszeniu wysokich budowli i domy Haarlemu rzadko przekraczają trzy piętra, z których najwyższe ma przeważnie tylko jedno okno. Wskutek usuwania się gruntu niektóre domy pochyliły się jak wieża w Pizie, ale dzięki nieznacznej wysokości obcho- dzą się bez podpórek.

Mieszkańcy rzadko zamiatają ulice, przywiązują natomiast szczególną wagę do okien. Ramy ich są zawsze świeżo malowane. Szyby są z najpiękniejszego szkła, jakiego gdzie indziej używa się do wyrobu luster. Mycie ich odbywa się co tydzień. Na chodnikach spotyka się co chwila drabiny, na których stoją mężczyźni zajęci myciem okien. Gdzieś tam zachowały się szyby o liliowo-różowym odcieniu, modne w poprzednich stuleciach.

Firanki częściowo tylko zasłaniają okna parterowe i przez lustrzane szyby widać z ulicy wnętrza mieszkań: zasłane dywanami stoły, stare meble, wygodne fotele. W głębi — jak na obrazach Vermeera — widać często okno wychodzące na podwórze z nieoczekiwaną zielenią ogrodu. Domy o bardziej pałacowym wyglądzie stoją w głębi podwórza lub posiadają przed

drzwiami niewielki peron z dwoma rzędami schodów. Brak budynków nowych zwraca uwagę w śródmieściu. Wciąż malowane i myte, domy robią wrażenie świeże, są jednak w istocie stare. Pokoje mieszkalne są obszerne, wysokie, jakie można widzieć w Rzymie, ale jakich nie ma dziś nigdzie w domach nowych. Dowiaduję się, że wielu bogatych przedsiębiorców z Amsterdamu posiada mieszkania prywatne w Haarlemie.

Nieprzerwana ciągłość życia, nieustanna obecność wieków poprzednich uderza na każdym kroku przechodnia. W antykwarriatach sztychy mówią o starym Haarlemie. Jak w dawnych czasach domy zdają się służyć tylko do mieszkania i nic nie zdradza, aby ktoś myślał o ich rentowności. Ciągłość widać także w ich wnętrzach. W większości krajów Zachodu style i mody zmieniały się w trybie rewolucyjnym. Nowi ludzie przychodzili z nowym stylem i wynosili na strychy stare rupiecie. Holendrzy utrzymują starannie meble, nie pozwalając im zdeklasować się przez zużycie. Nawet meble nowe, lepiej przystosowane do ich obecnego wzrostu, zachowują coś z dawnych wzorów i zdają się być przeznaczone do wiecznego trwania.

Zdolność trwania ożywia w Haarlemie najskromniejsze nawet i na pozór na nic nie przydatne przedmioty. Żadnym z nich się nie gardzi. Świadczą o tym liczne bazyry wypełnione najdziwniejszymi przedmiotami. Leżą tam obok siebie okazy zdekompletowanej porcelany, lampy naftowe, malowane kafle zwane *tegeltjes* używane pióra strusie, buty bez pary, godne pędzla Van Gogha, kufrы o wypukłym wieku, jakie ostatni raz widziałem przed pięćdziesięciu laty u mojej babki na Ukrainie, i inne przedmioty, których pierwotne przeznaczenie trudno nieraz odgadnąć. Nie są to *lacrimae rerum*. Przeciwnie, wydają się wesołe, ożywione nadzieją jakiegoś niespodzianego zastosowania i przebudzenia się do nowego życia. Nadzieja ta jest być może uzasadniona. Mimo rozpowszechnienia w Haarlemie aparatów do ogrzewania promieniami infraczerwonymi miejscowi garncarze nadal wyrabiają gliniane naczynia, służące do ogrzewania *stoofjes*, jakie widziałem w *Sint Bavo*.

Próba uogólnienia

Haarlem posiadał już w dawnych wiekach pewien przemysł. Gucciardini wzmiankuje jego sławne wyroby tkackie. Dziś posiada także przemysł metalurgiczny. Mimo to nie widać w nim żadnych śladów tzw. rewolucji przemysłowej, która w XX wieku, a zwłaszcza w ciągu ostatnich dziesięciu lat, przeobraziła głęboko większość miast Europy. Spokojniejszy przebieg tej rewolucji w

jego murach Haarlem zawdzięcza być może temu, że zamożność jego pochodzi w znacznej mierze z handlu.

Handel liczy na różnorodność zajęć, potrzeb i gustów. Nawet fantazje, zachcianki i kaprysy stwarzają nowe zapotrzebowania i możliwości wymiany. Przemysł wytwarza ograniczoną ilość typów towaru; kaprysy mody i fantazje indywidualne nie są mu na rękę. Niwelacja potrzeb i gustów odpowiada mu lepiej. Przemysłowcy starają się wznosić bariery celne, kupcy zabiegają o ich zniesienie. Kupiec obraca swym kapitałem, przemysłowiec inwestuje go i musi dbać o rentowność inwestycji. Nawet kiedy posiada prywatną galerię obrazów, dobór ich zdradza troskę o opłacalność tej fantazji. Przemysł i handel prowadzą do różnych typów zachowania się, być może nawet do różnych cywilizacji.

Liczenie na wyobraźnię nabywców, na różnorodność ich gustów i kaprysów, nie zawiodło obywateli Haarlemu. Świadczy o tym fantastyczna historia tulipanów, które w XVIII w. rozpowszechniły się w całej Europie i stały się jednym z pierwszych przedmiotów wielkiej spekulacji. Ogrodnicy z Haarlemu zaczęli wówczas wprowadzać na rynek coraz to nowe odmiany tulipanów i różnorodność ich produkcji obudziła wyobraźnię nabywców. Każdy chciał posiadać jakąś inną, mniej znaną odmianę. Za najrzadsze płacono do 60.000 guldenów. W swej książce o zbiorowej sugestii i hipnotyzmie, zuryjski etnograf Otto Stoll opisuje tę spekulację jako objaw zbiorowej psychozy. Książka jego ukazała się przed 60 laty. Od tego czasu byliśmy świadkami wielu innych zbiorowych obłądów. W porównaniu z nimi spekulacja tulipanami wydaje się szaleństwem niewinnym, niemal dobroczynnym. Zapewne, wielu straciło przy tym pieniądze, ale zamiast bezwartościowych papierów i kompromitujących orderów pozostały im cebulki pięknych, odnawiających się każdej wiosny kwiatów. Handel tulipanami przetrwał spekulację i kwitnie nadal w Haarlemie, gdzie znajduje się giełda cebulek kwiatowych. Całe pola tulipanów otaczają miasto.

Antykwariusze Haarlemu, liczący również na różnorodność gustów, posiadają ogromne zapasy książek ze wszystkich czasów i we wszystkich językach. U jednego z nich znalazłem książkę rumuńską, której na próżno poszukiwałem gdzie indziej.

Frans Hals

Haarlem posiada muzeum Fransa Halsy, zawierające również obrazy innych mistrzów miejscowej szkoły. Jest to wspinały budynek z 1606, noszący znamiona geniusza ówczesnego

architekty miejskiego Lievena de Key. Prócz obrazów zebrano tam też trochę starych mebli z różnych epok, od XVII w. do czasów Napoleona. Każdej soboty setki świec zapalają się tam w starych kandelabrach, dając możliwość oglądania obrazów we współczesnym oświetleniu.

Podczas mego pobytu zgromadzono w muzeum także obrazy Halsy wypożyczone z muzeów Stanów Zjednoczonych i innych krajów, nie wyłączając Czechosłowacji i Węgier. Była to wyjątkowa okazja zobaczenia dzieł mistrza rozproszonych po świecie.

Frans Hals jest wyłącznie portrecistą. Postacie jego składają się z trzech elementów: twarzy, rąk i charakterystycznego szczegółu ubrania. Przy tym uproszczeniu portrety jego osiągają ogromną siłę wyrazu i zostawiają niezatarte wspomnienie. Chodząc ulicami Haarlemu miałem je wciąż przed oczami i, jakkolwiek wiele tygodni minęło już od tego czasu, powracam do nich wciąż myślą.

Haarlemmer Hout

Słowa te znaczą: Haarlemski Las. Jest to nie tyle las, ile park. Od śródmieścia dzieli go kanał, w którym przegląda się czerwień domów i białe obwódki okien.

Woda jest tu nie głęboko, dzięki czemu dęby, buki, jesiony i lipy osiągają rzadką gdzie indziej wysokość i rozłożystość. Patrząc na ich strzeliste pnie mam wrażenie, że ta leśna architektura jest w jakiś sposób spokrewniona z gotykiem, jak włoski *bosco* z arkadami ulic. Półmrok przerywają słoneczne polanki, pozostałe po upadku jednego z leśnych olbrzymów.

Nieliczna publiczność dzieli się na dwie kategorie: na młodzież szkolną i na samotnych mężczyzn, idących w głąb lasu, jak gdyby w zamyśleniu. Są to szukający po wysiłku umysłowym chwilowego odprężenia. Tak zapewne przechadzali się tu Frans Hals i Lieven de Key. W naszej cywilizacji przemysłowej alternacja wysiłków i odprężeń regulowana jest środkami farmaceutycznymi. Rano bierzemy *stimulantia* sprzyjające skupieniu i pracy, dla tzw. relaksacji bierzemy *tranquillizers* i nie możemy potem zasnąć bez środków nasennych. Konserwatywni mieszkańcy Haarlemu trzymają się starszych recept.

Spotkanie z mieszkańcami

Na skraju parku stoi *Huize Van Looy*. Współczesny Wyspiańskiego, Jakob van Looy był zarazem pisarzem i malarzem. Obrazy i szkice jego nie wyrażają silniejszej indywidualności, zdradzają natomiast wielką wrażliwość na zmienne prądy tego

czasu i atmosferę różnych krajów i środowisk. Są to jak gdyby świadectwa intensywnego i bogatego życia. Żona jego, Titia van Gelder, pochodziła z rodziny, której nazwisko znane jest wszystkim miłośnikom książek na pięknym papierze. Po śmierci męża zbudowała obok domu obszerne pomieszczenie na pozostałe po Jakubie van Looy obrazy i rysunki. Do drzwi tego domu zadzwoniliśmy któregoś przedpołudnia, chcąc obejrzeć umieszczone tam na czas wystawy obrazy z muzeum Fransa Halsa.

Moją przewodniczką po Haarlemie była urodzona w Holandii pianistka, która spędziła długie lata poza krajem i zwiedzała go teraz na nowo. Na nasz dzwonek mężczyzna wyglądający na lat sześćdziesiąt otworzył drzwi i wprowadził nas do muzeum. Po chwili wrócił z drugim, nieco starszym panem. Obaj przyglądali się dyskretnie, lecz z niesłabnącym zainteresowaniem mojej towarzysze. Wydawali się czymś wzruszeni.

Streszczę tu krótko historię tego niespodziewanego spotkania. Starszy z dwóch panów był niegdyś kucharzem Van Looy'a, młodszy jego służącym i modelem. Po jego śmierci pozostali przez 10 lat na służbie u pani Titii, pomagając jej w zbieraniu pamiątek po mężu i urządzaniu muzeum. Po jej śmierci, będąc żywą kroniką życia i twórczości Van Looy'a, zostali kustoszami jego domu. Ze swych skromnych środków skupywali nadal rozproszone rysunki i dodawali je do zbiorów. Przyczyną ich wzruszenia było uderzające podobieństwo mojej towarzyszki do pani Van Looy. Podobieństwo to nie było zresztą zupełnie przypadkowe, bo Titia van Gelder była rodzoną siostrą jej prababki. W końcu dnia pełnego rozmów i wspomnień kustosze domu Van Looy'a pożegnali moją towarzyszkę w następujących słowach:

— Pani pojawienie się było nagrodą za naszą wierność pamięci Van Looy'a i pani Titii. Nigdy pani nie zapomnimy.

Typ cywilizacji

Kobiety holenderskie gotują w kuchni tylko raz na dzień, wieczorem, i nie chodzą z koszykami po zakupy. Dzień rozpoczyna się od doskonałego śniadania zwanego *hollandse ontbijt* i podobnego — mniej owsianka — do angielskiego *breakfastu* z czasów królowej Wiktorii. Drugi posiłek, między godz. 12 i 15, jest skromniejszy. Składa się z filiżanki kawy i bułki z szynką lub rostbefem. Głodniejsi jedzą *uitsmijter*, kromkę chleba z szynką, na którą rzucone jest jajko z patelni, i piją szklanek piwa. Wielu nie wraca w południe do domu. Dzięki temu porządkowi dnia kobiety zyskują wiele wolnego czasu. W porze południowej można je przez lustrzane szyby widzieć pogrążone w

lekturze; inne piją kawę u Brinkmanna. W wielu domach widziałem fortepiany. Holenderki przebywające poza krajem odczuwają gotowanie w południe i nawet jedzenie w zatłoczonych lokalach jako pozbawienie przysługującej im swobody i wolnego czasu. Dopiero posiłek wieczorny gromadzi wszystkich domowników. Starannie przyrządzony, spożywany jest bez pośpiechu; jest godziną odprężenia po pracy, wymiany zdań i życia rodzinnego.

Przy krótkości przerwy południowej nie wszyscy porzucają pracę o tej samej godzinie, dzięki czemu nie widać nigdzie tłoku i pośpiechu. W godzinach największego nasilenia południowego *koffie drinken* u Brinkmanna jest zawsze kilkanaście wolnych stolików. Tłoku i pośpiechu nie ma również przy autobusach i na kolei. Na głównej linii idącej przez Utrecht, Amsterdam, Haarlem, Leiden, Hagę i Rotterdam pociągi chodzą co 12-15 minut. Wszyscy znajdują miejsca siedzące. Koleje są o połowę tańsze niż w krajach sąsiednich.

Jedną z osobliwości miast holenderskich są *hofjes*, zwracające uwagę na głównych ulicach śródmieścia Haarlemu i Amsterdamu. Są to domy dla osób starszych. Nie nazwiemy ich przytułkami, bo wyraz ten nie odpowiada ani wyglądowi budynków ani trybowi życia mieszkańców. Wchodząc do *hofje* przez bramę mamy przed sobą obszerny trawnik z paru starymi drzewami, otoczony zwartym czworobokiem dwupiętrowych domów z czerwonej cegły. Przed każdym z nich znajduje się kilkanaście metrów kwadratowych ogródka z kwiatami, koło których krząta się kilka niemłodych postaci. Instytucje te datują się z XVII wieku. Widać od razu, że nie szczędzono na nie pieniędzy. Pałac mieszczący obecnie muzeum Fransa Halsa przeznaczony był pierwotnie na dom starców, *oude-mannenbuis*. Historię tego budynku, dzieła Lievena de Key, przeczytać można na marmurowej tablicy w przedsionku, zaczynającej się od słów *felix senectus*, szczęśliwa starość. *Hofjes* dają pojęcie o zwartości wewnętrznej gmin miejskich w XVII wieku.

Holandia była od dawna i pozostała, krajem bardzo zamożnym. Dziś jest na pewno zamożniejsza niż w 1923 r., kiedy widziałem ją po raz ostatni, podczas strajku generalnego. *Prosperity* jest w niej jednak mniej burzliwa niż w innych krajach naszego kontynentu. Złoty deszcz pada na nią równo i spokojnie, bez piorunów i grzmotów, nie stwarzając zagadnień przerastających inteligencję i zdolności wykonawcze mieszkańców.

Poznać to można z samego wyglądu miast, ich konserwacji i rozbudowy. Holendrzy otamowali u siebie spekulację terenami budowlanymi, grożącą zburzeniem wszystkich starych miast Europy. Co oszczędziły bomby, burzone jest przez spekulację. Roz-

biórka zagraża Wenecji, mieszkańcy Padwy obawiają się o los swego Prato della Valle, najpiękniejszego placu świata, który, przy obecnych cenach terenów budowlanych, zdaje się zajmować zbyt wiele miejsca. Mimowoli nasuwa mi się porównanie między Haarlemem i Bernem, w którym piszę te słowa. Patrząc z wzniesienia na zabytkową część miasta widzę nad nią las żurawi, zajętych rozbiórką dawnych siedzib patrycjuszów i wznoszeniem na ich miejsce bardziej rentownych biurów. W Haarlemie nie widziałem ani jednego żurawia i żadnych w ogóle robót murarskich w śródmieściu. Nowe dzielnice wznoszone są na nowych terenach.

Niewielki nawet kontakt z ludnością prowadzi do dalszych porównań. W krajach przemysłowych, zanim zdecydowano się sprowadzać masowo robotników włoskich, hiszpańskich i afrykańskich, wyczerpano do końca zdolność do pracy miejscowych obywateli. W Bernie widuję często ludzi wracających z biura w stanie zupełnego wyczerpania, szoferów prowadzących ciężarówkę przez 18 godzin na dobę w stanie bliskim somnambulizmu i inne przykłady pracy na granicy wytrzymałości ludzkiego organizmu. Ten tryb pracy wprawia w zdumienie Holendrów. Amsterdamski antykwariusz, bywający często w Szwajcarii, mówi: „Ludzie nie mają tam czasu na zatrzymanie się nawet przed własnym grobem”. Takie ekscesy pracowitości nie byłyby zapewne w ogóle możliwe, gdyby nie sprzyjały im protestanckie pojęcia religijne o pracy i cierpieniu jako jedynym sensie życia. Holendrzy są wprawdzie także w większości swej protestantami, lecz ich pojęcia religijne mają widocznie jakiś inny sens lub interpretację. Gdy obserwowałem w Haarlemie powracających z pracy, wydawało mi się mało prawdopodobne, aby jakiś obywatel tego miasta zgodził się za podwójną lub potrójną płacę prowadzić ciężarówkę przez 18 godzin na dobę, i aby inni użytkownicy szos na to przystali.

Zandvoort

Bloemendal i Zandvoort, odległe o kilkanaście minut jazdy autobusem, są plażami Haarlemu. Jadąc tam w dzień chmurny i wietrzny przypomniałem sobie, że kiedyś pływałem po tym morzu wzdłuż brzegów niemieckich, na niewielkim żaglowcu rozwożącym sprzęt i towary dla nadbrzeżnych rybaków. Raz płynęliśmy ostrożnie w gęstej mgłę nasłuchując, czy nie odezwie się dzwon lub westchnienie boji przestrzegającej przed mielizną. W wodzie sprostargłem nadgryziony ogórek ze śladami zębów. Pokazałem go kapitanowi, który przez chwilę śledził ogórek, płynący powoli wzdłuż burty:

— Znaczy, że jesteśmy przed... (wymienił osadę, której nazwy już nie pamiętam). To tam siedzą ci szatańscy marynarze z wielkimi zębami, co złośliwie gorzałe na statkach i zagryzają ogórkami. Teraz z prawej strony powinny się pokazać czerwone boje.

Morza tego nie widziałem od tamtych czasów. Jakie wyda mi się teraz? W Zandvoort, nie patrząc na nic, zbiegłem po drewnianym chodniku na plażę. Siekl drobny deszcz, wiatr zrywał mokry piasek i pędził go smugami jak śnieg w zadymkę. Na plaży nie było żywej duszy. Szedłem wąskim pasem twardego piasku. Fale cofały się odeń z cichym szelestem. Przypływ dobiegał końca. Wiatr szarpał mnie za płaszcz, deszcz zalewał oczy. Nieco dalej, za barierą łamiących się fal, woda zdawała się wzbierać i pod porywami wiatru pokrywała się błyszczącą łuską. Źle jest być na morzu w taki dzień.

Po pół godzinie szarpania się z wiatrem zawróciłem przeciwnie do Zandvoort. Na wydmach stało tam kilka nowych bloków mieszkaniowych, wynajmowanych w sezonie letnikom. Dalej droga szła przez wesołe miasteczko z drewnianych, rozbiętych na zimę budynków. Stała tam obszerna rotunda mieszcząca włoski dancing, następnie wielki ponury budynek z napisem Bavaria. U wejścia wspinał się na tylnych łapach kolosalny lew merdający ogonem i z głuchym rykiem podnoszący do paszczy kufel piwa marki Löwenbräu. Nigdzie żywej duszy. Melancholia miejsc przeznaczonych do zabawy. Tylko na placu przed dworcem czekał pusty autobus.

Amsterdam

Amsterdam jest milionowym miastem, pociętym we wszystkich kierunkach kanałami, w których przegładają się ciemnoczerwone fasady i białe obwódki okien. Podobnie jak w Haarlemie, śródmieście jest zachowane doskonale, wciąż myte i malowane na nowo. Jednolitość architektury ukrywa nieskończoną różnorodność rang społecznych, zajęć, rzemiosł, gustów i obyczajów. Z hałasu tętniących życiem ulic wchodzi się niespodzianie w strefę ciszy i stojącej wody kanałów. Miejscami odmienne style życia nie odosobniają się, lecz tworzą osobliwą mieszaninę Nalewek i Wenecji. Co krok spotyka się żywe jeszcze pozostałości po wiekach poprzednich. Koło *Prinsengracht* widziałem sklep garncarza, którego dzbanki i miski, ustawione na chodniku, przypominały rynek w Sulmonie lub Kołomyji. Obok na brzegu kanału grała na cały głos *draaiorgel* czyli katarynka pokryta ozdobami w stylu złotego wieku katarynek, tj. drugiej połowy XIX wieku. Koło niej, jak w dawnej Warszawie, stał

człowiek zbierający do czapki *dubbeltjes* (10 ct.) i rzadziej padające *kwartjes* (25 ct.). W sąsiedztwie, na rogu ruchliwej ulicy wznosił się najdroższy skład konfekcji męskiej pod firmą *Nieuw England*. Zaraz za nim, w nieco skromniejszych witrzynach stały trzy manekiny z małymi wąsikami i cylindrami w ręku: pierwszy miał na sobie frak, drugi *dinner jacket*, trzeci długi surdut. Był to, jak głosił szyld, *Kledingverbuur*, zakład wynajmujący ubrania. Za niewielką opłatą można się tam było przebrać za eleganta. Obok szerokich i ludnych ulic znajdują się wąziutkie, ciemne i zaśmiecone jak neapolitańskie *vicoli*, uliczki o starych nazwach w rodzaju *Dubbelworststeeg*, zaułek pod parówką, lub *Mosterdpotsteeg*, zaułek pod słojem musztardy. O kilka kroków od głównych arterii zobaczyć można skromne szynki, w których siedzą chłopcy i dziewczyny o sielskim wyglądzie i manierach.

Mimo malowniczego pomieszania rzeczy i ludzi, dzielnice miasta zachowują swą odrębność. *Koninklijke Paleis*, czworobok z szarego kamienia, stanowi jeden bok obszernego placu zwanego *de Dam*. Naprzeciw wznosi się dumnie Krasnapolski, kompleks hoteli i restauracji zajmujący kilka kamienic. Koło Pałacu Królewskiego zaczyna się zamknięta dla ruchu kołowego główna ulica handlowa zwana *Kalverstraat*, co bym przetłumaczył „ciełętnik”. Najbardziej znaną i szanowaną kawiarnią jest na niej *Café Polen*. Jest to imponująca, wysoka i uroczysta sala, utrzymana w złoto-brązowo-szaro-zielonych odcieniach. Salę o tym rozmiarze i przepychu można by było znaleźć w Polsce chyba tylko na Zamku Królewskim w Warszawie, gdyby wnętrze jego było lepiej utrzymane. Taka aluzja miałaby swoje uzasadnienie historyczne, bo wspomnienia Holendrów o Polsce datują się nie od Wielkiej Emigracji, lecz od czasów Zygmunta Augusta, za którego Niderlandy gościły wielu polskich podróżnych.

Ta dzielnica również posiada dziwne sąsiedztwo. Równoległe do eleganckiego *Damrak'u*, gdzie widzę też *Café Pool*, oddzielona tylko szerokością jednego rzędu domów, biegnie *Nieuwedijkstraat*, uliczka pełna gwarnych spelunek i jeszcze gwarniejszej publiczności, ożywiającej się coraz bardziej w miarę zbliżania się nocy. Kto nie zostawił w domu portfela, niech się w tę uliczkę nie zapuszcza. Tegoż zdania są zapewne policjanci, przechadzający się po niej parami w nieznacznym odstępach.

Zupełnie inne oblicze ma południowa część śródmieścia, gdzie nad okalającymi starszą część miasta kanałami stoją pałace z czerwonej cegły, niegdyś należące do amsterdamskich honoratorów. Tylko niewielka część ich jest jeszcze zamieszkała. Większość mieści dziś biura banków, konsulatów i przedsiębiorstw handlowych. *Spiegelgracht* i *Spiegelstraat* są siedzibą antykwa-

riuszy. Okna ich, pełne starej porcelany, obrazów, mebli, dywanów itd. pozwalają domyślać się, że Amsterdam jest jednym z głównych ośrodków handlu tak zwanymi *objets d'art*

Jeszcze inny obraz przedstawiają okolice uniwersytetu. Amsterdamski *Quartier latin* z jego wąskimi uliczkami, kanałami i placami o nieregularnych zarysach ma w sobie coś z *Venezia minore*. Tam zapewne można znaleźć amsterdamskich marzycieli. Jest to jedno z niewielu miejsc, w którym chciałbym mieszkać na stałe. *Universiteit* znajduje się w końcu uliczki, w której po obu stronach widać tylko witryny i stragany z starymi książkami. Jeden z tych antykwiariatów posiada 150.000 starych szytów. Z uliczki wchodzi się w krytą galerię, też zastawioną książkami. Otwarte drzwi prowadzą z niej na podwórze uniwersytetu, wypełnione bujną zielenią drzew i nie strzyżonego od roku trawnika, na którym stoi popiersie Pallas-Ateny.

Czymś zupełnie odmiennym jest *Rembrandtsplein*, plac Rembrandta, i jego okolice. W każdym niemal domu mieści się tam jakiś teatrzyk lub kabaret, zapraszający przechodnia barwnymi afiszami. Jest to tutejszy Boulevard de Clichy.

Blżej portu znajduje się wreszcie *Kolkje*, dzielnica marynarzy, szynków i dobroczynnych kobiet. Miejscowym obyczajem te ostatnie nie przechadzają się po ulicy lecz uśmiechają się do przechodniów z okien.

Jodenbuurt

Wyraz ten oznacza dzielnicę żydowską. Są to sławne amsterdamskie Nalewki. Prześladowani gdzie indziej, Żydzi znajdowali tam przez wieki schronienie. Spinoza pisał tam swą klawirną łąciną. Tam Rembrandt, który mieszkał na *Jodebreestraat*, znalazł większą część swoich modeli. W życiu Holandii Żydzi mieli równie wybitny udział jak w życiu Polski. Po drodze do *Jodenbuurt* wspominam kolejno wszystkich żydowskich przyjaciół utraconych w latach okupacji.

Aby się dostać do tej dzielnicy z *Rembrandtsplein*, trzeba przejść przez most na rzece Amstel. Leżący na drugim brzegu obszerny plac zwany *Waterlooplein* wydaje się zupełnie pusty. Po środku pali się niewielka kupka skrzynek i gazet. Dokoła nie widać żywej duszy. Dziwne przedmioty leżą na bruku wśród papierów i śmiecia: materace i dziurawe kołdry wyglądające jak gdyby ktoś tu nocował, dalej leży drewniana noga z nowiutkimi rzemieniami. Co się mogło stać z jej właścicielem? W tym tragicznym miejscu każdy przedmiot budzi czujność wyobraźni. Są to zapewne ślady odbywającego się tu przed południem targu,

nigdy jednak nie widziałem równie opuszczonego i bezludnego targowiska. Wśród otaczających plac domów widać liczne wyrwy, puste miejsca po zburzonych budynkach. W miarę posuwania się naprzód liczba ich wzrasta. Na sąsiedniej *Jodenbreestraat* brak połowy domów. Pozostałe wydają się opuszczone. Jeszcze przed kilku laty wiele takich ulic można było widzieć w Europie. Nie ma tu jednak nigdzie śladów bomb. Do *Jodenbuurt* zagłada przyszła z innej strony. Niemcy wyprowadzili mieszkańców na śmierć, potem zburzyli lub rozebrali ich domy. Od dwudziestu lat dzielnica ta stoi pusta, nietknięta, jak gdyby Żydzi mieli tu wrócić. Nieobecność ich jest tu wciąż przytomna, milcząca i krzycząca zarazem.

W śródmieściu Amsterdamu metr kwadratowy terenu budowlanego kosztuje kilka tysięcy guldenów. Kilkadziesiąt pustych placów leży odłogiem w dawnej dzielnicy żydowskiej. A jednak nie widać tu ani jednego nowego budynku. Nie wiem, co powstrzymało Holendrów od zabudowy opustoszałej po uprowadzeniu Żydów dzielnicy. *Jodenbuurt*, pusta i milcząca dzielnica żydowska, jest najwymowniejszym pomnikiem poświęconym zagładzie Żydów i strasznym latom okupacji.

Turyści niemieccy, jeżeli zachodzą do tej dzielnicy, mogą tu zmierzyć siłę przekleństwa, jakie rzucili na nich Hitler i jego zwolennicy.

Muzea

Obrazy mistrzów holenderskich rozproszone są po wszystkich galeriach świata, główne zbiory pozostały jednak w kraju. Każde miasto posiada tu własne muzeum. W Amsterdamie obrazy stare zebrane są w *Rijksmuseum*, obrazy XIX i XX w. w *Stedelijk Museum*.

Do *Rijksmuseum*, stojącego wśród zieleni na brzegu kanału, wchodzi się za jedno *kwartje*. Trudniej zeń wyjść, zwłaszcza komuś, kto miał już okazję oglądania obrazów holenderskich gdzie indziej. W malarstwie holenderskim świat wyobraźni zajął się nieustannie o świat XVII wieku. Można na nie patrzeć na przemian jako na dzieła sztuki lub jako na świadectwa i dokumenty. Nie wiem, czy teoretycy, którzy obraz życia naszych czasów chcieliby pozostawić fotografom, mają rację. Czy nie liczą zbyt mało na geniusz fotografów?

Do *Rijksmuseum* wchodzi się na cały dzień. Restauracja jest na miejscu, podobna do wnętrza Emanuela de Witte. Ale następnego dnia wraca się znów. Obok stoi *Museum Hotel* dla przyjezdnych, których obrazy zatrzymują tu na dłuższy czas.

Zanotować wypada doskonały stan konserwacji obrazów, nietkniętych rękami barbarzyńskich restauratorów, którzy popsuli np. Rembrandty w berlińskim Kaiser Friedrich Museum.

W *Stedelijk Museum* spodziewałem się znaleźć obrazy holenderskie XIX w. Wszystkie jednak, łącznie z Jongkindem, znajdowały się w piwnicach, dokąd zniesiono je wobec braku zainteresowania zwiedzających. Los ten spotkał nawet część obrazów Van Gogha, ale na skutek reklamacji publiczności zawieszono je właśnie na nowo. Wszystkie prawie znane obrazy Kazimierza Malewicza — w liczbie około sześćdziesięciu — znajdują się w tym muzeum. Tam też dopiero ukazuje się ich prekursorski charakter. Malewicz zaliczany jest do malarzy rosyjskich, notuje więc tu, że był Polakiem pochodzącym z moich stron i że rozmawiał ze mną po polsku.

W *Hadze Mauritshuis* posiada nieco mniejszą niż *Rijksmuseum* lecz równie piękną kolekcję starych obrazów holenderskich.

W najbliższym jego sąsiedztwie inny budynek zwrócił moją uwagę imponującym rozmiarem i uroczystością fasady. Wyglądał jak siedziba spółki o całkowicie wpłaconym kapitale stu milionów rixdali. Na froncie jego przeczytałem złożony, z daleka widzialny napis: *Literaire Societeit*. Na próżno szukałem w *Hadze* jego fotografii, aby móc pokazywać sceptycznym znajomym, do czego może prowadzić literatura.

Dla turystów

Holandia nie jest krajem turystycznym jak Włochy lub Szwajcaria. Nie ma w niej miast złożonych z samych hoteli — jak Interlaken lub Cervia — i nie mających innej racji bytu, jak goszczenie turystów. Nie ma również mechanizmu przydzielającego przyjezdnym zamówione z góry pokoje, pochłaniającego ich czas przewidzianymi na ten cel rozrywkami i izolującego ich od ludności miejscowej, o ile taką w ogóle można znaleźć w miejscach przeznaczonych dla obcych.

Nie znaczy to wcale, aby w Holandii nie było dobrych hoteli. Są to najczęściej niewielkie przedsiębiorstwa, połączone z kawiarnią lub restauracją. Nie mają portiera ani oddzielnego wejścia; wchodzi się do nich przez kawiarnię i przy bufecie załatwia się sprawę mieszkania. Miejsce środowisko otacza od razu przyjezdnego. Poza Amsterdamem, który jest nieco droższy, ceny hoteli mają niewielką rozpiętość. Pokój, łącznie z *hollandse ontbijt*, o którym mowa była wyżej, kosztuje dziennie około dziesięciu guldenów równych czterem rixdalom.

Alfred Jarry rachował zawsze w rixdalach, których dźwięk kojarzył się u niego z słowem *rix*. Dla przyjaciół *Ubu roi* dodam, że rixdale nie są tworem wyobraźni francuskiego autora. Moneta taka istnieje rzeczywiście w Holandii. Jest nieco większa od srebrnej pięciofrankówki, warta jest dwa i pół guldena i nazywa się *Rijksdaalder*, co po francusku, jak zapewnia mój holenderski słownik, tłumaczy się „rixdale”. Na pamiątkę Jarry’ego możemy więc w Holandii liczyć w rixdalach.

Moneta holenderska zachowała wewnątrz kraju godną uwagi siłę nabywczą. Z mego doświadczenia wynika, że gdy w innych krajach Europy koszty podróży przewyższają zazwyczaj przewidywania, w Holandii utrzymują się nieco poniżej preliminarza.

Przystosowując się do holenderskiego porządku dnia i nie czując się skrepowani godzinami posiłków odkrywamy, że mamy przed sobą wiele wolnego czasu. Nie wiem, jak inni; mnie zysk na czasie ucieszył więcej niż umiarkowane koszty pobytu.

Nieznajomość miejscowego języka nie jest w Holandii taką przeszkodą jak np. w Italii, gdzie podróżowanie poza paru utartymi szlakami wymaga pewnej znajomości włoskiego. W Holandii wszyscy mówią po angielsku, wielu także po francusku i niemiecku. Zresztą holenderskiego można się łatwo nauczyć, i podczas pobytu w Haarlemie zrobiłem w tej nauce pewne postępy.

Doświadczony podróżny unika kuchni „międzynarodowej”, kierując się słusznym najczęściej przypuszczeniem, że to co jedzą miejscowi nie musi być zupełnie złe.

Jako kraj nadmorski, Holandia posiada ciekawe ryby. Zaczynijmy od najskromniejszej. W Polsce mówiono: „Bywaj zdrów, holenderski śledziu”. Można stąd wnosić, że śledzie tego pochodzenia cieszyły się i u nas zasłużoną sławą. W Holandii je się je surowe, wprost z morza, tylko co odarte ze skóry. Holendrzy piją do tego kieliszek jałowcówki, zwanej *jenever* albo *oude Klara*, stara Klarcia.

Do delikatniejszych obywateli oceanu należą *schol* i *tarbot*, ryby kształtu flądry. *Tarbot*, po łacinie *rhombus*, był ceniony już w starożytności. Juvenalis opowiada, że gdy w Adriatyku złapano raz większy okaz tej ryby, nikt nie śmiał jej zjeść w obawie delatorów, mogących donieść władzom o zjedzeniu ryby należącej z urzędu do cesarza. W holenderskich restauracjach za niespełna dwa rixdale można korzystać z przywilejów Domicjana.

Nie wiem czy *schol* posiada równie sławną historię anegdotyczną, ale dziennikarze niemieccy wymienili go przed kilku miesiącami w okolicznościach, które można by nazwać pół-historieskami. Gdy mianowicie udało się im wreszcie interviewować dra

Rudolfa Beitza, dyrektora zakładów Kruppa, na temat jego misji warszawskiej, znaleźli go w restauracji jedzącego smacznie *schola*.

Wystarczy obejrzeć kilka sklepów spożywczych, aby przekonać się, że wszystkie rzeczy jadalne są w Holandii w najwyższym gatunku. Dotyczy to w szczególności mięsa. Umieszczenie jatek w najpiękniejszym budynku Haarlemu widocznie zobowiązuje. Popularny w tym kraju *hollandse biefstuk* przyrządza się z polędwicy najwyższej klasy, jakiej praktycznie nie ma w handlu gdzie indziej. Rzeźnicy chowają takie kęsy dla kilku wybranych klientów. Restauratorzy holenderscy zdają się przywiązywać szczególną wagę do swych befsztyków, bo w znanej restauracji amsterdamskiej *Port van Cleve* są one od 1870 numerowane. Zamawiający tam *hollandse biefstuk* otrzymuje ozdobną kartkę z jego numerem porządkowym. Na mojej znalazłem liczbę 4.719.374. Numerowany czy nie, *hollandse biefstuk* kosztuje wszędzie półtora rixdala.

Rozmaitość wyrobów piekarskich — chlebów, bułek, placzków, strucli, ciastek, biszkoptów, wafli, tortów itd. — jest tak wielka, jak gdyby każdy dzień w Holandii był przede dniem Wielkanocy.

FRANKFURT

Hauptwache

W samym środku Frankfurtu, na skrzyżowaniu głównych ulic, znajduje się trójkątny plac zwany *An der Hauptwache* czyli Przy Głównej Warcie. Środek jego zajmuje parterowy budynek w stylu XVIII w., z czerwonego kamienia przypominającego barwę stary Heidelberg. Jest to *Hauptwache*. W miastach garnizonowych nazywano tak budynek przeznaczony dla oddziału stojącego w środku miasta i gotowego do interwencji na wypadek zamieszek.

W kwietniu 1833 na placu tym rozegrały się wypadki znane w historiografii niemieckiej pod nazwą *Frankfurter Attentat*. W atmosferze rozgoryczenia, wywołanego przez ustawę krępującą wolność prasy, grupa heidelberskich studentów i „polskich rewolucjonistów”, wspierana przez okolicznych chłopów, zaatakowała Główną Wartę, lecz została odparta przez żołnierzy.

W 1945 budynek ten, stojący samotnie wśród ruin, był moim punktem orientacyjnym w nieoświetlonym mieście. Dziś mieści się w nim kawiarnia. Zewnętrzny wygląd budynku nie od razu zdradza jego pierwotne przeznaczenie. Zresztą przed Rewolucją Francuską wojsko było czymś innym niż dziś. Żołnierze

byli drogo opłacanymi specjalistami, i różnica dzieląca ich od późniejszego „armatniego mięsa” znajdowała wyraz także w architekturze koszar. Wnętrze *Hauptwache* przedstawia się jako obszerna sala, za którą, na miejscu dawnych stajni, znajduje się otoczony murem ogródek, ze źródłem bijącym w ciemnej zieleni rododendronów.

Tym razem *Hauptwache* stała się moją główną kwaterą w Frankfurcie. Stoję w hotelu urządzonym na wskroś „funkcjonalnie”. Nie brak w nim żadnych wygod prócz stołu do pisania. Kto by tam zresztą pisał, mając pod ręką telefon? Nadto zbudowany z betonu i szkła hotel nagrzewa się niebezpiecznie w dniu upalne. Spisuję więc moje notatki wśród rododendronów dawnej warty.

Granice prosperity

Przed trzema laty odniosłem wrażenie, że *prosperity* była tu procesem narastającym żywiłowo jak powódź. Zjawisko to utraciło obecnie swój rozpęd. Zamożność nie zmniejszyła się, lecz ukazała swe granice.

Mieszkając w tym samym hotelu i stołując się w tychże restauracjach spostrzegłem, że koszty utrzymania wzrosły tu o jakieś 40%. Nie wiem, czy dochody mieszkańców wzrosły w tejże proporcji, ale ich pojęcia o własnej zamożności uległy istotnym prawkom.

Kursy akcji niemieckich, wzrastające do końca roku ubiegłego, spadły w tym roku do połowy. W okresie ich zwyżkowania coraz szersze rzesze oszczędzających brały udział w spekulacji. Wielu podwoiło i potroiło swój stan posiadania, wszyscy liczyli na dalsze zyski. Trwająca od wielu miesięcy tendencja niżkowa rozwiązała te nadzieje, przekreśliła domniemane zyski lub przyniosła dotkliwie straty. Pisma, komentujące dawniej obszernie każdą nową zwyczajkę, przestały drukować kursy, aby nie szerzyć pesymizmu i paniki. Tajemnicza siła, rozszerzająca mechanicznie stan posiadania akcjonariuszy, przestała działać. Nikt na nią liczyć nie może.

Granice ekspansji ekonomicznej ukazały się także od strony tzw. niemieckiego *Arbeitswunder*. Po latach wyteżonej pracy nadszedł czas odpoczynku, czas zamiany wartości ilościowych na jakościowe. Ekonomisci ubolewają nad skracaniem się godzin pracy i przedłużaniem urlopów. Antykwariusze stwierdzają z zadowoleniem wzrost cen tzw. *objets d'art*. Podniósł się poziom artystyczny teatrów.

Przemiany te spostrzegłem pierwszego wieczoru, śpiesząc

do restauracji *Zum Salzhaus*. Zbliżała się 9-ta, i widząc prawie pustą salę myślałem, że przychodzę za późno. W istocie byłem jednym z pierwszych klientów. Inni zaczęli napływać koło 10-ej, nowa ich fala przybyła po 11-ej. Widać było od razu, że nikt z nich nie zrywał się do pracy o 7-ej ani nawet o 8-ej i 9-ej rano. Zrozumiałem, że *Arbeitswunder* ma się ku końcowi, i że Niemcy rozpoczęli jakiś nowy rozdział historii powojennej.

Dla porównania dodam, że w Szwajcarii, gdzie bez cudów istnieje stary, na religijnych pojęciach oparty kult pracy, wszyscy śpieszą wczesnym rankiem do produkcyjnych czy nieprodukcyjnych zajęć, z których wracają mocno zmęczeni wieczorem. O 8-ej ulice są puste, o 9-ej schodzą z pracy ostatni kucharze.

O młodzieży

Starsi irytowali się zawsze patrząc na młodzież, a z irytacji starszych młodzież miała zawsze pewną zabawę. Inaczej nie można by wcale zrozumieć, w jaki sposób przed dwoma laty mury całej Europy — od Skandynawii do Sycylii i od Paryża do Wiednia — pokryły się w ciągu kilku nocy swastykami. Deputowani interpelowali ministrów, publicyści załamywali ręce i rozdzielali szaty („Tata żółtaczki dostał, kiedy te hackenkreutze zobaczył”). Chłopcy nie mogli się oprzeć pokusie zrobienia takiego zamętu przy pomocy tak prostych środków. Był to dla nich świetny *practical joke*. Dla nas, starszych, żart był niesmaczny. Młodszym, którzy o Hitlerze mieli tylko niejasne pojęcie, irytacja starszych wydawała się przesadna i śmieszna.

Mam wrażenie, że skłonności dorosłych do oburzania się na wybryki młodzieży zawdzięczamy miejsce, jakie w gazetach i rozmowach zajęli *teddy boys*, *Halbstarke*, *teppisti*, *blousons noirs* i chuligani. W wybrykach ich nie ma na pewno nic nowego, nic czego by starsi nie umieli już przedtem. Trudno zaimponować w tej mierze komuś, kto pamięta judenhece, pogromy oraz sceny z lat rewolucji i wojen cywilnych. Pokolenia niewiele różnią się od siebie wybrykami.

Widziałem już trzy pokolenia młodzieży: moje własne pokolenie *fin de siècle*'u, pokolenie międzywojenne, zarażone psychozą obłożonego miasta, dzisiejsze dzieci *prosperity* i wspólnego rynku.

Mimo odległości w czasie, upraszczającej zazwyczaj wiele rzeczy, najtrudniej mi jest opisać moje własne pokolenie, sformowane w przede dniu pierwszej wojny światowej. Świadomość bliskiego końca znanego porządku rzeczy była wspólna wszystkim, ale dorastający reagowali na nią rozmaicie. Jedni, nie widząc dla siebie miejsca w nadchodzącym okresie wojen i rewolucji, pró-

bowali zadowolić się w zmięczeniu, i do nich stosuje się popularne wówczas określenie „dekadentów”. Inni, szukając wzorów zachowania się wśród przewrotów, starali się przeniknąć sens czynu, który — jak mówi Bergson — raz wdrożony, po drodze stwarza warunki niezbędne dla jego dopełnienia się.

W postawach wobec nadchodzącej wojny można było odróżnić zarysowujące się już wówczas różnice między Wschodem i Zachodem. We wschodniej połowie Europy młodzież przygotowywała się do udziału w burzeniu i przebudowie istniejącego tam porządku świata. W zachodniej części kontynentu, gdzie toczyła się właściwa rozgrywka o hegemonię Europy, zaangażowanie się młodzieży było jasno wyznaczone przez obiekt wojny. Moi zachodni koledzy i przyjaciele przypominali mi Spartanów i Ateńczyków z czasów Wojny Peloponeskiej. Obrona zagrożonej *polis*, zdobycie pozycji decydujących o jej bezpieczeństwie i wpływach, były celami wyznaczającymi zachowanie się. Dyscyplina oblężonego miasta górowała nad wszystkim, stawiała się wartością autonomiczną. Sztwyne były cele wojny, sztywne postawy kombatantów. Nie widać było żadnej drogi do kompromisów. Z zachodnich towarzyszy mojej młodości nikt prawie nie dożył końca wojny. Najzdolniejsi, najodważniejsi, wierzący w wartość zwycięstwa i przyszłość swej *polis*, zginęli pierwsi.

Jeżeli nie zginąłem jak inni, zawdzięczam to przede wszystkim szczęśliwemu przypadkowi, niewielkiemu zaangażowaniu i przekonaniu, że w latach zbiorowego szaleństwa najważniejszą rzeczą jest zachować przytomność, zachować zmysł proporcji, rozumieć, być świadkiem.

Waham się, czy powiedzieć, że w ciągu długiego życia w okresie wojen i rewolucji nikogo nie zabiłem. Normalnym zajęciem młodzieży moich czasów było ćwiczenie się w obchodzeniu z śmiertelnością bronią. Kto akceptował los Europejczyka, musiał być gotów do odbierania życia, do zadawania śmierci. Mówiąc, że nie zabiłem nikogo, przyznaję się, że uchylałem się od jakiegokolwiek odpowiedzialności, szukałem łatwiejszej drogi. Trudno mi się tym chwalić, gdy myślę o losie tylu rówieśników, którzy, posłuszni prawom swojej *polis*, wyszli zadawać śmierć i zginęli. Wspominając ich mam wrażenie, że nikt ich już zapewne nie pamięta.

Zakłopotanie, jakie odczuwam mówiąc tu o sobie, przypomina mi kapitana greckiego statku, na którym przed wielu laty jechałem wzdłuż wschodniego wybrzeża Adriatyku. Odradzając mi samotną wycieczkę w góry albańskie stary marynarz powiedział: „Z takich wycieczek mało kto wraca. Góral albański, który nikt nie zabił, nie jest jeszcze dorosłym mężczyzną, i żadna dziewczyna nie wyjdzie zań za mąż. Niech pan tylko pomyśli, ilu chę-

nych do małżeństwa może pan spotkać po drodze”. Wojny i życie w stale zagrożonych państwach formowały młodzież mniej więcej w ten sam sposób jak praktyka vendetty w górach Sycylii i Albanii.

Do Rewolucji Francuskiej nie znano powszechnej służby wojskowej. Nawet w oblężonych miastach pewne kategorie obywateli *religionis causa* nie brały udziału w walce. Osoby mające kontakt z potęgami nadprzyrodzonymi stały na stronie od hierarchii wartości oblężonego miasta. *Druides a bello abesse consue-runt*, notuje Juliusz Cezar. Poza ustalonym porządkiem obowiązków i przywilejów istniała jeszcze otwarta dla wszystkich pokusa odwołania się do potęg innego rzędu niż bóstwa opiekuńcze zagrożonego miasta. Edmund Spenser dał jej wyraz w postaci rycerza czerwonego krzyża, idącego do boju bez broni. Poemat swój kończy słowami: „I niczego się nie lękał, lecz wszyscy go się obawiali”.

Egalitaryzm powszechnych mobilizacji wycisnął swe niwelatorskie piętno na całą młodzież moich czasów. Nawet wśród dezertersów nie spotykałem silniejszych indywidualności; nie miałem wrażenia, aby sumienie przemawiało w nich z jakimś szczególnie autorytetem. Rówieśnicy moi poddawali się bez szemrania wszystkim dyscyplinom, dawali posłuch wszystkim, chociażby sprzecznym, dyrektywom, wychodzącym od rzekomych bóstw opiekuńczych swej *polis*. Nawet rewolucje, obalając na pozór wszystkie szranki, były tylko wstępem do nowych mobilizacji i jeszcze surowszej dyscypliny. Tendencje anarchistyczne XIX w. znikły zupełnie w latach mojej młodości.

Postawy posłuszne i konformistyczne, które widziałem po raz pierwszy na Zachodzie, objęły w okresie międzywojennym także wschodnią część Europy. Powstałe tam państwa nowe, równie suwerenne jak zagrożone, naśladowały wzory zachodnie rozpoczęły swą egzystencję od narodowych mobilizacji. Tylko niedbalstwo i lekkomyślność obywateli łagodziły w nich atmosferę oblężonego miasta. I tu również młodzież poddawała się wszystkim, jakkolwiek sprzecznym, natchnieniom zbiorowym.

Gdy porównuję je między sobą myślę, że trzecie pokolenie, sformowane po 1945, będzie inne od dwóch poprzednich. Nie wiem, czy wyda więcej indywidualności i talentów, czy z istoty swej będzie bardziej krytyczne i mniej skłonne do konformizmu. Przypuszczam, że odmiennosc jego wyniknie z warunków, w jakich będzie się kształtowało. Mam tu na myśli młodzież Europy Zachodniej.

Zmieniły się tu warunki polityczne. Amerykański profesor socjologii, którego spotykałem w Genewie za czasów Ligi Naro-

dów, twierdził, że nic tak nie różni Europy od Ameryki, jak poczucie zagrożenia, towarzyszące przez całe życie Europejczykom i zupełnie nieznanne mieszkańcom Stanów Zjednoczonych. Po 1945 sytuacja ta uległa wielkim przemianom, została niemal odwrócona. Państwa europejskie nie mogą sobie nawzajem zagrażać; praktyka wykazała, że nie są groźne nawet dla egipskiego dyktatora. Istnieje wprawdzie świadomość zagrożenia od strony Rosji, ale to jest kłopot Ameryki. W pierwszych latach powojennych mawiano jeszcze w Niemczech: „*Wenn die Russen komen...*” i we Włoszech: „*Ha da veni il Baffone*”, ale to minęło. Jest to być może przypadek, ale nie słyszałem nigdy, aby młodzi rozmawiali o bombie atomowej. Straszaki działają widocznie tylko na tych, kogo wychowano w poczuciu stałego niebezpieczeństwa. Zresztą Rosja grozi wszystkim Europejczykom razem, co nie sprzyja na naszym kontynencie rywalizacjom i nacjonalizmom. Można przypuszczać, że nowa młodzież, dla której poczucie zagrożenia nie będzie więcej stałą przesłanką każdego rozumowania, będzie bardziej krytyczna w ocenach sytuacji i bardziej samodzielna w wyborze zachowania się.

Zmiany wystąpiły również w ocenie roli państwa. W oczach młodszych zadaniem jego jest nie tyle obrona narodowego stanu posiadania, ile organizacja życia gospodarczego, utrzymywanie *prosperity* i podnoszenie stopy życiowej obywateli. Wspólny rynek uważany jest za największe osiągnięcie polityczne okresu powojennego.

Wśród nowych warunków wpływających bezpośrednio na formację obecnej młodzieży na pierwszy plan wysuwa się pełne zatrudnienie. Coraz liczniejsi *teenagers* pracują samodzielnie, mają własne dochody, jakie przed wojną miewali tylko dorośli, i dysponują nimi swobodnie. Zamiast groźby bezrobocia, widzą przed sobą dalszy awans społeczny, którego tempo zależy od ich wykształcenia zawodowego, od ogólnego wykształcenia. Bez obawy większej omyłki można przypuszczać, że wczesna emancypacja ekonomiczna młodzieży wpłynie korzystnie na samodzielność jej sądów i gustów. Można to dziś już dostrzec w drogach, jakimi młodzież dąży do zdobycia wykształcenia. Na próżno szukalibyśmy jej w autokarach wiozących zbiorowe wycieczki; młodzi podróżują bardziej samodzielnie. Fabryki konfekcji liczą się z odrębnością ich gustów. Przypuszczam, że to samo robią wydawcy. Nie jest być może przypadkiem, że *teddy boys* rekrutują się w znacznej mierze z rodzin zamoznych, w których młodzież nie korzysta z pełnego zatrudnienia.

Wielu starszych patrzy ze zgorzaniem na rówieśnice Lolity, kokietujące przechodniów swą na pół dziecinną kobiecością, zary-

sowującą się pod obcisłymi bluzkami, i na swobodę stosunków między młodzieżą płci odmiennej. Być może istotnie młodzi ludzie interesują się dziś więcej wdziękami kobiet niż ćwiczeniami w strzelaniu z broni małokalibrowej. Czy mamy nad tym ubolewać? Vilfredo Pareto dziwił się, że wystawianie na widok publiczny armat, halabard, kordelasów i innych wysłużonych narzędzi śmierci nie budzi zgorzienia, gdy widok nagiej kobiety wywołuje burzę protestów. W pruderii włoski uczoney widział oznakę słabości naszej cywilizacji.

Rozmowy z młodszymi i starszymi

W Frankfurcie zetknąłem się z grupą młodych studentów, interesujących się sprawami polskimi. W żadnym innym kraju Zachodu Polska nie budzi tak szerokiego zainteresowania jak w Niemczech. Zjawisko to i jego rozliczne motywy zasługują na osobne opracowanie.

U młodzieży zycziwa ciekawość dla spraw polskich zdaje się być częścią procesu szerszego, mianowicie krytycznej oceny przeszłości i rozrachunku z pokoleniem poprzednim. Należy do tego samego typu zjawisk co niezwykła popularność pamiętnika Anny Frank u młodzieży szkolnej. Młoda studentka, należąca do wymienionej grupy, powiedziała mi po prostu, że po tym, co Niemcy zrobili w Polsce, uważa za swój obowiązek przyczynić się osobiście do wyrównania krzywd i nawiązania między obu narodami przyjaznych stosunków.

Nie wiem, w jakim stopniu Polska sama, to znaczy jej losy, jej kultura i ewolucja obecna budzą ciekawość młodzieży niemieckiej. Spotkania z tak zwanymi *Spätrückwanderer* czyli Niemcami przybyłymi z Polski w ciągu lat ostatnich nastęrczyły mi pewne wątpliwości. Jeden z nich, student mówiący doskonale po polsku, powiedział mi, że chodził do polskich szkół i po 15 latach był już niemal zupełnie spolonizowany. Do narodowości niemieckiej wrócił stosunkowo późno. Chętnie spotkałbym go raz jeszcze. Nie jest zresztą wypadkiem odosobnionym. Przed trzema laty spotkałem w Frankfurcie młodą dziewczynę z mazurskiej rodziny, która też chodziła do polskich szkół i dopiero po śmierci rodziców w 1957 wyjechała do Niemiec. Rzeczpospolita Ludowa nie ma być może siły przyciągającej, jaką Polska porozbiorowa miała dla Lindego i Kolberga.

Zjawiskiem dla mnie nowym było miejsce, jakie w prasie i rozmowach zajęły ostatnio granice wschodnie Niemiec. Studenci nie zaczynali ze mną rozmów o granicy. Sądzili słusznie, że spotykając Polaka mają z nim ciekawsze tematy do rozmowy. Współ-

mnieli tylko przelotnie, że granica z Polską była w tym roku już trzykrotnie przedmiotem odczytów i dyskusji w domu akademickim. Natomiast rozmowy ze starszymi schodziły szybko na pasjonującą ich *Oder-Neissefrage*. Zdania ich zdawały się podzielone: jedni sądzili, że Republika Federalna powinna uznać tę granicę, inni z najgłębszym przekonaniem twierdzili, że za nic w świecie...

Zdaniem ich obecna aktualizacja sprawy, która przez tyle lat drzemała na bocznym torze, jest wynikiem agitacji zrzeszeń uchodźczych, które — obawiając się, że mocarstwa zachodnie uznają teraz granicę na Odrze — podwoiły wysiłki, aby temu przeszkodzić. Uchodźcy zaś wracają wciąż myślą do miejsca pochodzenia dlatego, że Republika Federalna może im wprawdzie zapewnić lepsze warunki materialne, lecz nie może dać sytuacji społecznej i towarzyskiej, jaką mieli w dawnej ojczyźnie.

Nie wiem, czy objaśnienia te są słuszne. Co powiedzieliby o nich np. Polacy wypędzeni z kresów, gdzie zostawili też niemałe pozycje społeczne i towarzyskie? Wydaje mi się, że można by je nieco uzupełnić. Agitacja rewizjonistyczna przeznaczona jest zapewne także dla uchodźców przebywających w Republice Demokratycznej. Zdaje się im mówić: „Ulbricht uznał tę granicę, a my się jeszcze o nią będziemy spierali”.

Obcemu wpadają oczywiście w oko sztandary, obchody, energiczne intonacje i zamaszyste słowa rewizjonistów. Jedni chcieliby przesunąć granicę na Odrze, inni odebrać Czechom Sudety, inni wreszcie chcieliby bombami domowego wyrobu przepędzić Włochów z Tyrolu. Uderza uczuciowy charakter ich argumentów. Obok Niemców my, Polacy, wyglądamy na zimnych realistów. Nie brak jednak i innych argumentów. Słyszałem np. i taki: „Bez ziem nadodrzańskich Polska utraciłaby warunki do samodzielnej egzystencji i zostałaby wchłonięta przez Rosję. Czy tak byłoby lepiej?”.

Są to na razie dyskusje wewnętrzne między Niemcami, w których obcy nie biorą udziału. Dyskusje te wydają się nawet nieuniknione. Niemcy nie byli nigdy zadowoleni ze swych granic z Polską. Nawet granica z 1913 była dla nich tylko tymczasową przeszkodą w dalszej ekspansji na wschód, którą przez ostatnie sto lat wyobrażali sobie zawsze w butach i hełmach. Aby w ten czy inny sposób pogodzić się z obecną granicą, musieliby odejść od wielu odziedziczonych pojęć, ocen, tradycji i zwrócić wyobraźnię w innym kierunku. Pewne przesłanki do tego istnieją w Republice Federalnej, ale przemiany takie nie odbywają się bez długich dyskusji.

Paweł HOSTOWIEC

Człowiek z MINAP'U

Dwie młode kobiety, Anna Lwowna Kniażickaja i Wiera Iwanowna Kranc, zdjęły pantofle i rozsiadły się z nogami na tapczanie. Obie czuły się świetnie. Zjadły właśnie kolację, napiły się koniaku i zapaliły papierosa. Mąż Anny Lwowny wyjechał niedawno w podróż służbową i nikogo prócz nich nie było w mieszkaniu. Wszystko sprzyjało przyjacielskiej rozmowie i zwierzeńiom. Gdy przyjaciółki przeniosły się na tapczan, rozmowa istotnie przybrała intymny charakter.

Zaczęła ją Wiera Iwanowna.

— Nie gniewaj się na mnie, Anieczko, ale muszę cię o coś spytać.

— Pytaj — leniwie odpowiedziała Anna Lwowna.

— Czy ty myślisz mieć dzieci, czy nie? Masz już, wybacz, dwudziesty ósmy rok, lata mijają, a im później, tym trudniej. Na co czekasz? Zarabiacie dobrze, warunki mieszkaniowe idealne: oddzielne mieszkanie. O co chodzi? A może zamierzasz zostać takim, jak to się nazywa... bezpłodnym figowcem? Byłaś u lekarzy?

— Po co do lekarzy? Tu chodzi tylko o Leonida.

— Jakto — on nie może? Biedulka moja!

— Gdzie tam nie może! W ciągu ostatnich dwóch lat miałam trzy skrobanki.

— Po co?

— Leonid. Wszystko przez niego. On, widzisz, chce chłopca. Chodzi mu, rozumiesz, o przedłużenie rodu. Gwarancji ode mnie żąda. A jaką ja mu dam gwarancję?... Znasz Olę, kuzynkę Leonida? Olga przyniosła na dobitkę wiadomość, że trzeba rachować.

— Rachować? Co?

— Wiesz, organizm mężczyzny odnawia się co cztery lata,

a nasz co trzy. Krótko mówiąc, kto w danej chwili ma organizm odnowiony, ten się rodzi. To jest, nie on się rodzi, a dziecko. Jeżeli mężczyzna jest odnowiony — rodzi się chłopiec, jeżeli kobieta — dziewczynka.

— Odnowiona? Kiedy?

— Boże, co znaczy „kiedy”? W tej właśnie chwili. To znaczy w momencie poczęcia. A zresztą wszystko to są brednie. Zaczęliśmy sobie przypominać wszystkie znajome dzieci — nic się nie zgadza. Wypijemy jeszcze?

Wypiły po kieliszku, i Wiera Iwanowna zaczęła znów:

— Głupia jesteś, Aniu. Urodź mu dziecko, jakie wypadnie, z powrotem go przecież nie wepchnie.

Anna Lwowna zaczęła mrugać swymi pięknymi, krowimi oczami i rozplakała się.

— Ty go nie znasz. On tylko przy obcych taki potulny. Jak będzie dziewczynka, on mi żyć nie da. Porzuci mnie z nią razem. A on przecież człowiek inteligentny. Wieczorne kursy ukończył. I zarabia dobrze, sama mówiłaś. Drugi raz za mąż nie wyjdę. Kobiet jest o 30% więcej. Tak mówi spis ludności.

Z danymi wszechzwiązkowego spisu ludności Wiera Iwanowna polemizować nie mogła. Nalała więc tylko płaczącej koniaku i wypiła z nią razem. Żal jej było przyjaciółki, a i koniak zrobił swoje, bardzo więc chciała jej pomóc. Ale była to tajemnica. Wiera Iwanowna patrzyła na beczącą Annę Lwowną i rozważała w myśli: czy jej przyjaciółka jest naprawdę tak nieszczęśliwa? Pomagając jej — myślała — oddawałaby w jej ręce swój honor i szczęście rodzinne. Pilnie strzeżona tajemnica trzepotała w jej ustach, jak złota rybka w ręku. Wreszcie nie wytrzymała:

— Aniu — powiedziała. — Aniu, przysięgnij, że nikomu nie powiesz. Przysięgnij na wszystko, co dla ciebie jest święte.

— Przysięgam — powiedziała Anna Lwowna, usiłując uświadomić sobie, co dla niej jest święte, ale prócz WLKSM (1), który niedawno z powodu wieku opuściła, nic jej nie przychodziło na myśl.

2.

Przy pożegnaniu Wiera Iwanowna powiedziała:

— A więc umowa stoi: kiedy tylko Leonid wróci, dasz mi znać. Ja tymczasem przygotowuję teren...

Leonid Nikołajewicz wrócił wreszcie z podróży służbowej.

(1) WLKSM — Wszechzwiązkowy Leninowski Komunistyczny Związek Młodzieży

Radosne spotkanie na dworcu, wesoła kolacja we dwoje i burzliwa, szczęśliwa noc. Rano, odprowadziwszy męża do biura, Anna Lwowna pobiegła do telefonu.

— Wieroczka, to ja. Leonid przyjechał. Tak, wczoraj. Tak. Tak. Trzy razy. Tak. Bez niczego. Tak? Już teraz? O drugiej? Ach, jak się boję! Przyjdę. Nie, nie, przyjdę na pewno. W co mam się ubrać? Trzeba się przecież ładnie ubrać. Aj, Wieroczka, jak ci nie wstyd! Mówimy przecież serio. Z guzikami? Beżowa, zapinana na guziki, wiesz, z okrągłym wycięciem. No, tymczasem.

...Przed drzwiami Anna Lwowna otworzyła torebkę, upudrowała się i nacisnęła dzwonek. Drzwi otwarły się natychmiast, i Wiera Iwanowna, wzięwszy przyjaciółkę pod rękę, wprowadziła ją do jadalnego pokoju. Przy stole, nakrytym na trzy osoby, siedział młody człowiek. Oparty niedbale o poręcz krzesła, bawił się wiekiem metalowej cukiernicy i palił papierosa z filtrem.

— Proszę bardzo — powiedziała Wiera Iwanowna. — To jest Wołodia Zaleskij, a to Anieczka. Już wam obojgu jednemu o drugim mówiłam, jesteście więc niejako zaocznie znajomi.

— Ale naoczna znajomość przewyższa wszystkie moje oczekiwania — powiedział obojętnie Wołodia.

— Anieczka, Wołodia, proszę jedzcie. Wołodia, nalejcie wina. Nie ma co, jesteście tu jedynym mężczyzną, musicie popracować.

— Gotów do pracy i obrony kraju — tymże głosem spikera z radia odpowiedział Wołodia i nalał wina do kieliszków.

— I do działań zaczepnych też? — spytała zalotnie Wiera Iwanowna.

— Zawsze gotów — odparł Wołodia, nie podtrzymując żartobliwego tonu gospodyni i odpowiadając po prostu na pytanie.

Wołodia jadł bez pośpiechu. Pedantycznie zdierał skórkę z kiełbasy i odcinał wystające poza bułkę kawałki szynki. Z okrawków zrobił potem nową kanapkę, pokrytą mozaiką z wędliny.

Rozmowa toczyła się o amerykańskiej *Ice Revue*, a gdy zjedzono i wypito niemal wszystko, Wiera Iwanowna spojrzała na zegarek i nienaturalnym głosem zawołała:

— Ach! Ach, zapomniałem zupełnie. O czwartej mam przymiarek. Drodzy przyjaciele, posiedźcie tu chwilę, zabawiajcie się nawzajem. Anieczko, pokaż Wołodi mieszkanie.

Wiera Iwanowna sfrunęła. Zamek u drzwi wejściowych zatrzasnął się, jak wystrzał pistoletu na starcie. Wołodia, jak gdyby czekał na ten sygnał, wstał.

— Znacnie mieszkanie Wiery? — bąknęła Anna Lwowna.

— Tak. Sypialnia jest tam — odpowiedział i wzięwszy ją pod rękę popchnął łagodnie w kierunku drzwi.

W sypialni wziął ją fachowo za pierś, podnosząc ją, jak gdyby badał jej wagę. Potem odwrócił ją plecami i zaczął odpinać guziki sukni. Na tym skończyły się zaloty. Wołodia zdjął marynarkę, poszukał wzrokiem wieszadła i, nie znajdując go, powiesił ją na poręczy krzesła. Potem zdjął spodnie i rzucił roztargnione spojrzenie na Annę Lwową.

— No?

Anna Lwowna zaczęła się rozbierać posłusznie, jak u ginekologa. Leżąc zamknęła oczy i szepnęła nacylonemu nad nią Wołodi:

— Chłopca...

— Wiem. Wiera uprzedziła mnie.

3.

Wiera Iwanowna poznała Wołodię Zaleskiego na Krymie, w uzdrowisku. Zebrało się tam przyjemne towarzystwo, nastrój był wesoły i bez troski. Zawiazywały się i rozwiązywały niezliczone romanse. Kochano się gorliwie, nie szczędząc trudu. Wkładano w to zajęcie cały nie roztrwoniony na państwowej służbie entuzjazm pracy. Wszyscy śpieszyli się, jak gdyby zaraz po skończeniu urlopu nastąpić miał koniec świata. Dowcipnisie mówili: „wszystko jedno — bomba atomowa”, inni romansowali po prostu, nie powołując się na sytuację międzynarodową.

Raz Wiera Iwanowna, w przerwie między rozrywkami, zaczęła opowiadać Wołodi o swej rodzinie. Jakaś fatalna siła każe kochankom, w pewnej fazie ich intymności, opowiadać sobie wszystkie tajemnice swych mężów i żon. Nie wiem, czy jest to tradycja, nieznanymi drogami przekazywana z jednego pokolenia letników w drugie, czy też potrzeba organizmu. Cokolwiek o tym myśleć, Wiera Iwanowna zapoznała Wołodię szczegółowo z intymnymi zwyczajami Siemiona Mojsiejewicza. Chwaliła jego męskie zalety i dbałość o rodzinę („Wiesz, wszyscy Żydzi stworzeni są do życia rodzinnego”) i z rozrzewnieniem powtarzała zabawne powiedzenia czteroletniego syna. Wreszcie zwierzyła się:

— Przydałoby się nam jeszcze jedno dziecko, ale chcielibyśmy z Siomą, żeby to była dziewczynka...

— Gdybym był twoim mężem, zrobiłbym to jak na zamówienie: chcesz — dziewczynkę, chcesz — chłopaka.

Wiera Iwanowna roześmiała się.

— Chcesz — bliźnięta — z pijanym uporem twierdził Wołodia (wieczorem oboje upili się winem z Massandry), chcesz —

trojaczki: dwóch chłopców i dziewczynkę albo dwie dziewczynki i chłopca...

— A hermafrodytę też możesz?

— Ja mówię na serio.

Wołodia, obrażony, zerwał się i stanął nago na łóżku. Wiera Iwanowna widziała go teraz z dołu do góry.

— Nie patrz tam, ale tu — zawołał Wołodia i uderzył się w czoło.

— No, dobrze, dobrze, połów się. Coś ty tak wystrzelił jak rakietą?

Następnego dnia, gdy wracali razem z plaży, Wiera Iwanowna nagle roześmiała się.

— Wołodia, pamiętasz coś ty mi wczoraj plótł po pijanemu?

— Wcale nie po pijanemu.

— Jak to nie po pijanemu?

— Ot tak.

Wołodia oderwał od drzewa korkowego kawałek kory, powąchał go machinalnie i powiedział:

— Ja rzeczywiście mogę... to jest... mogę spłodzić kogo zechcę...

...Wszystko to działo się przed trzema laty. Wkrótce potem oboje wyjechali do Moskwy. Wiera Iwanowna wróciła w objęcia męża, nie zapomniała jednak Wołodi, który odwiedzał ją nieraz w godzinach pracy Siemiona Mojsiejewicza.

Krancowie mają dziś czarującą dwuletnią córeczkę Lidie.

Wiera Iwanowna na tym nie poprzestała. Niezwykle uzdolnienie Wołodi nie powinno było marnować się w oczekiwaniu dalekiego, ukrytego w mgłach nieokreślonej przyszłości dnia, kiedy Wołodia się z kimś ożeni. „Ile rodzin cierpi — myślała Wiera Iwanowna — ile małżeństw byłoby uszczęśliwionych, gdyby Wołodia chciał się... wmieszać w ich sprawy. Powinam im pomóc. Jest to nawet moim obywatelskim obowiązkiem” — odpowiadała urojonemu oponentowi. Żyłkę społeczną miała od pionierskich czasów. Przystępując do wykonania swego projektu, czuła się trochę jak Joanna d'Arc przy apolitycznym Karolu VII. Zaczęła więc przekonywać Wołodię, że nie ma prawa marnować swego talentu, że nie po to kraj żywił go i kształcił. Wołodia wahał się lecz gdy Wiera Iwanowna powiedziała mu, że właśnie on, Wołodia Zaleskij, powołany jest do urzeczywistnienia hasła Miczurina „Nie możemy czekać na jałmużnę przyrody”, i gdy wreszcie, poprawiając ramię koszuli, zawołała: „Wołodia, jesteś przecież komsomolcem” — zgodził się.

Kniażycy byli siódmym z kolei małżeństwem, w stosunku do którego Wiera Iwanowna i Wołodia spełnili swój obowiązek.

4.

Gdy Wiera Iwanowna wróciła do domu, Wołodi już nie było. Anna Lwowna sprzątała ze stołu, i tylko zadumany, skupiony wyraz twarzy świadczył o doniosłości jej przeżyć. Z najwyższym współczuciem Wiera Iwanowna zaczęła ją wypytywać i, wysłuchawszy szczegółowego sprawozdania, objęła ją i pocałowała z takim mniej więcej uczuciem, z jakim całowała syna, ucznia I-ej klasy, dowiadując się, że otrzymał piątkę z kaligrafii. Z zadowoleniem przyjęła przy tym do wiadomości, że Wołodia nie bałamucił zbytnio jej przyjaciółki dodatkowymi oznakami sympatii, które, jakkolwiek nawet nieistotne, są niemniej przyjemne.

— Na kiedy teraz umówiliście się? — zapytała.

— Myśmy się nie umawiali — odpowiedziała zmieszana Anna Lwowna.

— Jak to nie umawialiście się? — oburzyła się Wiera Iwanowna. — Ty, Aniu, słowo daję, jesteś zupełnie jak dziecko! Trzeba przecież powtórzyć!

— Po co?

— „Po co, po co!” Po to, żeby było pewne.

— Tak — mówiła w zamyśleniu Anna Lwowna — istotnie. Kiedy stanowiono Dżildę — owczarkę sąsiadów — prowadzono ją dwa razy

— Psów się nie stanowi, ale pokrywa — powiedziała pouczająco Wiera Iwanowna — ale nie o to chodzi. Przyszaj, Aniu, że jesteś niezaradna.

— Wieroczka, nie gniewaj się. Ja przecież... jak by to powiedzieć... pierwszy raz zdradzam męża.

— Każda musi to kiedyś pierwszy raz zrobić. Ale to przecież nie jest zdrada.

— Tylko co?

— Jak by ci to wytłumaczyć... No, powiedzmy, jeżeli ci się zepsuje lodówka, nie zwrócisz się z tym do Leonida, ale do majstra. U kogo zamawiałaś meble do kuchni? U stolarza. On je zrobił, a potem ty z Leonidem używaliście ich. Rozumiesz? Robił je specjalista. Wołodia też jest specjalistą.

W rzeczy samej, naprawy lodówki Anna Lwowna nie powierzyłaby mężowi; oszkloną szafę w kuchni zrobił też nie on, ale specjalista. Anna Lwowna uspokoiła się.

Zbesztawszy przyjaciółkę za lekkomyślność, Wiera Iwanowna stelefonowała się z Wołodią. Spotkanie wyznaczono na środę, ale we wtorek w przedszkolu wybuchł koklusz, i Wiera Iwanowna musiała zostawić córeczkę w domu, co z kolei zmusiło Annę Lwownę do zaproszenia Wołodi do siebie. Postąpiła

oczywiście, nieostrożnie, ale co mogła zrobić innego? Na rozpustnym Zachodzie kochankowie mogą iść na randkę do pierwszego lepszego hotelu. Wchodzą i mówią: „Wy jesteście Mister dyżurny administrator? Dzień dobry. Ja jestem niby Thomas czy Alfred Hopkins, a to jest niby moja ślubna żona, Madame Hopkins. Jesteśmy niby małżeństwem. Proszę nas zbudzić za trzy godziny”. O paszport nikt nie pyta, idą więc wprost do numeru i tam, w przerwach między innymi przyjemnościami, popijają sobie koniak. A kto bogatszy, może sobie nawet kawalerskie mieszkanko wynająć. U nas do hotelu wpuszczają tylko przyjezdnych, a jeżeli są płci odmiennej, patrzą, czy w paszporcie odnotowana jest rejestracja małżeństwa. A co się tyczy mieszkań, daj Boże, żeby ich dla małżeńskich stosunków starczyło...

A przecież trzeba znajdować jakieś wyjście z tej sytuacji. Radzę szukać neutralnego terenu, bo do siebie zapraszać nie wolno. Nie wolno chodzić do jej czy jego domu. Nie wolno! Przyłapie was mąż lub żona, i udawaj głupiego, tłumacz, że omawialiście razem program Partii Komunistycznej Związku Sowieckiego...

W środę Leonid Nikołajewicz Kniażickij przypomniał sobie w biurze, że w szufladzie biurka zostawił w domu niezwykle rzadkie etykiety od zapalek, które miał ofiarować swemu szefowi. Po długich latach pracy w oddziale kadr, Leonid Nikołajewicz został przeniesiony na wysokie stanowisko administracyjno-gospodarcze i musiał jak najprędzej nawiązać z nowym przełożonym kontakt osobisty. Przerwa obiadowa zbliżała się, i Leonid Nikołajewicz postanowił skoczyć szybko do domu, zjeść tam coś na prędkę i wrócić z prezentem dla szefa. Ułożywszy ten plan, niezwłocznie przystąpił do jego wykonania.

Wszedłszy na trzecie piętro, Kniażickij otworzył swoim kluczem drzwi, zamknął je cichutko i na palcach wszedł do korytarza. „Teraz ją przestraszę” — pomyślał z zadowoleniem. No i przestraszył ją rzeczywiście. Gdy skrzypnęła klamka u drzwi do sypialni, rozległ się stamtąd histeryczny krzyk:

— Kto tam?!

— Anieczko, to ja!

I, chcąc uspokoić żonę, Leonid Nikołajewicz otworzył na roścież drzwi...

...Nie wiem, co poczuł Leonid Nikołajewicz, zastawszy prawowitą małżonkę w sytuacji, w której, jak pisze się w gazetach, „wszelkie komentarze są zbyteczne”; na szczęście nigdy dotąd nie byłem w jego położeniu. Wiem natomiast doskonale, co przeżywał niewinny w gruncie rzeczy Wołodia Zaleskij. Brrr... takie rzeczy straszno nawet wspominać. Przed minutą miało się tylko

jedno życzenie, a teraz życzeń do diabła i trochę, i w dodatku sprzecznych, wykluczających się nawzajem. Chciałoby się i ubrać jak najprędzej i wołać: „Jestem niewinny! Wszystko to wymyśliła obywatelka żona wasza!”. I chciałoby się wyskoczyć przez okno, i wspomina się piętra, wystukiwane przez wiatr, gdy jechało się nią w górę, z bukietem schowanym do teczki, żeby dozorca nie widział. I przez cały czas myśli się: „Byle tylko nie w morde, bo ślady zostaną!”.

Leonid Nikołajewicz stał przed poranym we wszystkich kierunkach łożem małżeńskim i milczał. Gniew wzbierał w nim, twarz czerwieniła mu coraz bardziej i gdy wreszcie przybrała barwę dzieł zebranych W.I. Lenina w czwartym (nie trzecim) wydaniu, Leonid Nikołajewicz zrobił krok naprzód i skomenderował:

— Dokumenty na stół!

Plącząc się w spodniach, Wołodia sięgnął do wiszącej na poręczy krzesła marynarki.

5.

W ciągu trzydziestu lat istnienia Minapu sala aktowa nie była jeszcze nigdy tak przepełniona. Byli tam nie tylko słuchacze i profesorowie, ale także przedstawiciele Rajkomu, Komsomołu, Rajkomu Partii, korespondenci pism młodzieżowych, a wreszcie znajomi studentów i wykładowców. Krzesła zniesiono ze wszystkich audytoriów i gabinetów, lecz mimo to publiczność siedziała na schodach, na parapetach okien i tłoczyła się w przejściach i drzwiach. Gwar wypełniał salę; brak bliższych wiadomości podniecał wyobraźnię. Skromny komunikat, wypisany wersalikami na kawałku rysunkowego papieru, głosił: „26 marca o piątej popołudniu odbędzie się otwarte posiedzenie Komsomołu. Porządek dzienny: sprawa osobista studenta IV-go kursu, komsomolca W. Zaleskiego”. Z początku nikt nie wiedział, o co chodziło, potem jednak, nie wiadomo jak, rozszedł się słuch: „Wołodię złapano z cudzą żoną”. Lekkomyślni koledzy zamierzali zrobić obstrukcję. Urażone w swych uczuciach koleżanki były zdecydowane osądzić Zaleskiego według wszelkich kanonów komsomolskiej moralności. Starsi profesorowie ożywili się i, znacząco pochrzakując, opowiadali sobie nawzajem grzechy młodości.

Gdy wreszcie na sali pojawił się znany w całej Moskwie dziennikarz, specjalista od spraw komsomolskiej miłości i przyjaźni, gdy na estradzie ukazały się spasione twarze działaczy Rajkomu, i gdy na salę wszedł sam dyrektor Instytutu, laureat wielu nagród i doktor rozlicznych nauk, członek Akademii Ogło-

jedow, wszyscy obecni zrozumieli, że zanoszą się na coś niezwykłego.

Ach, te ostatnie minuty przed rozprawą, ta cisza przed burzą! Ciągną chmury w ciemnych marynarkach i jasnych kravatach, głucho grmią barytony przy stole prezydyjnym, gwar na sali ucichł. Jeszcze chwila i błysną wściekle czyjeś okulary ze szklami — 3 dioptrie, słuchacze, jak trawa pod wiatrem, pochyliły się na poręcz stojących przed nimi krzesel, uderzył piorun, i na tezy mówców padną pierwsze krople śliny...

Wołodia siedział przed samą estradą. Mimo tłoku oba sąsiednie krzesła były puste... Wreszcie zaczęło się.

— „Towarzysze! Do biura Komsomołu naszego Instytutu wpłynęło oświadczenie pracownika jednego z moskiewskich urzędów, towarzysza Kniażickiego. Pozwalam sobie podać je do waszej wiadomości: „Szanowni towarzysze, członkowie biura komsomolskiej organizacji! Zwracam się do was z prośbą o zbadanie antyspołecznej działalności waszego studenta Zaleskiego, Władimira Albertowicza, urodzonego w 1935. Wymienionego Zaleskiego, Władimira Albertowicza, zastałem w środę 2 marca rb., o godz. 13.30 czasu moskiewskiego, w moim własnym mieszkaniu, w chwili gdy z moją żoną, Kniażicką Anną Lwowną, naruszał jej wierność małżeńską. Jako członek Partii od 1949, nie mogę przejść obojętnie koło oburzającego faktu, że ob. Zaleskij powinien był w owej chwili znajdować się na lekcji socjalistycznej ekonomii, jak wynika z rozkładu godzin, wywieszzonego w przedsionku Instytutu. Zamiast tego, Zaleskij rujnował sowiecką rodzinę w stanie zupełnej nagości, jeśli nie liczyć trykotowej koszulki bez rękawów. Ale nie koniec na tym, towarzysze komsomolcy moskiewskiego Instytutu! Na moje pytanie, dlaczego tak postępuje, żona moja, Kniażickaja Anna Lwowna, odpowiedziała, że zrobiła to tylko dla dobra rodziny, ponieważ ob. Zaleskij jest specjalistą od płodzenia noworodków płci męskiej. Jest to oszustwo niegodne sowieckiego studenta, a tym bardziej komsomolca, ponieważ lekarz z 18-letnią praktyką, którego się radziłem, powiedział, że z góry nie można nic wiedzieć. Następnie żona moja, która wkrótce będzie była żoną, przyznała się, że ob. Zaleskij naruszył jej wierność małżeńską dwukrotnie. Po raz pierwszy miało to miejsce w mieszkaniu jej znajomej Kranc W.I., której mąż, jedząc rosyjski chleb, zajmuje się szachrajstwem w dziedzinie aprowizacji itd. Według mego zdania, dla takich jak Zaleskij W. A. nie ma miejsca w sowieckim instytucie ani w szeregach sowieckiego społeczeństwa, dążącego, jak mówi program Partii, do komunizmu. Kniażickij A.N. O decyzji proszę mnie zawiadomić pod wskazanym adresem”.

Na sali panowała nieopisana wrzawa. Już w połowie lektury czytający musiał wyteżać głos, pod koniec zaś po prostu krzyczał. Sekretarz biura Komsomołu na próżno dzwonił szklanką o karafkę, na próżno wznosił do sufitu swe białe mankiety. Zebrani przywitani oświadczenie obrażonego męża rykiem, świstem i nieprzewidywanymi porządkiem dziennym przejawami wesołości. Ale wszystko ma swój koniec. W zwartym murze wrzawy, jak niegdyś w pańszczyźnianej twierdzy, zaczęły się tworzyć szczeliny i wyrwy, i w jedną z nich wdarł się starczy bas członka Akademii Ogłojedowa.

— Wstyd mi! — zagrział uczone i audytorium ucichło. — Dziwnie mi i straszno słuchać, jak wy, studenci sowieccy, wy, młodzi, którzy będziecie żyli w epoce komunizmu, jak wy nihilistycznym śmiechem odpowiadacie na krzyk duszy! Obrażono i poniżono naszego towarzysza w walce o świetlaną przyszłość, obrażono i poniżono człowieka i obywatela! Jaką miarą zmierzmy gorycz, przenikającą teraz całe jego jestestwo! Jaką miarą zmierzmy krzywdę wyrządzoną społeczeństwu przez zniszczenie rodziny! Ach, przyjaciele! Oświadczenie towarzysza Kniażickiego nie ma być może zalet literackich, grzeszy nawet być może przeciw niewzruszonym zasadom rosyjskiej gramatyki, ale... ale on, prosty człowiek sowiecki, apeluje do waszych uczuć obywatelskich, do waszej sowieckiej moralności... i ma rację! My, przede wszystkim my, niesiemy odpowiedzialność za to, że przeoczyliśmy w naszych szeregach człowieka o obcej nam ideologii. Wspomnijcie słowa Majakowskiego: „Dotąd dużo takich chodzi, amatorów naszych żon”. I do jakich wybiegów uciekają się ci współcześni donżuani, polujący na łatwe sukcesy! On, pomyślcie tylko, może ustalać płeć mającego się narodzić dziecka! Sowiecka, pierwsza w świecie, nauka tego nie potrafi, a on, student Władimir Zaleskij, potrafi! On przeniknął wszystkie tajemnice przyrody! Wstyd, wstyd, towarzyszu Zaleskij! Ale nas te idealistyczne podstępny oszukają, jak oszukały ofiarę waszej rozwiążności. Jestem pewien, że nasza społeczność, że nasz młody, zdrowy kolektyw wyda surowy wyrok na oszusta, który okrył hańbą mury naszego Minapu!

Ogłojedow usiadł, sapiąc. Na sali zapanował znów gwar, ale tym razem bez wesołego ożywienia. Postępek komsomolca Zaleskiego ukazał się zebranym w całej swej brzydocie.

— Głos ma komsorg IV-go kursu!

— Towarzysze! — zaczął komsorg — Będę zwięzły. Popatrzcie tylko na niego! Popatrzcie na Władimira Zaleskiego! Jakie jest oblicze moralne tego, za przeproszeniem, komsomolca? Takie same jak jego wygląd zewnętrzny. A jaki jest jego wygląd

zewewnętrzny? Wąsiki! Nylonowa koszulka! Wąziutkie spodenki! I co się za tymi spodenkami ukrywa?

— To co u wszystkich — ponuro powiedział Wołodia.

— Wcale nie, wcale nie, towarzyszu Zaleskij! My nie chcemy się za spodenki jak stiliagi! Nie mamy nic do ukrywania przed społeczeństwem!

— Może ty nie masz nic do ukrywania — rozległ się głos z tylnych rzędów. Sala zatrzęsa się od śmiechu.

— Proszę zaprzestać tych demagogicznych wycieczek! Nie chwytajcie mnie za słowa! — wściekał się komsorg. — Kto nie był na omówieniu powieści Kożewnikowa „Witajcie, Bałujew!”? Zaleskij. Kto 8 marca w stanie nietrzeźwym powiedział nauczycielce angielskiego: „Pieszczotko”? Zaleskij. Kto też dał mu prawo nazywania kobiety „pieszczotką”, niby w jakimś Chicago? Gdzie byliście, towarzyszu Zaleskij, gdy cały kurs jak jeden człowiek, był na sobotniej pracy ochotniczej?

— Byłem chory.

— Ale do chodzenia po cudzych mieszkaniach jesteście zdrowi?! Proponuję: wykluczyć Zaleskiego z Komsomołu! Wypalić go czerwonym żelazem z naszych szeregów! Poruszyć w administracji sprawę dalszego przebywania Zaleskiego w Instytucie! Skończyłem.

— Proszę o głos!

W jednym z pierwszych rzędów podniosła się młoda kobieta. Była to aspirantka Ninoczka Armijanowa. Mrużąc krótkowzroczne oczy, uśmiechnęła się do przewodniczącego.

— Chciałabym zadać studentowi Zaleskiemu kilka pytań. Powiedźcie, Zaleskij, co skłoniło was do tak dziwnego i nie naukowego oświadczenia? Mam na myśli przypuszczalną płeć dzieci. Interesuje mnie to z punktu widzenia psychologicznego. Wy przecież nie możecie wierzyć w takie bajki?

— To nie są bajki — powiedział Wołodia i obejrzał się. Zebranie patrzyło nań tysiącem oczu, mieniących się jak w kalejdoskopie odcieniami drwiny, współczucia, szysterstwa i zdumienia. — „Dranie — pomyślał Wołodia. — Co robić? Wypędzą na pewno, wypędzą z wilczym biletem...”

— To nie bajki — powtórzył. — Nie jestem żadnym donżuanem, a co do wąskich spodni, to teraz wszyscy takie noszą.

— Nie wszyscy — przerwał komsorg. — Nie wszyscy...

Ale nie dano mu mówić.

— Nie przeszkadzaj!

— Powiedziałaś raz, i dosyć!

— Zaleskij, mów dalej!

— Ciszej — zaklinał sekretarz biura. — Mówcie, Zaleskij,

ale o przedmiocie sprawy. O spodniach, jeżeli będzie trzeba, przeczytamy w gazecie..

— Nie jestem żadnym donżuanem — ciągnął dalej Wołodia — ale gdy kobiety proszą, nie mogę odmówić...

Na sali zapanowała cisza jak na wykładzie.

— Ja, towarzysze mam takie uzdolnienie. Ale się z nim sam nie narzucam. To one do mnie dzwonią i zostawiają swoje numery telefonu. Mam na to świadków! — zawołał nagle. — Spytajcie ich, jeżeli mnie nie wierzycie! — i wyciągnął z kieszeni notatnik. — Kranc, Wiera Iwanowna — K 6-32-11! Sawczenko, Łarisa Michajłowna — D 7-11-81! Liesielidze, Tamara Georgiewna — Ż 2-37-18, dodatkowy 2-0-2! Chawlina, Lija Ernestowna... Ratner, Wasilij Siergiejewicz, pytać o Olgę Charitonownę... Wszystkie... Dzwonić do nich sami! Zobaczycie, jaki ze mnie donżuan! Ludzie proszą... Ja siebie nie szczędzę, sił nie żałuję... Chłopiec czy dziewczynka, mnie wszystko jedno...

Czytano oświadczenie Kniażickiego, dyrektor Instytutu grzmiał basem, partorg IV-go kursu zachłystywał się gniewem sprawiedliwego, Wołodia wykrzykiwał, a tymczasem partorg Instytutu, Dmitrij Pietrowicz Bronin, siedział w milczeniu i gryzmolił coś w notatniku. W tym, co słyszał, nie było dlań nic nowego: rozmawiał już był obszernie z Kniażickim i z pogrążoną w rozpacz Anną Lwowną, odwiedził był również w domu Wierę Iwanownę Kranc.

Od samego początku tej zagadkowej historii Bronin czuł dziwny popłoch i niezdecydowanie. Co robić? Instynkt nie zawodził go dotąd nigdy, tym razem jednak czuł się jak grający w „21”, który ma w karcie 15 punktów. Dokupić czy nie? Dobrze jeżeli przyjdzie figura lub szóstka, ale jeżeli będzie to coś innego? A jeżeli przyjdzie as i powie: „Za dużo! Za dużo dokupiliście, towarzyszu Bronin! Nie przemyśleliście tego i zepsuliście grę!”. Partorg próbował spisać punkty swego przemówienia, ale myśli jego plątały się bezładnie: „Cała nasza społeczność dąży wszystkimi środkami do wzmocnienia sowieckiej rodziny — a nawiasem mówiąc ta Kniażickaja jest wcale przystojna — postępek komсомolca Zaleskiego stoi w jaskrawej sprzeczności ze wszystkimi nakazami etyki — ale jak on to, u diabła, robi? — idiotyczny pretekst dla uśpienia czujności młodej kobiety — trzeba zmusić chłopca do wyjawienia nam wszystkich swoich „sposobów” — moralność nie jest pustym dźwiękiem i nie pozwolimy — bo i to prawda: jeżeli nie urodzi się chłopiec, to „byłby chłop na schwał, ale same córki miał” — sprawa Zaleskiego jest głębsza i poważniejsza, niż by się to mogło wydawać — powtarzając niedorzeczną brednię o swych nadprzyrodzonych możliwościach, Zaleskij leje

wodę na młyn idealistów, podrywa wiarę w naukę i w rezultacie robi nam prawdziwą dywersję ideologiczną — urządził się nieźle: baby go karmią, poją, pewnie i pieniążki mu dają — nie wątpię, że Zaleskij musiał być także zainteresowany materialnie, bo takie typy niczym nie gardzą — a ja tej dziwce dałem 50 rubli — nie ma dla nich miejsca w sowieckim Instytucie — ale jak on to robi? — stiliaga i pasożyt — napiętnować — ech, ja bym tę sprawę inaczej poprowadził, ja bym...”

Tu Bronin nagle zamarł, zastygł z otwartymi ustami, olśniony genialną w swej prostocie myślą! Starając się nie zwracać na siebie uwagi, wy dostał się zza stołu i na palcach skierował się ku drzwiom. Tam obejrzał się trwożnie na prezydium — a nuż ktoś inny wpadł również na tę myśl? — i prześliznąwszy się przez drzwi pobiegł truchtem do swego gabinetu, zamknął drzwi na klucz i wziął słuchawkę telefonu.

— Proszę z towarzyszem Wołkowym... Nie, z towarzyszem Wołkowym osobiście. Tak pilne... Mówi Bronin, partorg Mina-pu... M.I.N.A.P. Moskiewski Instytut Naukowej Profanacji... Tak, bardzo pilne... Tak, on mnie zna... Dziękuję..

Wracając w 10 minut później na zebranie, Bronin stwierdził, że zdążył na czas. Wykładający historię Partii siwowłose półgłówek mówił właśnie z uroczystą gestykulacją:

— ...Niech wyjdzie, niech powie. Jeżeli ob staje przy swoim że tak powiem, szczególnym powołaniu, niech opowie kolektywowi, na czym ono właściwie polega. Proszę was, towarzyszu Zaleskij.

Wołodia znów wstał, lecz nie zdążył jeszcze otworzyć ust, gdy Bronin wyprostował się i stanowczym głosem oświadczył:

— Sprzeciwiam się kategorycznie! Niech mi czcigodny Walerian Wikientjewicz wybaczy, ale uważam za niedopuszczalne, aby nasza trybuna miała służyć do propagowania przesądów. („Co, połknałeś i to, stary cymbale?”). Nas, ludzi nauki, nie interesują mistyczne domysły Zaleskiego. Nie uda mu się udawać niewiniątka i oczerniać sowieckie kobiety-pracownice! — I niespodzianie zakończył: — Proponuję zrobić przerwę. A wy, Zaleskij, chodźcie tymczasem do mego gabinetu.

I, pochyliwszy się, szepnął zmienionemu w słuch przedstawicielowi rajkomu Partii:

— Zebranie trzeba będzie zawiesić... Tylko co mówiłem z towarzyszem Wołkowym...

W 20 minut później czarny Zim zajechał przed gmach Minapu. Gdy Bronin i Zaleskij zajęli w nim miejsca, Zim przysiadł na tylnych łapach i lekkim skokiem pomknął naprzód, rozbryzgując mokry śnieg na buty milicjantów.

6.

— Teraz, towarzysze, posłuchamy, co powie nam medycyna. Profesor, wysoki, łykowaty mężczyzna z opaloną słońcem łysiną, odkaslnął i, widomie onieśmielony, zaczął w te słowa:

— Moi koledzy polecili mi zakomunikować wam, towarzysze, wyniki wszechstronnego badania lekarskiego, jakiemu poddany został... eee... przepraszam, nam nie powiedziano nazwiska pacjenta i nawet... jak to powiedzieć... radzono się nim nie interesować...

— Nazywajcie go „człowiekiem z Minapu”.

— Dziękuję wam... Tak więc, zbadany przez nas... człowiek z Minapu jest naszym zdaniem zupełnie zdrow. Serce, płuca, przewód pokarmowy i system nerwowy są w doskonałym stanie. Słowem, młody człowiek w godnym zazdrości stanie zdrowia. Co się zaś tyczy szczególnych osobliwości, przejawiających się rzekomo przy stosunkach płciowych, mamy tu według wszelkiego prawdopodobieństwa do czynienia z jednym ze schorzeń psychicznych, związanych z seksualnym...

— Towarzyszu profesorze, powiedzcie po prostu, czy nauka dopuszcza możliwość takiego zjawiska?

— Nauka twierdzi, że przy spółkowaniu żadna ze stron nie tylko nie może mieć wpływu na płęć przyszłego dziecka, ale nie może jej również przewidzieć. Co się zaś tyczy środków, przy pomocy których... człowiek z Minapu reguluje, jego zdaniem...

— Zaczekajcie, towarzyszu profesorze, bądźcie łaskawi zapoznać się z tymi tu dokumentami.

— Zaraz, przepraszam, moje okulary... Aha, oto są... Tak. „Protokół przesłuchania”... Proszę?

— Nic, nic, czytajcie.

— „...dziewczynkę, stosownie do poprzedniej umowy... Odpis metryki załącza się... Stosownie do jego obietnicy, urodził się chłopiec... Odpis metryki... Dwie dziewczynki i chłopiec, tyle właśnie, ile trzeba do otrzymania mieszkania... Odpis metryki... Odpis zlecenia przydziału mieszkania... Cierpiąc na impotencję, wyraziłem zgodę na... raczej w mojej obecności, niż na stronie... Odpisy...”

— Co powiecie o tym, towarzyszu profesorze?

— Darujcie, ale nic nie rozumiem... Te dokumenty...

— Bądźcie spokojni, profesorze. Naruszenia praworządności sowieckiej tu nie było. Towarzyszu Wołkow, kto opracował te materiały?

— Podpułkownik Sazan i major Prochorow.

— Wyrażcie im podziękowanie.

— Słucham, Pawle Piotrowiczu.

— Tak więc, profesorze, fakty są, a ich naukowego objaśnienia jeszcześmy nie słyszeli.

— „Wiele jest rzeczy na świecie, przyjacielu Horatio, o których się nie śniło filozofom”.

— Co? Jaki Horatio?

— Przepraszam, to z Szekspira. Cytata.

— Aha. No a teraz opowiedzcie nam, jak on to robi.

— W tej chwili. A więc chory... przepraszam, człowiek z Minapu twierdzi, że gdy w określonym celu wykonuje coitus, stara się wysiłkiem woli wywołać w swej wyobraźni oblicze...

— No?

— Oblicze, za przeproszeniem, Karola Marksa. Powtarzam tu jego własne słowa: „twórcy naukowego socjalizmu, Karola Marksa”.

— A jeżeli ma być dziewczynka?

— Wówczas twarz Klary Zetkin. Dwu zaprojektowanym chłopcom odpowiadają dwie twarze Marksa, trzem — trzy i tak dalej. Przeprowadziliśmy szereg doświadczeń w celu zbadania pamięci wzrokowej pacjenta i otrzymaliśmy zdumiewające wyniki. Po dwóch — trzech minutach obserwowania w skupieniu zupełnie nieznaney twarzy człowieka z Minapu dawał nam jej dokładny portret słowny. Jeżeli przyjmiemy jako roboczą hipotezę że może on istotnie wpływać na płęć dziecka, wówczas na szczególną uwagę zasługiwać będzie pytanie: jak może on w takiej chwili myśleć o czymś postronnym, o Marksie? To jest, chcę powiedzieć, postronnym w danej sytuacji. Trudno jest w takiej chwili oderwać się i, że tak powiem, emancypować od celu naszych wysiłków. Nieprawdaż?

— Hm... Istotnie nieco trudno... A co on mówi o tym, jak wpadł na ten pomysł?

— Widzicie, on objaśnia to tak. Kiedy w wczesnym dzieciństwie zapytał rodziców, jak się rodzą dzieci — pytanie, jak wiecie, często stawiane przez nasze pociechy — powiedziano mu, że jeżeli myśleć z uporem o chłopcu lub dziewczynce, wówczas rodzi się chłopiec lub dziewczynka. Z czasem doszły doń naukowe wiadomości o tym przedmiocie, w popularnej, oczywiście, formie. I wreszcie, gdy po raz pierwszy miał — jak to nazywa — „wzajemny stosunek” z kobietą, przypomniały mu się jego dzieciinne pojęcia, no i... spróbował. A ponieważ trudno sobie wyobrazić chłopca abstrakcyjnego, wyobraził sobie konkretnego Marksa z brodą, sztywnym gorsem, pince-nez i innymi atrybutami.

— A jak on to sprawdził?

— Przez poronienia. Po trzech miesiącach cechy płciowe płodu są wyraźnie widoczne. Człowiek z Minapu twierdzi, że dotąd zdarzyła mu się tylko jedna omyłka, gdy zamiast Klary Zetkin przywidział mu się pisarz Fiodor Gładkow.

Oczywiście, odnieśliśmy się do jego wyjaśnień sceptycznie, ale nie znaleźliśmy jeszcze wówczas tej dokumentacji...

— Tak. Na ogół, towarzyszu profesorze, sprawa jest jasna. Dziękujemy. Nie zatrzymujemy was dłużej. Pracujcie, badajcie, a jeżeli będzie wam coś potrzebne, zwracajcie się do mnie. Towarzyszu Wołkow, odprowadźcie profesora.

Profesor sztywno skierował się ku wyjściu, i za drzwiami dało się słyszeć jego głośne „uf”.

— No i co, towarzysze? Myślę, że trzeba przejść do wniosków praktycznych. Powinniśmy spojrzeć na tę sprawę z ołówkiem w rękę, po gospodarsku. Nasamprzód trzeba wyjaśnić, czy on potrafi nauczyć tego innych. Jeżeli potrafi, będziemy mogli przystąpić do planowego płodzenia dzieci. Ustalimy ściśle program produkcji odzieży, obuwia, biustonoszy i damskich rowe-rów. W ciągu 18-20 lat wyrównamy ilość mężczyzn i kobiet, aby każdy miał według potrzeb. A za bezżenstwo — pod sąd! Czy tak, towarzysze? Jeżeli nie tak, poprawiajcie mnie, wysuwajcie propozycje. Wasilij Siemionycz, czy dobrze mówię?

— Słusznie, Pawle Piotrowiczu! Wspaniałe perspektywy rozwoju... Ale, jeżeli prócz niego nikt nie potrafi?

— Kto wilków się boi, niech do lasu nie chodzi. A jeśli w rzeczy samej... No, cóż? Pomyślimy, naradzimy się. Pośród nas on nie zginie, znajdziemy dlań miejsce, wykorzystamy. Wykorzystamy w małej skali... w niewielkim kółku. My sami jesteśmy zbyt zajęci, a i lat już mamy za sobą niemało. Jeżeli spłodzimy dzieci, będzie to miało kolo-sal-ne znaczenie polityczne! Wszyscy wezmą to za nowy dowód naszej siły, naszej potęgi. No tak... A on chłopak nasz, sowiecki, komsomolec!... Odżywiać go trzeba lepiej... Mięsa, więcej mięsa! Towarzyszu Wołkow, wydajcie polecenie.

— Słucham, Pawle Piotrowiczu.

— Trofim Dienisowicz, czemu nic nie mówisz? Jak to wygląda z punktu widzenia filozoficznego? Czy nie ma w tym aby idealizmu? Myślę o jego metodach.

— Ale skądże, Pawle Piotrowiczu! Tu sama dialektyka. Baza kształtuje nadbudowę, to jest socjalistyczne warunki życia wpływają na świadomość, a nadbudowa, to jest świadomość, wpływa na bazę, to jest na zapłodnienie, na procesy materialne i biologiczne. I nie kto inny, jak sam Karol Marks...

— A więc, towarzysze, organizację tej sprawy powierzamy...

7.

W ten sposób Wołodia Zaleskij został „człowiekiem z Minapu”. Wspaniałe plany ekonomiczne, niestety, nie ziściły się. Talent Wołodi okazał się zjawiskiem wyjątkowym, czymś w rodzaju talentu Paganiniego. „Góra” wyobrażała już sobie tytuły gazet w rodzaju: „Projekt poprawek do 7-letniego planu rozwoju gospodarczego, przyjęty na podstawie wybitnych osiągnięć nauki sowieckiej” lub „Po raz pierwszy w historii ludzkości” lub „Człowiek sowiecki kieruje procesami biologicznymi”, lub wreszcie „Nowy triumf filozofii marksistowskiej”. Z wszystkiego tego trzeba było zrezygnować. Zresztą uczeni genetycy wyrazili przypuszczenie, że niezwykle uzdolnienia człowieka z Minapu będą mogły być przekazywane w drodze dziedziczności. Cóż, zobaczymy...

Tymczasem Wołodia mieszka pod Moskwą na dacy: je, pije, śpi, zajmuje się sportem i pod nadzorem lekarskim przygląda się telewizji. Co pewien czas przysyłają samochód, i Wołodia jedzie spełniać swe obowiązki.

Zrazu ciekawiło go, do kogo go wożą. Pytał o to wciąż, dopóki jeden z agentów mu nie powiedział:

— Ty, chłopcze, rób swoje i nic nie mów. Po co ci nazwiska? Jeśli coś się zdarzy, za nic nie odpowiadasz. A jeśli będziesz dużo wiedział, mogą powiedzieć: „Za dużo wiesz, bratku, prosimy do kantoru!”. Póki co, jesteś na cielęcym statucie: possiesz sobie i spokój”.

Wołodia zamilkł.

Żyje sobie nieźle, trochę się nudzi. Jedna myśl tylko rzuca cień na jego egzystencję: co będzie, jeżeli utraci swój talent? Instytutu przecież nie ukończył, a teraz bez wykształcenia — oj, jak trudno.

N. ARŻAK

(Przełożył z rosyjskiego Leon FURATYK).

W fabryce

w ciekłości rzeki rozkochany inżynier
przerzucał nad nią mosty ujmował nurt w tamy
rył pod nią tunele zaświecał statkami
rzeka płynęła dalej
stary rybak palił fajkę
siedząc na brzegu trzymał krzepko wędzisko
co skoczył prędko pstrąg albo gwiezdna płotka
pyknął z fajki uśmiechnął się lekko
pochłonięty całkowicie muskaniem kamieni
przez srebrne stworzenia zaciekle walczące
żeby połknąć zieloną muszkę a nie zawadzić
gardłem o stalowy haczyk umocowany na sznurku
rybak palił nie wiedział nic o inżynierze
ani go ciekłość wody w rzece ani piękno mostu
ani żadne inne problemy nie pasjonowały
nie pragnął w tej chwili niczego innego
prócz spokoju na brzegu ciepła słońca
i tej gonitwy szalonej na spodzie
czy ryba złapie przynętę a on rybę
inżynier budował nie śledził ani piękna rzeki
ani mu nigdy do głowy nie przyszło
że mogą istnieć w życiu inne namiętności
niż budowanie mostów statków tuneli i tam
po latach miał przykry wypadek
szpital kilka operacji tam poznał
co to znaczy za późno odkryć trop szczęścia
co to znaczy za późno wpaść na żelazne prawa
że pieniądze i młodość są płynne jak woda

której ciekłość tak ukochał i zapomniał o wszystkim
nie zdawał sobie sprawy
jak długo przebywał w szpitalu dopiero
gdy go żona odeszła dzieci wyrosły i gorzko
wypominały mu że nie zabezpieczył im dobrobytu
zrozumiał jak trudno jest zadowolić wszystkich
gdy się zdaża tylko do jednego celu
wilę sprzedano na licytacji pieniądze w banku
utonęły zajęto je za zaległe podatki
wielka firma dla której zmarnował swe życie
odtrąciła go gdy widziała że utracił właściwości
dobrego zwierzęcia pociągowego
i cóż mógłby robić teraz prowadzić archiwum
może napisać pamiętnik
inaczej dzisiaj mosty budowano
inaczej statki
zresztą od wody i łądów powietrze się stało ważniejsze
z maszynami na skrzydłach a on nie nadażał za popytem
na budowniczych statków powietrznych
okazało się także mimochodem
że firmę nabyli inni właściciele
twarde twarde twarde maniery twarda mowa
to wszystko mu uświadomiło
że go sprzedano na loterii historii
ciężka rozpacz poznania
nikt go nie kochał
żona spała z kim innym
innemu rodziła dzieci jego dzieci
zaczęły własne życie już bez niego
widząc że trzeba zaczynać od nowa
wziął co mu dano na giełdzie pracy
stoi obok mnie w wielkiej fabryce
na żelaznych stołach liczy sprawdza spisuje w książce wysyłkowej
pakuje składa na żelaznych platformach
sprawdza pakuje w pakowni wysokiej jak katedra
znów zapisuje towar który zwałają tonami
tona za toną godzina za godziną młode silne ręce
naburmuszonych ludzi gadających innym językiem
są wśród nich czarni żółci
są brunatni pomieszanie ras
są krzykliwe kobiety trą ozorami jak żyletki
stary inżynier od czasu do czasu przeciera okulary
spisuje towar cierpliwie pakuje ładuje go na żelazne platformy
platformy te zabierają olejem pędzone wózki

zabierają je także elektryczne
 inżynier się męczy szybko
 czasem patrzy na mnie badawczo
 wiem że się dziwi
 jakby czytał w moich oczach nie martw się stary nie bądź głupi
 to jest życie nędzne życie a przecież
 płynniejsze jest od wody od ciekłej rzeki
 zmienia się wiruje ile razy jeszcze bieg tej rzeki
 wzburzy się lepszymi falami niż nasze
 pewnego dnia chyba po roku inżynier rzeczywiście
 nie przyszedł rano do pracy wiedziałem nie był chory
 wiedziałem coś dobrego się stało
 po miesiącu przyszła do fabryki na nasz oddział
 pocztówka z francji na moje nazwisko
 z krótkim wyjaśnieniem
 odzyskałem pamięć
 buduję wielką tamę na rodanie
 wiedziałem co to znaczy powrót do gniazda
 wiedziałem co to znaczy upadek
 wiedziałem co znaczy niezawiniona klęska
 ale wiedziałem również że stary inżynier
 co razem ze mną
 był transportowym robotnikiem
 miał ten potrzebny gram szczęścia
 pozbył się żony co go opuściła w ciężkiej chorobie
 pozbył się dzieci co go nie chciały
 gdy przestał im dawać pieniądze
 pozbył się drogiej willi willę kupił na licytacji
 budowniczy o otwartej kwadratowej twarzy
 procesujący się o każde pięć szylingów z gminą
 z powiatem z gazownią z elektrownią
 hodujący ceglaste kury tam gdzie rosły róże
 parkujący swe lory gdzie wytworni urzędnicy
 nie wiadomo dlaczego zatrudnieni w ministerstwie
 spraw zagranicznych bali się nawet widoku tańszego samochodu
 teraz brodzą w kałużach ropy olejów słuchają wycia
 zachrypniętych głośników radiowych nowego sąsiada
 który ma w nosie ich wykwintne maniery
 mówiące przez nos białe lesbijki eleganckich żygolaków
 który ma nerwy twarde jak podeszwy butów
 byczy kark zęby rozstawione jak nogi kucharki
 policzki wyżarte przez wiatr wapno pył ceglany
 sto tysięcy w banku na osobnym koncie
 kupując na licytacji willę starego inżyniera

nie osiadł w niej żeby mówić przez nos
 sadzić róże podróżować jaguarem
 lecz aby wykurzyć z eleganckiej dzielnicy
 to miękkokostne towarzystwo wzajemnej adoracji
 zając ją na mocną fortecę do walki
 o inne wille
 blisko stąd do city
 więc budowniczy o mocnej kwadratowej twarzy
 postanowił zając tę drogą dzielnicę
 dla swych krewniaków z żonami
 jak szafy mahoniowe
 z dziećmi co hałasem potrafią obalić mur
 wysoki na sześć metrów
 a wszystko to stało się dlatego
 że pieniądz jest płynny jak woda w tych rzekach
 którą w tamy chciał ująć pracowity inżynier
 w naszej pakowni przewiewnej jak hangar
 na jego miejsce przyszedł na stół numer siedem
 inny rozbitek z wielkiego oceanu życia
 też wiedziałem od razu że jego tortura
 w naszej hali ze szkła
 będzie krótka choć wcale
 nie myślałem aby życie temu nowemu towarzyszewi
 także podawało złotą czarę z miodem
 albo
 żeby jego ręce nie wiedziały czym jest książka
 lub fortepian
 więc się uśmiechałem i uczyłem go mej nowej sztuki
 wiedziałem że nowy patrząc roztargnionym wzrokiem
 tak samo jak stary inżynier jest od tego miejsca
 myślami daleko tak daleko jak ja byłem jestem i będę
 ani na jeden procent się nie myliłem
 że go mej nowej sztuki wyuczę w ciągu pięciu godzin
 wróciłem do domu z roboty biorę się za kolację
 otwieram puszkę gulaszu serbskiego myję kartofle
 czyszczę pory dobre do mięsa przyrządzam sos
 grzybowy do makaronu mała wróci zaraz ze szkoły
 trzeba wszystko postawić na ogniu
 przed szóstą żona przyjedzie z pracy
 otworzyłem butelkę czerwonego wina
 o mała wróciła już drzwi wchodowe otwiera
 słyszę jej głosik wbiegła na górę
 jak się masz słodka
 objęła mię za szyję rączkami

dobrze mówi jak tam było w fabryce
 nic takiego odpowiadam rzeczowo
 po czym nie tracąc czasu znowu do niej
 zdejm kapelusz i płaszcz puść telewizję
 dają wyścigi psów śliczny obraz
 tatusiu mówi mała cicho
 ja wolę ten amerykański o statkach powietrznych
 nauczycielka fizyki mówiła nam dziś o prawie grawitacji
 masz jakieś prace zlecone w domu powiadam marginesowo
 mamy zadanie z biologii o spermie ssaków
 dużo było na lekcji z tego uciechy
 dlaczego rzecz jest więcej niż prosta
 o tak zapomniałam w zeszłym tygodniu nauczycielka wykładała
 o kopulacji świnek morskich
 także dostałyśmy wypracowanie z geografii
 zadanie o przylądku dobrej nadziei
 rób co chcesz odpoczywaj wiesz że jestem szczęśliwy
 kiedy się śmiejesz i tu się uśmiecham
 zielone rurki porów pachną jak młodość
 kraję na plasterki soczyste części płuczę liście
 gotuje się woda mała siedzi w swym starym fotelu
 śledząc na ekranie dwa statki międzyplanetarne
 podobne do sztucznych owadów
 zbudowanych z metalu plastyku anten lanc raketowych
 stalowych drutów pięknych jak tkanina pająka
 postawiłem na kuchence elektrycznej kolację
 ziemniaki się pieką w duchówce
 gulasz skwierczy pory parują
 zapach cebuli i aromat portugalskiego wina
 czekamy oboje mała i ja na przyjazd żony
 myję się parska mówię sakramentalne
 teraz słoń parska wybac mi córeczko
 nie hałasuj nigdy przy myciu ja muszę
 dobrze tatusiu zwykłe ordynarne życie
 cóż może być od niego bardziej ordynarnego
 bardziej drogiego czysta naga egzystencja
 trwanie praca jedzenie sen sen praca jedzenie
 rok za rokiem tak samo praca jedzenie sen
 nie sądzę żeby ktoś wymyślił lepszą rzecz niż życie
 co jednak można wymyślić lepszego
 niż praca jedzenie i sen
 żona wróciła całując chłodny policzek
 dotknęła mnie ciepłymi wargami zmęczone
 trochę miałyśmy dużo roboty jeździłam

do bush housu potem poczta byłam u doktora
 co powiedział dał mi proszki
 siadamy do jedzenia periquita
 pierwszy łyk szczypie przyjemnie w język
 potem aromat dębowej kory zmieszany z winnym kurzem
 jemy mała między połknięciem gorącego makaronu
 krajanych w krążki porów łyku mleka
 z ożywieniem tłumaczy matce wyniki lekcji biologii
 o parzeniu się psów w znaczeniu naukowym
 chwytając ołówki chce rysować bardzo to zajmujące powiada
 choć zabawne jednocześnie nie nie trzeba
 przerywamy oboje opowiadaj raczej tak będzie lepiej
 nieco rozczarowana mała znakomicie powtarza lekcję szkolną
 obydwójce jesteśmy z niej dumni
 jeszcze kieliszek pytam żony tak odpowiada
 nalewam periquitę w szkła o kształcie świętego jaja
 wprawnie bez pudła nie patrząc
 nie na darmo byłem kiedyś także barmanem
 pijemy ciemnoczerwoną posokę pachnącą rdzą i piaskiem
 jeszcze czarna kawa z czekoladowym ciastem
 pomarańcza banany kiedy przepracowałem pełnych siedem dni
 [w tygodniu
 gdy w szarej kopercie z ordynarnego mocnego papieru
 czało się dodatkowe pięć funtów albo z innych nadgodzin
 po kawie szmaragdowa gruszka
 gdy się trafi dobra w sklepie owocowym albo na targu
 różowe winogrona
 albo złota chrupka belgijska znowu czarna kawa
 papieros jeśli mam pieniądze to amerykański
 potem żona myje naczynia córka pisze
 zadanie domowe ja usiadam przy maszynie
 pół godziny gram na remingtonie
 chopin literatury który na życie zarabia w fabryce
 wieczór objaśnia się trzaskaniem drzwiczek samochodów
 na ulicy przed domem
 objaśnia się rudą świecą słońca o niewiarygodnej sile światła
 wrzuconą nagle do wielkiej piwnicy
 z samochodów wyłażą robotnice fabryk
 restauracyj pralni sklepowe fryzjerki
 jak się wytrząskają z drzwiczek wędrują do pubów
 dopiero po jedenastej w wrzasku kłątwach szamotaniu
 z źle ubranymi mężczyznami o kiepskich twarzach
 jeszcze gorszych figurach używających zamiast ludzkiej mowy
 jakiegoś bełkotu i dlatego pięści służą im częściej

za narzędzie mowy niż język
rozłazą się po barłogach w starych slumsach
z klozetami w ogródkach z pokojami niskimi
jak ich krępe matki z kanarkiem w klatce
z dywanami na raty z radiem na raty z telewizją na raty
tak samo samochody są ratalne flaty czasem myślę
że ich żony są na raty ich dzieci ratalne
całe życie jest jedną wielką seria ratalną
można tych ludzi wynająć sprzedać kupić
opluć zmiąć jak ich ratalne ręczniki w pralni
tam gdzieś w górze gdzie się razem spotykają
wieże kościołów baszty banków gwiazdy i mury więzienia
ukrywają się anonimowe centrale
wielkich biur
zatrudniają one
parszywie wyglądających mężczyzn
kobiety z tanimi twarzami
każdego poniedziałku zjeżdża
ta sfora ogląda się niespokojnie parkuje w ukryciu
swe samochody skrada się do domów stuka
inkasuje pieniądze czasem kopniaka czasem
w mordę ale niestrudzenie zsypuje
srebro do walizek banknoty zszywa palcami w paczki
potem gazu i chodu i znów w następny poniedziałek
zbiera raty od raciarzy opłacana także w ratach
w epoce rat co ja mogę przygnieciony do ziemi
razem z żoną i córką wstają o świcie
razem z podobnymi mężczyznami usmarowanymi gliną
wapnem smarami lor sadzą kurzem paląc papierosa
wsiadamy wszyscy do pociągów które nas wiozą
na określone miejsca tam tak samo z innych stron
pociągi wyrzucają tysiące mężczyzn umazanych wapnem
a potem za nami za dwie godziny właściciele
ratalnych samochodów kobiet telewizyj domów
trąbią na ulicach pędzą do swych nor gdzie
oszukują ludzi oszukują siebie ale czasu nie mogą oszukać
choćby wszystko za to dali po latach siedzą posiwiali
na ławeczkach na skwerkach w parkach w publicznych ogrodach
patrzą z lękiem jak w nasturcjach z dreszczem
kiedy w zieleńcowych kwiatach ni to w srebrnych kieliszkach
hałasuje pszczoła
na boisku chłopcy kopią piłkę skrzypią huśtawki
obok orkiestra się wygłupia w zielonym pawiloniku
co świeższe kobiety lub zgrabniejsze dziewczęta

każda z brzuchem sterczącym pod piersi
wolno się przechadzają pod platanami sadzonymi przez lorda
którego najulubieńsza córka zastrzeliła się w afryce z miłości
najstarszy syn leży rozerwany we flandrii jeszcze w szesnastym
rosną na nim czerwone maki srebrne pięści ostów
grożą wycieczkowiczom którzy przyjechali oglądać pole bitwy
złotozielonym autobusem świecącym od szkła i niklu
staruchy i starcy pamiętają biednego lorda
oszukiwali go jak byli młodzi kradli
w jego majątkach srebra dywany i kryształy
nigdy nie powiedzieli o nim dobrego słowa
teraz siedzą w jego parku oddanym na użytek publiczny
wspominają dobre czasy kiedy żyli z powietrza
potem stukając laskami śmieją się obleśnie
gdy ciemny palec wieczoru dotknie twarze drzew
ciężarne kobiety wracają powoli do domów
chłopców wypędzono z boiska
a pszczoła poszła spać
oni też zgrzybiali włoką się po schodach
do swych cel w których się pali światło elektryczne
syczy gaz synowie i córki się uwijają
żeby ich dzieci i córki tak samo
uwijały się na progu roku dwutysięcznego
aby zdążyć na poniedziałek z ratami
po które przyjadą mężczyźni i kobiety
o podejranych twarzach zaparkują w ukryciu samochody
pędzone nie benzyną i olejami lecz uranem
albo zawiłą energią złożoną z tlenu i elektryczności
dwunasta bije w dzielnicy robotniczej
zapada cisza stygnąc w kwadratowe kostki
kto chce wstać o piątej rano musi zasnąć o północy
tylko ja nie mogę zasnąć rzucam się na łóżku
co jest życie pytam na próżno spalanie się cząstek materii
związanych razem tajemniczo z cząstkami antymaterii
w istotę złożoną z samych sprzeczności
w miriady różnych istot
przez trzecią przez nas niezbadaną siłę
która materią nie jest ani antymaterią
pluskanie kropel wody w sztolni
szelest tokarni maszynowej
dźwięk schnącej cegły
zapach mokrych liści po deszczu
chloroform ukryty w dłoniach księżycy
piosenki żab na wsi

człapanie kopyt końskich
 lekko w skroniach
 wreszcie upragniony sen
 głęboki pięciogodziny sen

Marian CZUCHNOWSKI

PAN TADEUSZ

Angielskie tłumaczenie wierszem, arcydzieła poezji polskiej Adama Mickiewicza, dokonane zostało przez Profesora Watsona Kirckonnella, rektora University of Acadia, Nova Scotia. Przy tłumaczeniu Prof. Kirckonnell korzystał z rad i pomocy szeregu poetów i uczonych polskich.

Książka o objętości 407 stron na kredowym papierze w sztywnej okładce jest do nabycia w Polskim Instytucie Naukowym w Ameryce: 59 East 66-th Street, New York 21, New York.

Zamówienia wykonywane są natychmiast. Cena za egzemplarz US \$ 7.00 łącznie z przesyłką pocztową.

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU” — Za \$ 6.00 rocznie przychodzić będzie do Ciebie dwa razy na tydzień — to największe pismo Polonii Kanadyjskiej.

Archiwum polityczne

Alternatywa

Podczas debaty parlamentarnej w lipcu br., broniąc rządowego projektu nuklearnej „Force de frappe”, premier francuski Pompidou przypomniał sytuację z roku 1939. Jego zdaniem, atakując Polskę, Hitler mógł przypuszczać w pewnej chwili, że Francja i Anglia nie będą interweniowały.

Opierając się na tym przykładzie, szef rządu francuskiego ostrzegł przed niebezpieczeństwem podobnego nieporozumienia na przyszłość.

„Czyż nie jest możliwe, że inni, pewnego dnia, wyobrażą sobie, że są zdolni do zneutralizowania Europy, zanim nasi sojusznicy wejdą do akcji z całością ich broni strategicznych? Gdyby zawahanie w tej dziedzinie, gdy chodzi o stawienie czoła śmiertelnemu niebezpieczeństwu, miało trwać tylko chwilę, w ciągu tej chwili Francja mogłaby przestać żyć”.

Nikt nie może być bardziej powołany, niż premier francuski do oceny groźnych następstw, mogących wyniknąć z różnic w interpretowaniu zobowiązań sojuszniczych. Istotną przyczyną nieporozumień polsko-francuskich w okresie dwudziestolecia był opór Polski przeciwko dążeniu polityki francuskiej do rozluźnienia zobowiązań sojuszniczych, powziętych w roku 1921. W miarę, jak zarysowywał się w Europie nowy stosunek sił, polityka francuska, zerkając pełnym nostalgii wzrokiem w kierunku Moskwy, gotowa była, od biedy, uwzględnić sojusz z Polską, jako jedno z niedoskonałych i pomocniczych tylko narzędzi systemu bezpieczeństwa Francji. Traktowanie sojuszu z Polską, jako narzędzia systemu wzajemnego bezpieczeństwa, nie należało do największych trosk polityki francuskiej. W maju 1939 roku, po 18 latach uporczywych zabiegów, strona polska doprowadziła wreszcie do podpisania protokołu wojskowego, ustalającego automatyczne rozpoczęcie działań zbrojnych armii francuskiej przeciwko Niemcom w razie ich napaści na Polskę, ale strona francuska uzależniła wejście w życie tego aktu od podpisania dodatkowego proto-

kołu politycznego. Jak wiadomo, został on podpisany dopiero 4 września 1939, w czwartym dniu najazdu, nazajutrz po zaistnieniu stanu wojny pomiędzy Francją i Niemcami. Zobowiązania wojskowe Francji nabrały wreszcie mocy prawnej, lecz, mimo to, nie zostały wykonane. Polska opinia publiczna uświadomiła sobie po niewczasie, że nasz bezwarunkowy frankofilizm niewiele zaważył na ocenie interesów Francji przez politykę francuską. Podobnie lekkiej wagi może się okazać bezwarunkowy proamerykanizm francuskiej opozycji politycznej przeciwko de Gaulle'owi, w okresie, kiedy pod wpływem przemian w doktrynie strategicznej Stanów Zjednoczonych sojusz atlantycki zaczyna zmieniać swoją naturę. Pomimo całej frazeologii, panującej obecnie w świecie, prawda jest niesłychanie prosta: istotą polityki jest ciągle jeszcze obrona interesów państwowych. Klimat uczuciowy może ułatwiać, lub utrudniać zawieranie i dotrzymywanie porozumień politycznych, ale ich nie warunkuje.

Perypetie sojuszu polsko-francuskiego powinnyby wystarczyć dla zrozumienia troski gen. de Gaulle o stworzenie takich warunków, które zapewniłyby wypełnienie przez Stany Zjednoczone ich zobowiązań sojuszniczych w Europie. Nikt, oczywiście, od generała de Gaulle zaczynając, nie wątpi o zasadzie lojalności polityki amerykańskiej wobec europejskich członków sojuszu atlantyckiego i o jej najlepszej woli obrony Europy w razie przekształcenia się zagrożenia sowieckiego w zbrojny najazd. Chodzi o to, kto ma zdecydować o uruchomieniu Apokalipsy nuklearnej w wypadku zaatakowania Europy. Czy tylko sama Ameryka, kierując się przede wszystkim interesem własnym, czy też dyktoriał z udziałem przedstawiciela Europy, jak tego żąda de Gaulle od września 1958 roku? Amerykański punkt widzenia tłumaczy Walter Lippmann, którego bliskie stosunki z Departamentem Stanu są powszechnie znane, pisząc:

„Stany Zjednoczone nie mogłyby zaakceptować i nie zaakceptują ogromnego ciężaru Sojuszu Atlantyckiego z perspektywą wojny thermonuklearnej, której ryzyko byłoby katastroficzne, gdyby straciły w łonie aliansu inicjatywę i ostateczną odpowiedzialność za sprawę pokoju i wojny”.

Ponieważ de Gaulle sam uznaje główną odpowiedzialność Ameryki, na którą w razie wojny spadłby główny wysiłek, zagadnienie sprowadza się do sensu słowa: „inicjatywa”. Z punktu widzenia Departamentu Stanu, a jeszcze bardziej — Departamentu Obrony, inicjatywa powinna należeć wyłącznie do rządu Stanów Zjednoczonych i do nikogo więcej. Otóż, trawestując słowa Lippmanna, obecna polityka francuska nie może uznać, aby o losach Europy, w razie materializacji zagrożenia sowieckiego, decydowała tylko i wyłącznie sama Ameryka. Przytoczone na wstępie tego artykułu zdanie z przemówienia premiera francuskiego stanowi uzasadnienie tego stanowiska.

Aby zrozumieć ewolucję polityki francuskiej w stosunku do organizacji Sojuszu Atlantyckiego, należy mieć na widoku dwa zjawiska. Pierwsze z nich polega na bardzo realistycznym i wy-

zutym z wszelkiego sentymentalizmu sposobie rozumienia przez gen. de Gaulle'a istoty sojuszu. W jego opinii sojusz obronny ma tylko wtedy sens, jeżeli jego uczestnicy posiadają środki, zapewniające jego działanie i wolę posłużenia się tymi środkami. Zasada ta nabiera specjalnej wagi, gdy chodzi o stosunki pomiędzy sojusznikiem słabszym i silniejszym. W tym wypadku chodzi o zapewnienie sojusznikowi słabszemu udziału w decyzji. Jest bardzo dobrze, jeżeli sojusznik słabszy ma zastrzeżone traktatowo prawo udziału w decyzji, czego zresztą Układ Atlantycki nie zapewnia, ale jest jeszcze lepiej, jeżeli posiada środki zmuszenia sojusznika silniejszego, powiedzmy — lidera sojuszu, do liczenia się z jego wolą. Zadaniem francuskiej „force de frappe” nuklearnej jest, w pierwszym rzędzie, odebranie Sowiecom ochoty do najazdu na Europę, a więc i na Francję. W drugim rzędzie, gdyby odstraszenie nie powiodło się, stworzenie faktu dokonanego, który by zmusił Stany Zjednoczone do interwencji nuklearnej w obronie Europy i to wtedy, gdy sami zainteresowani uznają się za śmiertelnie zagrożonych, a nie wtedy, gdyby o stopniu ich zagrożenia miała decydować sama Ameryka. „A co będzie, zapyta sceptyk, jeżeli Stany Zjednoczone zignorują fakt dokonany i nie zdecydują się na użycie broni ostatecznej”. Odpowiedź na to pytanie będzie bardzo pragmatyczna. Gdyby, na długą metę, było możliwe zachowanie niepodległości Stanów Zjednoczonych bez niepodległej Europy i jej potencjału gospodarczego, nigdy by nie doszło do zawarcia Sojuszu Atlantyckiego. Ten sojusz był i jest jeszcze potrzebny nie tylko Europie, ale i Ameryce. Jest zrozumiałe, że rząd Stanów Zjednoczonych pragnie zachować wyłączne prawo decyzji o pokoju i wojnie, ale jest pewne, że nie popełniłby samobójstwa, wybierając bierność, tylko dlatego, aby ukarać słabszego sojusznika, sięgającego do środka ostatecznego w obronie życia.

Istotą drugiego zjawiska jest ewolucja strategii amerykańskiej, pociągająca za sobą zmiany w samej naturze Sojuszu Atlantyckiego. W okresie ośmioletnich rządów Eisenhowera zadaniem strategii amerykańskiej było odstraszenie przeciwnika groźbą terroru nuklearnego. W miarę postępu zbrojeń sowieckich w tej dziedzinie wytworzyła się, mimo niewątpliwej przewagi amerykańskiej, równowaga terroru, gdyż z chwilą, kiedy obaj przeciwnicy posiadają dostateczne środki, żeby się wzajemnie unicestwić, stosunek cyfrowy staje się zagadnieniem drugorzędnym. W następstwie równowagi terroru obie strony straciły możliwość wzajemnego narzucenia sobie swej woli, co spowodowało immobilizm polityczny, którego jednym z przejawów było, aż do tej pory, niewykonanie pogroźek sowieckich w sprawie Berlina i podpisania traktatu pokojowego z Niemiecką Republiką Demokratyczną.

Administracja prezydenta Kennedy usiłuje wydostać się z błędnego koła równowagi terroru nuklearnego i unieruchomienia politycznego. Podstawą nowej strategii jest obecnie obrona giętka, polegająca na powstrzymaniu najazdu siłami klasycznymi i

stworzeniu w ten sposób rezerwy czasu, potrzebnej dla przeprowadzenia interwencji politycznej, lub dla powzięcia decyzji o użyciu broni ostatecznej. Celowość wojskowa miałaby zastąpić terror, a bombardowania byłyby skierowane przeciwko obiektom wojskowym, zamiast miast i wielkich skupień ludności. Ta nowa doktryna, głoszona jawnie, jak gdyby dla uzyskania niepisanego porozumienia ze stroną przeciwną, wprowadzana jest w życie przez lidera sojuszu autorytatywnie, zgodnie z jego sposobem rozumienia swej roli wewnątrz przymierza i z pozostawieniem partnerów w całkowitej niepewności zarówno co do samej zasady interwencji nuklearnej, jak i co do wyboru chwili. Jednocześnie, od wielu miesięcy, odbywa się pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Sowietami sondaż wzajemnych intencji na temat kompromisu politycznego. Ponieważ obie strony pragną uniknąć wojny nuklearnej, możliwość porozumienia nie jest całkowicie wykluczona. Gdyby do tego doszło w kontekście politycznym zdeterminowanym obecnością tych dwóch partnerów, byłoby to porozumienie dwóch rywali, porozumienie z konieczności, przepojone troską o zapłacenie jak najmniejszej ceny i nie rozwiązujące żadnego z istotnych problemów. Ponieważ to Sowiety prowadzą taniec, przynajmniej na odcinku Berlina i ew. traktatu pokojowego z Niemcami Ulbrichta, ceną porozumienia byłoby prawdopodobnie jakieś ustępstwa Ameryki w zakresie tych dwóch zagadnień. Koszta kompromisu zapłaciłaby Europa. Wyraziłyby się one w usztywnieniu żelaznej kurtyny na jakiejś z lekka zmodyfikowanej linii i na powrocie do unieruchomienia politycznego. Rosja byłaby nadal skazana na sąsiedztwo z Ameryką w środku Europy, z dywizjami niemieckimi, jako ostrzem lancy Sojuszu Atlantyckiego. Stany Zjednoczone poddałyby się miłemu złudzeniu, że zasiadły w pozycji, pozwalającej na wygodne oczekiwanie ewolucji wewnętrznej w granicach bloku komunistycznego. Odrzucenie przez Senat amerykański propozycji budżetowej, przewidującej pomoc dla Polski (a także i dla Jugosławii), zostało ocenione w Paryżu nie jako przejaw nieświadomej głupoty, a jako jeden ze znaków porozumiewawczych w kierunku Sowietów, otwierający perspektywę na ciche uznanie jej sfery wpływów. Wrażenia tego nie zatarło późniejsze przywrócenie prezydentowi Stanów swobody decyzji w tej sprawie. Nie może go zatrzeć również inny ustęp cytowanego już artykułu Lippmanna, zresztą mimochodem tylko skierowany pod adresem narodów Europy Środkowo-Wschodniej. Komentator polityki Departamentu Stanu twierdzi, że interesy niemieckie są sprzeczne z polityką de Gaulle'a,

„związane są natomiast z interesami Wspólnoty Atlantyckiej i z wielkim zespołem europejskim, dostatecznie otwartym, aby stworzyć ośrodek atrakcyjności dla narodów spoza żelaznej kurtyny”.

Nie wypada, aby Polak wypowiadał się w imieniu wszystkich narodów zainteresowanych, mogą natomiast zapewnić pana Lipp-

man, że Polacy zaliczą jego frazes do znanego im od wielu lat gatunku drętwej mowy. Zachód, włącznie z Ameryką, może przede wszystkim z Ameryką, nigdy nie utracić wśród Polaków atrakcyjności, ale jakie to ma znaczenie praktyczne?

Prezydent Kennedy określił niedawno tworzenie przez Francję nuklearnej siły uderzeniowej, jako akt nieprzyjazny w stosunku do organizacji Sojuszu Atlantyckiego. Ten odruch niezadowolenia nie może już dzisiaj zmienić nieuniknionego biegu wydarzeń. Dowodzi on, że amerykańska myśl polityczna nie wysnuła wszystkich wniosków z dokonanego w ciągu ostatnich dziesięciu lat odrodzenia Europy, które sprawia, że na kierowanie starą ziemią w sposób autorytatywny jest już za późno. Zdumiewa jednocześnie brak właściwej oceny de Gaulle'a i to pomimo istnienia tak znakomitego przewodnika w tej sprawie, jak jego trzy tomy wspomnień wojennych.

W ciągu ostatnich dziesięciu, czy dwunastu lat zaszły przemiany, które nie mogły pozostać bez wpływu na stosunki pomiędzy amerykańskim protektorem i europejskimi protegowanymi. W pierwszym okresie dzięki planowi Marshalla, w drugim — dzięki utworzeniu Wspólnoty Węgla i Stali, w trzecim — na skutek zorganizowania Wspólnego Rynku, Europa sześciorobudowała się ze zniszczeń wojennych, zahamowała inflację i przekształciła się w najzdrowszy finansowo i przemysłowo organizm gospodarczy świata, zajmujący w cyfrach absolutnych produkcji drugie miejsce po Stanach Zjednoczonych, ale przewyższający dawnego protektora przeszło dwukrotnie w rytmie ekspansji przemysłowej i dorównujący słabnącemu powoli w tym zakresie tempu rozwoju produkcji Związku Sowieckiego. Rozwój Europy przewyższył tak dalece wszelkie oczekiwania, że z kolei Ameryka weszła na drogę poszukiwania koncepcji szerszej, atlantyckiej, prowadzącej do rozwodnienia koncentracji europejskiej w takich ramach, w których przywrócenie dominującej roli Stanów Zjednoczonych stałoby się nieuniknione. Wspomniany już głośny artykuł Lippmanna dowodzi, że rachuby polityki amerykańskiej opierają się na W. Brytanii i na Niemieckiej Republice Federalnej. Rokowania brukselskie w sprawie przystąpienia W. Brytanii do Wspólnego Rynku potwierdziły jednak, że jak dotychczas, spoistość sześciorobu wytrzymuje skutecznie nacisk żądania specjalnych przywilejów dla białych członków Wspólnoty Brytyjskiej na angielskim, a zatem wspólnym rynku rolnym. Zdaje się, że istnieją tylko dwie ewentualności. Albo W. Brytania uzna bezwzględne podporządkowanie się traktatowi rzymskiemu, choćby z przejściowymi odchyleniami ulgowymi, za niemożliwe i do Wspólnoty Europejskiej nie przystąpi, a wtedy nie będzie mogła odegrać roli rozkładowej, albo też W. Brytania zdecyduje się szczerze na najdonioślejszą w swych dziejach rewolucję, tj. na wyrzeczenie się złudzeń imperialnych i na wybranie związku z Europą na zasadach traktatu rzymskiego, a wtedy prawdopodobnie nie będzie już chciała ani mogła odegrać roli rozkładowej. Na długą metę powinny zaważyć interesy gos-

podarcze, a te przemawiają na korzyść koncepcji europejskiej. Na jej korzyść przemawia także gaullistowska idea politycznego zjednoczenia Europy państw, jedynie dopuszczalna z angielskiego punktu widzenia, wykluczającego integrację organiczną w ramach federacji.

Niewątpliwie pod wrażeniem pojednania francusko-niemieckiego, Walter Lippmann stara się przekonać Niemców o niezgodności pomiędzy ich interesami, a celami polityki francuskiej. Wychodząc z założenia, że nie uda się nakłonić de Gaulle'a do wyrzeczenia się jego planów ani prośbą, ani groźbą, inspirowany niewątpliwie publicysta stwierdza, że zadecydują o wszystkim inicjatywy niemieckie.

„Jeżeli Niemcy wycofają się do Europy gaullistowskiej, będą mogły prawdopodobnie, ale tylko prawdopodobnie, uczynić z niej, wielkim kosztem i z wielkim ryzykiem, przedsięwzięcie prosperujące. Czyniąc to, zadadzą jednak straszliwy cios Wspólnocie Atlantycznej i Sojuszowi Atlantycznemu, który zapewnia ich obronę. Jeżeli jednak zwrócą się na zewnątrz, nalegając na zaoferowanie Anglii i Commonwealth warunków do przyjęcia — Europa gaullistowska stanie się pustą mrzonką”.

Zdaje się, że na tak postawioną alternatywę jest już za późno, bo polityka de Gaulle'a otwiera przed Niemcami i nie tylko przed Niemcami inną perspektywę, o wiele bardziej interesującą, choć niewątpliwie nie pozbawioną ryzyka. Przejdziemy do niej. Tymczasem jednak wypada zanotować, dlaczego, w ujęciu Lippmanna, polityka amerykańska przywiązuje tak wielką wagę do przekształcenia Wspólnoty Europejskiej na Atlantyką.

„Stany Zjednoczone potrzebują tej wielkiej strefy wymiany, żeby rozwinąć swój handel i zdobyć w ten sposób pieniądze, konieczne dla dotrzymania ich zobowiązań wojskowych i cywilnych zagranicą. Jest pewne, że jeżeli Paryż i Bonn spowodują upadek wielkiego projektu, skutkiem tego niepowodzenia będzie ograniczenie naszych zamorskich zobowiązań finansowych”.

Powyższe twierdzenie nie jest bynajmniej zawołaną pogroźką, lecz przeciwnie, wyrazem istotnych trudności finansowych skarbu amerykańskiego i echem niepowodzenia rokowań w sprawie przejścia przez europejskich członków sojuszu atlantyckiego części wydatków wojskowych według recepty amerykańskiej, to znaczy w drodze zakupu amerykańskiego sprzętu i uzbrojenia, oraz zapewnienia kosztów utrzymania dywizji amerykańskich w Europie. Projekt de Gaulle'a bierze pod uwagę ewentualność stopniowego wycofania w przyszłości amerykańskich załóg wojskowych. Inni sojusznicy, z Niemcami włącznie, nie dopuszczają jeszcze podobnej możliwości, ale to może być kwestią czasu i postępów przyszłej, Europejskiej Wspólnoty Politycznej w dziedzinie zbrojeń.

Tak jak Ameryka i, prawdopodobnie, Rosja Sowiecka, Francja dzisiejsza przystąpiła do zbrojeń nuklearnych w nadziei, że nie będzie potrzebowała ich użyć. Nie ma w tym założeniu żad-

nej sprzeczności z kategoryczną decyzją de Gaulle'a odwołania się do tego środka obrony w razie najazdu sowieckiego. Przeciwnicy „siły uderzeniowej”, zarówno swoi jak obcy, twierdzą że mimo olbrzymich wysiłków finansowych Francja będzie zawsze liliptem nuklearnym w porównaniu z dwoma Goliatami. Oczywiście, de Gaulle nie ma żadnego zamiaru wyruszyć na podbój Rosji. Program francuski przewiduje wyposażenie w pierwszym okresie, koło roku 1965, 50 bombowców typu „Mirage IV”, o zasięgu działania wydłużonym, dzięki uzupełnianiu paliwa w powietrzu przy pomocy samolotów-cystern, zakupionych niedawno w Ameryce. Dzięki zastosowaniu niskiego pułapu lotu, na wysokości 150 do 300 metrów oraz wielkiej szybkości, eskadry francuskie zdobędą możliwość doniesienia co najmniej części ładunku na wyznaczone im cele. W drugim okresie, koło roku 1970, Francja posiadać będzie 3 łodzie podwodne o napędzie nuklearnym, co zapewni jej autonomię działania i możliwość wystrzelenia 48 pocisków typu „Polaris”. Zdaniem specjalistów amerykańskich siła taka nie może odegrać roli odstraszałającej, gdyż będzie zdolna do zabicia „zaledwie” 20 milionów ludzi i to przy zastosowaniu taktyki terroru, polegającej na bombardowaniu wielkich skupień ludności. Rosja może taką stratę przeżyć, jak przeżyła podobny upływ krwi w ostatniej wojnie światowej. Rozumowanie to grzeszy niedocenianiem czynników psychologicznych. W roku 1941 Rosja była napadnięta, a obrona usprawiedliwia wszelkie poświęcenia. Rosja dzisiejsza nie mogłaby sobie pozwolić na wojnę zdobyczą kosztem choćby „tylko” 20 milionów zabitych. Zbyt wysoka to cena, połączona z perspektywą wywołania amerykańskiej lawiny represyjnej. Zdaje się zresztą, że wszystkie zainteresowane strony posiadają pełną świadomość tego o co chodzi. Ze strony francuskiej sprawę postawił jasno szef rządu w czasie debaty parlamentarnej.

„Nasza siła będzie zawsze tylko słabym uzupełnieniem siły amerykańskiej. Ale przez swoją obecność i dzięki temu, że będzie kontrolowana przez kraj, wystawiony na pierwsze niebezpieczeństwo, będzie mogła odegrać rolę odstraszałającą, nie pozostawiając przeciwnikowi żadnej wątpliwości co do skutków jego agresji, nawet ograniczonej”.

Jak widzimy, rola odstraszałająca francuskiej siły uderzeniowej wynika z jej możliwości uruchomienia amerykańskiej represji nuklearnej. Co więcej, z chwilą, gdy francuska siła uderzeniowa powstanie, Ameryka straci zdolność uchylecia się od takiej ewentualności. Walter Lippmann zrozumiał to znakomicie, pisząc:

„...jeżeli Francja będzie w stanie zadać pierwszy cios w wojnie atomowej i zmusić Stany Zjednoczone do przyłączenia się do niej, decyzja o wywołaniu konfliktu przestanie należeć do Waszyngtonu. Inicjatywa strategii nuklearnej przypadnie Europie kontynentalnej”.

Prawidłowość tego rozumowania nie wymaga uzupełnień. Nasuwa się tylko potrzeba małej poprawki formalnej. Nie

chodzi, oczywiście, o wywołanie konfliktu przez Waszyngton lub Paryż, lecz o reakcję amerykańską na ewentualny najazd sowiecki. Tworząc atomową siłę uderzeniową, de Gaulle podnosi Francję do rangi pełnoprawnego partnera Stanów Zjednoczonych i zapewnia jej udział w decyzjach, bez względu na to, czy to się Departamentowi Stanu i Departamentowi Obrony podoba, czy nie. Ameryka traci swobodę decyzji w ramach Sojuszu Atlantyckiego. Taki jest jednak serwitut każdego, prawdziwego sojuszu.

Strategia de Gaulle'a tłumaczy jego politykę europejską. Integracja w ramach federacyjnych, może pociągająca jako cel bardzo odległy, prowadziłaby, w razie szybkiej realizacji, do zaniku osobowości europejskiej na korzyść przywództwa amerykańskiego. Gdyby nie zwolnienie rytmu amerykańskiej ekspansji przemysłowej, gdyby nie trudności finansowe, Stany Zjednoczone prawdopodobnie powstrzymałyby się od tak szybkiego wysunięcia postulatu przekształcenia Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej na Atlantycką. W obecnej sytuacji Europa zintegrowana może być tylko amerykańska. Gaullistowska idea zjednoczenia politycznego państw ma na celu stworzenie Europy europejskiej. Federacja wymaga ponadpaństwowych organów rządzących, federaliści żądają desygnacji tych organów przez parlament europejski, mający pochodzić z wyborów bezpośrednich i powszechnych, opartych, w istniejącym układzie stosunków, o system partyjny. Łatwo przewidzieć, co by z tego wynikło. W parlamencie europejskim, pochodzącym z wyborów powszechnych, znalazłyby się co najmniej trzy partie niemieckie, tyleż belgijskich i holenderskich, cztery włoskie, wprowadzające z sobą komunistów. A Francuzi? O, ci weszliby z całym regimenterem ugrupowań, wśród których co najmniej pełny batalion komunistów, a ideą przewodnią znacznej części, o ile nie większości, byłoby poszukiwanie odwetu na de Gaulle'u. Niemoc parlamentu IV Republiki stałaby się udziałem parlamentu europejskiego. Trudno wyobrazić sobie de Gaulle'a, przystępującego do takiej zabawy.

Ale zamiar de Gaulle'a stworzenia siły uderzeniowej pod osłoną sojuszu atlantyckiego nie jest, bynajmniej, celem ostatecznym, a tylko dążeniem do uzyskania narzędzia jego polityki europejskiej. Jednym z głównych celów jego idei zjednoczenia politycznego jest uzbrojenie Europy po zęby, aby jej zapewnić swobodę manewru w operacji mającej prowadzić do rozwiązania problemów europejskich nie przez usztywnienie żelaznej kurtyny, lecz przez jej zniesienie. Amerykanie zrozumieli tę myśl przewodnią. Świadczy o tym ujęcie zamiarów de Gaulle'a w redakcji Lippmanna:

„Prawdziwa Europa powinna być kierowana przez Francuzów i Niemców, a nie przez Anglosasów. Powinna ona być dostatecznie potężna, aby móc porozumieć się ze Związkiem Sowieckim i stworzyć w ten sposób Europę, rozciągającą się od Atlantyku do Uralu”.

Do tej pory jedyną perspektywą, wynikającą ze zrównoważenia się potęg nuklearnych amerykańskiej i rosyjskiej, była możliwość kompromisu pomiędzy dwoma Goliatami, prowadząca do usunięcia niebezpieczeństwa wojny przez lepsze rozgraniczenie sfer wpływów, a więc do usztywnienia żelaznej kurtyny i poświęcenia interesów Europy, jako całości. Przejrzystą intencją polityki amerykańskiej było oczekiwanie w tej pozycji, na ewolucję wewnątrz Związku Sowieckiego i na wzrost ewentualnego zagrożenia chińskiego, z rachubą, że oba te czynniki zmuszą kiedyś Rosję do prawdziwego porozumienia z Zachodem i do wyrzeczenia się ekspansji politycznej, przede wszystkim terytorialnej. Odręczeniu politycznemu towarzyszyłoby ewentualnie dwustronne wyrzeczenie się doświadczeń z bombą nuklearną, skoro rozwiązanie skazane jest na rolę rekwizytu propagandowego wobec wzajemnej nieufności dwóch głównych partnerów. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak długo mogłaby trwać podobna sytuacja. Nie było jednak alternatywy. Stworzył ją dopiero de Gaulle i to na miarę potrzeb Europy — całej Europy. Mówiąc o Europie w granicach na Uralu, ma on na myśli, oczywiście, porozumienie się z Rosją, ale nie na wzór amerykański, przez odłożenie w nie wiadomą przyszłość załatwienia spornych problemów, lecz przez próbę rozwiązania ich w ramach szerokiej koncepcji europejskiej. Prawdopodobnie u podstaw jego rozumowania leży przekonanie, że rozwiązanie problemów europejskich jest niemożliwe, dopóki granica amerykańsko-sowiecka przebiega w poprzek Europy, wzdłuż żelaznej kurtyny, a przestaje być utopią, gdy Rosja znajdzie przed sobą, w roli partnera, zjednoczoną politycznie i zdolną do obrony Europę.

De Gaulle przygotowuje swe posunięcia polityczne starannie, pracowicie i w tajemnicy, ujawniając je dopiero wtedy, gdy uważa, że zebrał wszystkie narzędzia skutecznego działania. Chociaż mówi się o nim, nie bez słuszności, że rozmawia z historią, wolno się spodziewać, że jak każdy twórca, pragnie oglądać swe dzieło, zanim zejdzie ze sceny publicznej, a przynajmniej upewnić się, że będzie ono realizowane nawet po jego odejściu. Oczekiwać więc należy raczej szybkiego rozwoju wydarzeń. Wystarczy chwila skupienia, aby spostrzec jak dalece rytm życia międzynarodowego został przyspieszony od chwili podpisania układów w Evian, które, w przekonaniu de Gaulle'a, uwolniły Francję od koszmaru algierskiego i przywróciły jej swobodę działania w dziedzinie polityki międzynarodowej.

Nie zamierzam odgadywać warunków ewentualnej negocjacji europejsko-sowieckiej, prowadzonej przez Francję. Ponieważ de Gaulle myśli w polityce kryteriami historycznymi, a jego działania zakrojone są z reguły na wielką skalę, można się spodziewać, że wystąpi nie z projektem małego kompromisu polegającego na „wzajemnych ustępstwach”, lecz zastosuje metodę wyjścia z błędnego koła przez ruch naprzód, przez wysunięcie koncepcji na miarę swego kalibru. Nie zdziwiłbym się, gdybym się dowiedział, że treść monologu, wygłoszonego na wstępie nego-

cji przez prezydenta Francji, była, w uproszczeniu, następująca:

„Moi panowie, czas zaprzestać zabawy z ogniem, jeżeli chcecie uniknąć pożaru. W porozumieniu i za zgodą naszego amerykańskiego sojusznika proponuję jednoczesne rozwiązanie sojuszu atlantyckiego i paktu warszawskiego. Wojska rosyjskie opuszczają kraje, zajęte w wyniku drugiej wojny światowej, w pierwszym rzędzie kraje, graniczące z Europejską Wspólnotą, a więc: Niemcy Wschodnie, Polskę, Czechosłowację i Węgry. Jednocześnie wojska amerykańskie wyjdą z Europy i zlikwidują swe bazy lotnictwa strategicznego. Państwa paktu warszawskiego, opuszczone przez wojska sowieckie, odzyskają pełnię praw suwerennych. Europejska Wspólnota Gospodarcza zgłasza gotowość współpracy z państwami byłego paktu warszawskiego z zadaniem ułatwienia i przyśpieszenia ich harmonijnego rozwoju gospodarczego, oraz stworzenia warunków dla szerszej niż dotychczas wymiany handlowej. W razie odrzucenia proponowanego rozwiązania nie pozostanie nam nic innego, jak zacieśnienie naszych związków ze Stanami Zjednoczonymi w ramach wzmocnionego dzięki naszym zbrojeniom nuklearnym Sojuszu Atlantyckiego”.

Jeszcze raz podkreślam, że nie chodzi mi o odgadywanie zamiarów de Gaulle'a, lecz o opracowanie polskiej wkładki do projektu negocjacji francusko-sowieckiej w wypadku, gdyby do niej doszło. Skoro nie możemy a chyba i nie chcemy takiej negocjacji zapobiec, gdyby została zdecydowana, powinniśmy uczynić wszystko aby wprowadzić do niej obronę interesów polskich, tych przynajmniej które są zgodne z obecnymi interesami Francji i Europy. Nie jest tajemnicą, że de Gaulle pragnie widzieć w Polsce, nawet w Polsce dzisiejszej, pomost pomiędzy Europą Zachodnią i Związkiem Sowieckim.

Narzuca się pytanie i postawili je ci spośród federalistów francuskich, którzy nie sprzeciwiają się zasadzie francuskich zbrojeń atomowych, dlaczego de Gaulle, dążąc do przeciwstawienia Rosji jako partnera zjednoczonej Europy, nie tworzy siły uderzeniowej europejskiej, lecz francuską. W sposób zawaolowany, ale dostatecznie przejrzysty odpowiedział na to pytanie premier francuski podczas wspomnianej już debaty parlamentarnej.

„...nie możemy nie brać pod uwagę sytuacji szczególnych i zobowiązań powziętych. Musimy być bardzo ostrożni, naszym celem bowiem nie jest przygotowanie wojny, lecz uniemożliwienie jej”.

Polskiemu publicyście będzie łatwiej niż francuskiemu premierowi, stwierdzić, że wygłaszając powyższe zdanie, p. Pompidou miał na myśli Niemcy. One są bowiem centralnym węzłem problemu europejskiego i o nie w pierwszym rzędzie toczy się walka. Powołanie się na powzięte zobowiązania nawiązuje do traktatu londyńskiego, który zabrania Niemcom fabrykowania broni ato-

mowych, bakteriologicznych i chemicznych. Ale to jest tylko szczegół formalny. W istocie chodzi o realizację francuskiej, a nie innej koncepcji Zjednoczenia Europy. Posiadanie atomowej siły uderzeniowej prowadzi w przekonaniu de Gaulle'a do zapewnienia Francji roli promotora zjednoczonej Europy, podobnie, jak potęga nuklearna Stanów Zjednoczonych zapewnia im przewodnictwo Sojuszu Atlantyckiego. Uzbrojenie nuklearne Europy, zwłaszcza gdyby się dokonało w układzie federacyjnym, mogłoby spotęgować w Niemczech dążenia rewizjonistyczne i wywołać pokusę poparcia ich siłą. Francja posiada pewność panowania nad sytuacją, dopóki władzę w Niemczech sprawuje kanclerz Adenauer. Na wypadek zmian mogących zajść po jego odejściu woli posiadać wyłączność atutu, zapewniającego kierownictwo. Chodzi o wielką stawkę, która zmusza Francję do prowadzenia gry w sposób jak najbardziej ostrożny. Pojednanie z Niemcami należy do głównych osiągnięć polityki gaullistowskiej i samo w sobie nie wzbudza zastrzeżeń. Ale Francja nie pozwoli pociągnąć się dalej niż zamierza, a na pewno nie zamierza poprzeć niemieckich dążeń rewizjonistycznych. Z drugiej strony, w ocenie polityki francuskiej impas polityczny, wynikający z faktycznej równowagi sowiecko-amerykańskiej na obszarze europejskim, może wywołać pokusę bezpośredniego porozumienia się Niemiec z Sowietami, co oznaczałoby koniec nie tylko Wspólnego Rynku i Wspólnoty Politycznej, ale także Sojuszu Atlantyckiego. Chodzi o dostarczenie Niemcom alternatywy, której nie stwarza ani obecny układ atlantycki, ani perspektywa na kompromis amerykańsko-sowiecki. Niech mi będzie wolno posłużyć się świetnym sformułowaniem Juliusza Mieroszewskiego:

„Przepełnione Niemcy w przepełnionej Europie, zjednoczone Niemcy w zjednoczonej Europie. Zjednoczone Niemcy w przepełnionej Europie oznaczałyby koniec obecnego okresu pomyślności i stabilizacji”, („Kultura”, nr 1/171).

Nie wiadomo, czy opuszczenie Ulbrichta przez Rosję spowoduje bezwzględne zjednoczenie Niemiec, ale, w pojęciach większości Niemców stworzy możliwość zjednoczenia i spowoduje w ten sposób rozładowanie narastającego obecnie napięcia. Rzecz jasna, że wstępnym warunkiem otwarcia tej perspektywy musiałoby być wyrzeczenie się terytorialnych roszczeń rewizjonistycznych przez uznanie granicy polsko-niemieckiej nad Odrą i Nysą jako ostatecznej.

Francuska koncepcja Europy Zjednoczonej, wyposażonej w broń atomową, a więc zdolnej do prowadzenia samodzielnej polityki, stwarza alternatywę także dla Sowietów. Obecnie jeszcze, po drugiej stronie żelaznej kurtyny sąsiadują one bezpośrednio z Ameryką, z jej dywizjami i z podlegającymi amerykańskiemu naczelnemu dowództwu dywizjami Bundeswehry. Wolno zakładać, że ten układ determinuje w wysokim stopniu charakter

polityki sowieckiej. Ale jutro, zamiast amerykańskiej, Sowiety mogą znaleźć się twarzą w twarz z Europą europejską pod przewodnictwem Francji, z którą na całej przestrzeni historii Rosja nie miała poważniejszych zatargów i może nie mieć ich nadal, pod warunkiem wyrzeczenia się dążeń imperialistycznych w Europie i na interesującym Francję obszarze Afryki. Obok Francji znajdują Włochy, z którymi również nie mają spraw spornych, a mają pomyślnie rozwijającą się wymianę handlową. Jedynym problemem są Niemcy. Groźne, jako straż przednia Sojuszu Atlantyckiego, kłopotliwe z uwagi na ciężar gatunkowy, nawet w razie wyboru neutralności za cenę zjednoczenia, przedstawiają chyba najmniejsze niebezpieczeństwo, jako przywódcy, wspólnie z Francją, czynnik Europejskiej Wspólnoty Politycznej, zwłaszcza po porzuceniu przez Rosję Ulbrichta. Konieczność wyjścia z państw satelickich i przywrócenia im niepodległości politycznej? Kto wie, czy nie najlepszy to sposób godnego wycofania się z interesu, który się nie udał, bo komunizm przegrał we wszystkich krajach, należących w przeszłości do cywilizacji zachodniej, przegrał w Niemczech Wschodnich, w Polsce, na Węgrzech, nawet w Czechosłowacji, mimo właściwej temu narodowi metody potulnego przystosowania się do rzeczywistości w okresach trudności. Wyjście Polski z orbity sowieckiej może przynieść nawet pewne korzyści, gdyż jej ewentualne zbliżenie z Europą wzmocniłoby w łonie Wspólnoty przewagę czynników, przeciwnych hegemonii niemieckiej. Za cenę powyższych wyrzeczeń, prawdopodobnie z czasem i tak nieuniknionych, uzyskiwałaby Rosja odprężenie na europejskim froncie swej rywalizacji z Ameryką i rozwiązanie Sojuszu Atlantyckiego, przedstawiając to osiągnięcie rosyjskiej opinii publicznej, jako zwycięstwo własnej polityki. A gdzie komunizm i rewolucja? — zapytają doktrynerzy i zwolennicy usztywnionych na zawsze pozycji. Odpowiadam cytata z Mieroszewskiego, gdyż nie potrafię lepiej sformułować własnej opinii:

„Był czas, że Związek Sowiecki był rewolucyjnym, żołnierskim obozem. Nie było mocarstwa, była tylko rewolucja. Ale dziś Związek Sowiecki jest wysoko uprzemysłowionym mocarstwem i ma nie tylko wiele do zyskania, lecz również niezmiernie wiele do stracenia. Logika interesów mocarstwowych zaczyna dominować w polityce sowieckiej”.

Nie znaczy to, by należało lekceważyć komunizm jako narzędzie imperializmu państwa sowieckiego, a nawet jako doktrynę rewolucyjną, która w pewnych warunkach, na obszarach, gospodarczo niedorozwiniętych, może znaleźć teren podatny, jak tego dowodzi przykład Chin i Kuby.

Po stronie sowieckiej zagadnienie sprowadza się do ujawnienia właściwych dążeń politycznych, na Zachodzie raczej nieznanych. Jeżeli istotnie Rosja dąży do rozładowania napięcia, które ją zmusza do potwornych wyrzeczeń i do poświęcenia wyższej niż gdziekolwiek na świecie części dochodu narodowego na zbrojenia, zwłaszcza nuklearne, jeżeli Chruszczow zdecydowa-

ny jest podnieść stopę życia ludności i wysnuć wszystkie wnioski gospodarcze z takiego założenia, jeżeli polityka sowiecka uważa za kłopotliwe dla przyszłości mocarstwowej Rosji narastanie potęgi Chin, oraz ich usamodzielnianie się polityczne przez wejście na drogę zbrojeń atomowych, wówczas alternatywa europejska może ją zainteresować. W przeciwnym wypadku, jeżeli Rosja nie zamierza wyrzec się ekspansji terytorialnej, jeżeli traktuje swoje zdobycze europejskie jako podstawy wyjściowe do dalszego pochodu na Zachód, a groźbę użycia broni nuklearnej jako narzędzie nacisku politycznego, wówczas odrzuci alternatywę europejską i pozostanie przy amerykańskiej, a więc w impasie, w napięciu i bez możliwości rozwiązania żadnego z poważnych zagadnień. Stawka jest pasjonująca a warta zagrania.

Ameryka stanęła wobec alternatywy europejskiej już we wrześniu 1958, na skutek znanej inicjatywy de Gaulle'a. Było to u schyłku kadencji Eisenhowera, niezdolnego do powzięcia decyzji w tak ważnej sprawie. Wyboru dokonała dopiero administracja Kennedy'ego i wszystko wskazuje, że dokonała go źle. Racjonalizm typu anglosaskiego, cechujący intelektualistów otaczających Prezydenta Stanów Zjednoczonych, umie oceniać tylko wartości materialne i przewidywać tylko na podstawie cyfr. Staje bezradny wobec idei filozoficznych i zapładnianych przez nie koncepcji politycznych, oraz przemian psychologicznych, czerpiących ze źródła wielowiecznej historii. Nie przewidział, że w miarę nabierania sił żywotnych Europa upomni się o wpływ na politykę międzynarodową i zechce decydować sama o swoim losie. Nie przewidział olbrzymiego kapitału energii, mogącej emanować z woli człowieka, wierzącego w swoją misję. Odruchem gniewu nie można zdmuchnąć faktu, a francuska siła uderzeniowa jest już w toku powstawania i staje się faktem nieodwracalnym bez względu na opinię biur Departamentu Stanu, lub Obrony. Co więcej, odmawiając Francji pomocy technicznej i opierając się na gigantycznych cyfrach własnego wysiłku nuklearnego, poddano się w Waszyngtonie złudzeniu, że kraj o skali europejskiej załamał się finansowo przy pierwszej próbie realizacji tak śmiałego zamiaru. Ale Francja dokonała wysiłku inteligentnego, nadając swemu przedsięwzięciu rozmiary proporcjonalne do zadań, jakie mu postawiła. Celem koncepcji francuskiej jest, w pierwszej fazie, zbudować pod osłoną Sojuszu Atlantyckiego zapalnik do amerykańskiej potęgi nuklearnej i uzyskać w ten sposób wpływ na decyzje zasadnicze na szczeblu najwyższym. Celem drugiej fazy będzie stworzenie alternatywy europejskiej. Potencjalnie alternatywa europejska jest już otwarta. Swoim negatywnym stosunkiem do inicjatywy francuskiej Stany Zjednoczone straciły kilka lat bezcennego czasu, ale rozpoczętego dzieła nie zatrzymały. Ich ostatnią nadzieją jest w tej chwili wiek de Gaulle'a i Adenauera. Lippmann nazywa ich monarchami bez następców, z czego ma wynikać, że ich polityka może się skończyć z chwilą ich odejścia od władzy. Lękam się, że ta spekulacja grzeszy nadmiarem racjonalizmu i do-

starczy politykom amerykańskim jeszcze jednego rozczarowania. Idee żyją dłużej, niż ludzie. Liczenie na opozycję francuską wynika z nieznamości stosunków francuskich. Poza partią komunistyczną, w opozycji do de Gaulle'a jest tylko, poważna zresztą, część kadr politycznych, wojskowych, administracyjnych i sądowych, czyli tzw. *corps constitués*, a wiadomo, że na całym świecie wszystkie ciała ukonstytuowane są w opozycji wobec przemian rewolucyjnych, a takich to przemian dokonywa de Gaulle unowocześniając Francję. Decydujące są dwa czynniki: jego wola i poparcie, jakie znajduje wśród mas. Nie ma powodu, aby to poparcie utracił, jeżeli utrzyma się dotychczasowa, pomyślna koniunktura gospodarcza, a nic nie wskazuje na bliskość kryzysu w tej dziedzinie. Obserwatorzy amerykańscy nie zdają sobie sprawy z tego, że opozycja przeciwko tworzeniu siły uderzeniowej na terenie parlamentarnym wynika raczej z negatywnego stosunku pewnej ilości partii politycznych do sposobu rządzenia de Gaulle'a, niż do istoty zagadnienia. To nie de Gaulle wprowadził Francję na drogę produkcji atomowej, lecz IV Republika. Prawie połowa liczego tłumu premierów i ministrów tej epoki zdobyła prawo do wieńca laurowego z tego tytułu. Polityka de Gaulle'a zwaloryzowała ich dzieło i ich zasługi. Nikt nie wyrzeka się chwil chlubnych ze swej przeszłości. Gdyby de Gaulle odszedł, dzieło jego znajdzie kontynuatorów i to nawet wśród ludzi, którzy go dziś zwalczają. Podejmą oni dzieło, od którego są dziś odsunięci, na pewno z uwagi na interes Francji, ale także dlatego żeby dochować wierności samym sobie i żeby nie dopuścić do przejęcia zdrowej idei przez osłabione, ale jeszcze działające czynniki awanturnicze.

Właściwie można by zaryzykować paradoksalną na pozór tezę, że na skutek inicjatywy francuskiej Ameryka — najpotężniejsze mocarstwo przemysłowe i nuklearne świata — traci możliwość wyboru, choć sobie tego jeszcze nie uświadamia. Może grozić wycofaniem się z Europy, ale tego nie uczyni, dopóki w Europie nie powstanie ekwiwalent dywizji amerykańskich. Izolacjonizm byłby aktem samobójczym, potencjalną kapitulacją wobec Sowietów, na długi (choć nie bardzo długi) termin — końcem mocarstwowej pozycji. Porozumienie z Sowietami? O ile możliwe są małe, lokalne kompromisy i jedno, wielkie porozumienie, by manewrować tak, aby uniknąć wojny nuklearnej — to nie może być pomiędzy Ameryką i Sowietami porozumienia, które rozwiązywałoby wiszące zagadnienia. Dziesięć lat temu możliwe było porozumienie się na podstawie podziału świata na dwie strefy wpływów, ale Ameryka i Sowiety przeoczyły tę okazję, na skutek błędu, jaki popełnił Stalin, wywołując wojnę koreańską. Obecnie jest na to za późno. Europa nabrała zbyt wiele sił, żeby się nie dać zapędzić do żadnej ze sfer wpływów, a przyjdzie czas, że Chiny postawią dzisiejsze dwa kolosy wobec podobnej alternatywy, jaką dziś stwarza Europa. Biorąc pod uwagę istnienie neutralnych państw azjatyckich i afrykańskich, można uznać, że całość odbywających się obecnie proce-

sów antyhegemonistycznych przyjęła rozmiary, zabezpieczające świat przed podziałem na dwie strefy wpływów, które, gdyby doszły do skutku, nie miałyby już innej perspektywy przed sobą jak zderzenie.

Nie mieszkam w Waszyngtonie, nie mam amerykańskiej perspektywy w spojrzeniu na rolę Europy w polityce amerykańskiej, ale sądzę, że perspektywa paryska nie jest najgorsza. Z tej perspektywy wydaje się normalne, że główną troską polityki amerykańskiej jest zapewnienie bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych przez niedopuszczenie do opanowania przez Rosję europejskiego potencjału przemysłowego i technicznego, bo, gdyby do tego doszło, Ameryka przestałaby być mocarstwem i znalazłaby się na drodze do upadku. To rozumowanie było podstawą zawarcia Sojuszu Atlantyckiego. Nikt nie kwestionuje słuszności wysiłku finansowego jaki Ameryka włożyła w Europę i skuteczności presji jaką wywarła, domagając się stworzenia w Europie odpowiedniej siły wojskowej. Czy posiadanie przez Francję broni atomowej osłabia bezpieczeństwo Europy, a więc i Ameryki, czy też je wzmacnia? Zdawałoby się, że odpowiedź może być tylko jedna i pozytywna. Jakie są przyczyny opozycji amerykańskiej wobec projektu francuskiego? Utrata swobody decyzji, konieczność liczenia się z wolą sojusznika, wynikającą z jego sposobu oceny interesów europejskich. Taka jest jednak istota każdego, prawdziwego sojuszu. Bez zobowiązań wzajemnych, zapewniających w równym stopniu interesy partnerów, nie ma sojuszu, jest tylko stosunek lenny słabszych wobec silniejszego. Stało się to szczególnie jasne z chwilą zarysowania się konturów nowej strategii amerykańskiej, wyznaczającej europejskiemu teatrowi działań, na wypadek najazdu sowieckiego, rolę rozpoznania strategicznego przy pomocy broni klasycznych, pozwalającego Stanom Zjednoczonym zdobyć czas dla decyzji w sprawie celowości użycia broni rozstrzygającej. Z perspektywy amerykańskiej nie zauważono, że zadanie wyznaczone Europie wprowadza ją w stan śmiertelnego zagrożenia i w zupełności tłumaczy reakcję de Gaulle'a.

Ponieważ wiadomo, że za kilka lat Francja będzie posiadała klucz do amerykańskiego arsenału nuklearnego i że temu nie można zapobiec, nie ma innego wyjścia, jak uznanie tego faktu i wykorzystanie go. W interesie Ameryki leży nie opóźnianie, lecz przyspieszenie zbrojeń francuskich, gdyż tylko tą drogą można skrócić okres napięcia, pomiędzy Wschodem i Zachodem na skutek potężnienia Europy.

Za trzy lata, gdy pierwsza faza programu francuskiego będzie zakończona, a wcześniej, jeżeli Ameryka z tym faktem się pogodzi, będą spełnione warunki dla przeprowadzenia wymaganowej wyżej rozmowy „na szczycie”. Gdyby miało do niej dojść, poglądy pomiędzy Ameryką i Francją powinny być przedtem uzgodnione, aby uniknąć wrażeń rozłamu wśród sojuszników zachodnich. Zależy to bardziej od Ameryki, niż od Francji.

Jakie byłyby, z punktu widzenia interesów amerykańskich,

następstwa ewentualnego wyboru alternatywy europejskiej przez Rosję i przez Zachód?

Z punktu widzenia amerykańskiego jest ważne, aby Europa była zdecydowana bronić swej niepodległości. Gdyby Europie zabrakło woli obrony przed najazdem sowieckim, obecność kilku dywizji amerykańskich nie utrzymałaby jej w rydwanie Stanów Zjednoczonych. Zasadnicze elementy, które leżały u podstaw Sojuszu Atlantycznego, nie uległyby więc zmianie w razie rozwiązania sojuszu, pod warunkiem uprzedniego uzbrojenia Europy. Prawdziwy kłopot miałyby tylko Pentagon, gdyż stanąłby przed koniecznością opracowania nowych planów, opartych na hipotezie interwencji, nie przygotowanej przez uprzednią współpracę sztabów nieistniejącego już sojuszu. Sądzę, że Ameryka uporałaby się jakoś z tym kłopotem, bądź co bądź nie zasadniczym, znajdując przy tym pociechę w zaoszczędzeniu wielu miliardów dolarów, jakie wydaje na utrzymanie swych dywizji w Europie.

Politycznie przyjęcie alternatywy europejskiej oznaczałoby rozładowanie napięcia na odcinku, na którym bezpieczeństwo Ameryki jest najbardziej zagrożone, bo na odcinku kluczowym. Że Europa, posiadająca środki i wolę obrony rozwiązałaby przy tej okazji swoje problemy, które dla niej są problemami zasadniczymi, gdy Ameryka traktowała je zawsze, jako drugorzędne, np. sprawa statusu państw Europy środkowo-wschodniej, tym lepiej. Oznaczałoby to pozbycie się wyrzutu sumienia za głupstwa polityki rooseveltowskiej. Europa „do Uralu”, to znaczy ośrodek zachodnio-europejski, współpracujący gospodarczo ze Wschodem i z Zachodem, politycznie uwolniony od najważniejszych spraw spornych, mógłby wówczas ułatwić przejście do fazy następnej: rozładowania napięcia na skalę światową i stworzenia w ten sposób warunków dla zapoczątkowania na serio prac rozbrojeniowych. Jestem pewny, że genewska komisja rozbrojeniowa wypełni sobie ten okres wyczekiwania nieszkodliwymi polemikami, gdyż osiągnęła w tej dziedzinie godną podziwu wprawę.

Rozpocząłem ten artykuł, wychodząc z polskiego podwórka. Niech mi wolno będzie na nie powrócić, zanim zakończę.

Główną siłą „Kultury” w zakresie publicystyki politycznej i zarazem przyczyną jej atrakcyjności na emigracji i w kraju jest odwaga poszukiwania nowych rozwiązań. Przeciwnicy publicystyki Juliusza Mieroszewskiego zarzucają mu często brak konsekwencji i zaprzeczanie samemu sobie. W sytuacji polskich publicystów emigracyjnych, skazanych na działanie w próżni, bez oparcia o własne państwo, znaczenie ma tylko wysiłek intelektualny. Nie mając wpływu na wydarzenia, możemy tylko poszukiwać wśród nich furtek i korzyści dla najlepszego, w naszym rozumieniu, rozwiązania sprawy powrotu Polski do niepodległego życia politycznego. Byłoby tragiczne i komiczne zarazem trzymanie się, jak pijany płotu, raz obranej linii, gdy świat jest w pełnym ruchu. Niezmienny jest tylko cel ostateczny, a nie drogi, które do niego prowadzą. Z tymi spośród moich

przyjaciół i znajomych, którzy z dumą mówią o sobie, że pozostali wierni poglądom z roku 1939, rozmawiam najchętniej o pogodzie.

Wszystko w moim rozumieniu wskazuje na to, że w impasie spowodowanym zrównoważeniem się dwóch największych potęg nuklearnych i uniemożliwiającym rozstrzygnięcia spraw spornych przez wojnę, zaczyna powstawać, dzięki inicjatywom polityki francuskiej, alternatywa europejska. Powstaje ona dla wszystkich, ale przede wszystkim dla Polski i innych państw satelickich naszego obszaru, nie mających do tej pory żadnej alternatywy.

Możliwości skutecznego działania politycznego emigracji są bardzo nikłe, ale byłoby przesadą twierdzić, że nie ma ich wcale. Za najmniej skuteczną uważam akcję memoriałową naszych emigracyjnych „ciał ukonstytuowanych”, bo nie wierzę aby ci którzy te elaboraty otrzymują — wiedząc z góry co w nich znajdą — chcieli poświęcać cenny czas na ich czytanie. Nie wydaje mi się również, aby ta akcja była szkodliwa, dlatego wolę nie przywiązywać do niej wiele wagi. O wiele większe ma znaczenie akcja publicystyczna, gdyż, posuwając jak najdalej pesymizm, wiemy, że prasę polską czytają jednak z obowiązku referenci prasowi różnych służb wyspecjalizowanych na całym świecie i czasami może z tego urodzić się jakaś notatka, która zawędruje wyżej, niż memoriał. Jeszcze lepiej, jeżeli publicysta polski posiada możliwość pisania w prasie kraju swego pobytu. Nie bez znaczenia są możliwości tych Polaków, którzy wyrobili sobie stosunki w sferach politycznych, prasowych, gospodarczych, lub naukowych. Pewne możliwości posiadają ci spośród nas, którzy nie chcąc pozostawać na pozycjach uszywnionych działają w ruchach federalistycznych kilku krajów europejskich. Na wszystkich spada dzisiaj konieczność wyboru. O ile wiem, poczynania emigracji politycznej są, jak do tej pory, zorientowane na Amerykę i na polityczną integrację europejską wyposażoną w organy ponad państwowe, a więc jeszcze raz na Amerykę. Co ta koncepcja, jeżeli słowo „koncepcja” ma jakiś sens w tym wypadku, może przynieść Polsce? Tylko perspektywę oczekiwania, oczekiwania tak długo, jak długo trwać będzie równowaga sowiecko-amerykańska i spoiwość wewnętrzna Związku Radzieckiego, a mogą one trwać dłużej, niż życie emigracji.

Istnieją jednak aspekty negatywne tej postawy.

Orientacja amerykańska jak dotąd oznacza solidaryzowanie się z polityką uszywniania żelaznej kurtyny, gdy w interesie Polski leży jej rozluźnienie i zniesienie. Działanie na rzecz szybkiej realizacji organicznego zjednoczenia Europy na zasadach federalnych, z organami ponad państwowymi, pogłębia izolację Polski od Zachodu i gospodarcze uzależnienie jej od Sowietów. Istnienie Wspólnego Rynku nie zaważyło jeszcze zbyt ujemnie na wymianie handlowej Polski z krajami Wspólnoty, ale na dalszą metę, nie może być żadnych wątpliwości, że sytuacja dla niej może być groźna. Polsce grozi wyeliminowanie gospodarcze z

Europy, zwłaszcza w razie przystąpienia do Wspólnoty jej największego, handlowego partnera europejskiego — W. Brytanii. Nie mogąc kupować wyrobów europejskiego przemysłu, Polska musiałaby zwolnić tempo swego rozwoju przemysłowego, bo dóbr które kupuje na Zachodzie Wschód dostarczyć jej nie może. Masochiści emigracyjni, wierni zasadzie: „Im gorzej, tym lepiej”, może zatrą ręce z zadowolenia, że oto reżym ma nowe kłopoty. Zapominają, że chodzi o naród, żyjący obecnie na żebraczym poziomie. Tworzenie ośrodka atrakcyjności na Zachodzie? Kpiny ze zdrowego rozsądku. Polska nie potrzebuje płacić za swą duchową i kulturalną przynależność do zachodu przyglądaniem się przeładowanym wystawom sklepowym Paryża i Londynu. Pokazywanie europejskich frykasów w celu jątrzenia polskiego apetytu nie jest działaniem na rzecz przywrócenia Polsce niepodległości. Polska nie ma czasu na czekanie, jeżeli chcemy żeby nie utraciła zachodnich cech swej osobowości kulturalnej i jeżeli chcemy, żeby do przyszłych rokowań o asocjacje ze Wspólnotą Europejską (1) przystąpiła nie jako kraj niedorozwinięty, lecz zagospodarowany. Polska potrzebuje przede wszystkim wyjścia spod hegemonii sowieckiej, nawet gdybyśmy musieli tylko do tego postulatów ograniczyć życzenia naszego pokolenia. Każda droga prowadząca do tego celu jest dobra.

Jeżeli nawet koncepcja francuska nie pójdzie tak daleko, jakbyśmy pragnęli, to pierwszy jej etap, zdobycie pod osłoną Sojuszu Atlantyckiego dostatecznej siły, aby spróbować wyjść z impasu, zdaje się być zupełnie pewny jako zamierzenie. Miejmy odwagę dorobić dalszy ciąg tego programu, jeżeli on jeszcze nie powstał w umyśle de Gaulle'a, który nam stworzył alternatywę i walczy, każdy na swoim polu działania, o jak najlepsze jej wykorzystanie, bo zdaje się, że po raz pierwszy od układów jałtańskich zarysowuje się możliwość ruszenia także i naszej sprawy z martwego punktu. Między innymi walczy o przekonanie opinii amerykańskiej, że nadchodzące przemiany są również w interesie Stanów Zjednoczonych.

Paryż, 15 lipca 1962

A. KAWAŁKOWSKI

(1) Wspominam o asocjacji, bo nie bardzo widzę możliwość organicznego związku nawet uwolnionej Polski ze Wspólnotą, z uwagi na te zmiany w strukturze gospodarczej Polski, które można uważać za nieodwracalne. Nie mam jeszcze dostatecznie urobionego poglądu na tę sprawę, która na pewno zasługuje na wznowienie dyskusji, przeprowadzonej kilka lat temu na łamach *Kultury*.

Kronika angielska

„MAJCHER”

Stefan Kisielewski w artykule pt. „O pisaniu prawdy i o śmierci liberalizmu” („Tyg. Powszechny” nr 27/702) oskarża redakcję *Kultury*, że „dwukrotnie umieściła tekst (Kisiela) w kontekście z góry go niweczącym zresztą bynajmniej nie na płaszczyźnie dyskusyjnej, lecz w sposób gruby i perfidny”. „Dali dowód” — cytuję dosłownie — „że nie chcą czy nie mogą utrzymać się w klimacie obiektywistycznej dyskusji liberalnej, że muszą (mają obowiązek?!) z góry moje teksty „opupić”, zmieszać z błotem”.

A nieco dalej czytamy:

„Redaktora *Kultury* znałem przed wojną jako liberała. Wszystkie więc — wydawałoby się — składa się na to, aby przeprowadzić rzetelną próbę konfrontacji dwóch światów pojęć. Niestety — próba dała wynik negatywny: „Ja mu proponuję partię szachów, a on zgarnia figury i majchem we mnie” — jak określił znanego rodzaju metody polemiczne tenże Karol Irzykowski”.

Znakomita większość czytelników krajowych „Tyg. Powszechnego” nie zna ani artykułów Kisiela drukowanych w *Kulturze*, ani naszych odpowiedzi na te artykuły. Liberalizm i głębokie przywiązanie do *fair play* Kisielewskiego polegają między innymi na tym, że oskarża nas przed audytorium, przed którym nie możemy się bronić. Bo choć łamy „nie-liberalnej” *Kultury* są zawsze otwarte dla Kisielewskiego — łamy „Tyg. Powszechnego” zamknięte są dla członków naszej redakcji.

Taktyka Kisielewskiego zmierza do dwóch celów. Po pierwsze pragnie wywołać wrażenie, że jego teksty w *Kulturze* zostały poddane zabiegom zniekształcającym. Jest to zarzut całkowicie bezpodstawny. Artykuły Kisielewskiego wydrukowaliśmy nie zmieniając ani jednego słowa czy przecinka.

Przez „opupienie” Kisielewski prawdopodobnie rozumie fakt, że w tym samym numerze zamieściliśmy jego list do Redaktora *Kultury* i naszą odpowiedź na ten list.

W pismach codziennych i tygodnikach na ogół panuje zwyczaj, że odpowiedź na polemiczny artykuł zamieszcza się w jednym z następnych numerów. Ale to nie jest żaden dogmat. „The Guardian”, którego nikt chyba nie posądzi o brak liberalizmu — bardzo często drukuje list do redaktora i odpowiedź na dany list w tym samym numerze pisma. Jeżeli list porusza istotną sprawę „The Guardian” niemal zawsze odpowiada w tym samym numerze.

W miesięczniku ta sprawa wygląda jeszcze inaczej. Bardzo trudno jest z kimś dyskutować po upływie miesiąca i trzeba wówczas powtarzać argu-

mentację strony przeciwnej, bo Czytelnik może poprzedniego numeru, albo nie znać, albo nie pamiętać.

A zresztą w czym zmienia to istotę sprawy — czy na dany artykuł redakcja odpowie w tym samym numerze czy w numerze następnym? Wydawałoby się, że dyskusja zyskuje na przejrzystości jeżeli Czytelnik ma przed sobą w tym samym numerze argumenty obu dyskutantów.

Możliwe że również idzie o to że „Testament” Kisielewskiego został zamieszczony w *Kulturze* w dziale „Kraj” między korespondencją z kraju a wyborem dowcipów politycznych? Dział „Kraj” jest wprowadzony nie od dzisiaj i służy — tak jak i inne działy — dla uporządkowania materiałów według tematyki, dla orientacji czytelnika. To tak jakby Miłosz miał pretensję, że jego wiersze są drukowane obok Wierzyńskiego czy odwrotnie.

Ale „dobre obyczaje” liberalne (broń Boże „majcher”) Kisielewskiego objawiają się w pełni w następującym chwycie polemicznym: „Dali dowód, że nie chcą czy nie mogą utrzymać się w klimacie obiektywistycznej dyskusji liberalnej, że muszą (*mają obowiązek!*) (podkreślenie moje) z góry moje teksty „opupić”, zmieszać z błotem”.

Mają obowiązek... z wykrzyknikiem. Owa fraza ma sugerować czytelnikowi krajowemu, że insynuacje pp. Arskich i Werblanów są w rzeczywistości słuszne, że *Kultura* „musi” i „ma obowiązek” — jako agenda propagandy czy zgoła wywiadu amerykańskiego — mieszać z błotem „liberalnych” posłów na Sejm PRL i współpracowników „Tyg. Powszechnego”.

Każde dziecko na emigracji wie, że Kisielewski musiał napisać „samokrytykę”, że mu kazali, że musiał *Kulturę* zmieszać z błotem dla ratowania własnej skóry. Tak bowiem wygląda „liberalny”, „obiektywistyczny” klimat ustroju, którego Kisiel okazał się nie dość gorliwym obrońcą.

Kisiel będzie się musiał samokrytycznie kajać nie tylko za drukowanie w *Kulturze*, ale i za reportaże z Niemiec zachodnich.

Nie mamy do niego pretensji o samokrytykę, która jest poniżającą formą samo-obrony, ale w ustroju komunistycznym formą powszechnie przyjętą. Ale czy tego ponurego widowiska nie można było załatwić w bardziej cywilizowany sposób?

LIBERAŁOWIE I INTELIGENCJA

Wydaje się, że w Anglii rośnie procent ludzi, którzy powątpiewają w mądrość tradycyjnego systemu opartego na dwóch klasowo określonych partiach politycznych. Błędnie również mit proletariatu jako klasy społecznej wyposażonej w specjalną misję dziejową.

Jak wynika z danych ogłoszonych w prasie — na czoło ruchu zawodowego zaczynają wysuwać się związki zawodowe stojące poza ramami sojuszu Labour Party i TUC (*Trade Unions Congress*). Największy wzrost liczby członków od zakończenia wojny wykazują „National and Local Government Officers Association” oraz „National Union of Teachers”. Oba powyższe związki — dysponujące potężnymi wpływami — zrzeszają pracowników „w białych kołnierzykach” i nie należą do TUC.

Galęzie przemysłu, które stanowiły fundament robotniczego ruchu zawodowego, a zarazem rezerwuar rekrutacyjny TUC — weszły w okres

zmiernych, by nie powiedzieć upadku. Wymienić tu należy węgiel, koleje, bawełnę.

Niespodziewany wzrost partii liberalnej w Anglii i socjo-polityczna analiza owego odrodzenia rzucają interesujące światło na przemiany dokonywane się na wyspach brytyjskich.

Jak wynika z danych ogłoszonych przez „Research Services Ltd.”, która to firma przeprowadziła cytowane badania — 34% tych, którzy głosują na partię liberalną cenią jej „bezklasowość”. Liberalowie i ich sympatycy sądzą, że realizacja programu liberalnego przyczyniłaby się z czasem do likwidacji obecnego podziału na „my” i „oni”. Ów podział jest konsekwencją klasowego charakteru obu głównych partii brytyjskich.

Bezklasowość w praktyce oznacza nie tylko zniesienie różnic stanowych, lecz niwelację społeczeństwa do poziomu jednej klasy. Rzekoma „bezklasowość” w Związku Sowieckim polega na tym, że tytułarnie wszyscy są proletariuszami. Chruszczow zapewniał wielokrotnie amerykańskich dziennikarzy, że cały jego prywatny majątek stanowi ubranie, które ma na sobie.

Jak sobie wyobrażają bezklasowość liberalowie brytyjscy?

Dokładnie dwie trzecie respondentów stwierdziło, że przynależą do *middle class*. Rewelacyjne światło na pewną znamioną ewolucję rzuciły odpowiedzi na drugie pytanie: „Na jakiej podstawie respondent uważa się za przynależnego do *middle class*?”

W tym miejscu konieczny jest mały margines. O przynależności do *middle class* decydowały dotąd tradycyjnie dwa czynniki: pochodzenie i pieniądze. „Klasyczny” członek *middle class* — pochodzi z rodziny *middle class* i swój status społeczny wylegitymuje odpowiednim dochodem. Decydującym czynnikiem są pieniądze. Trzeba mieć odpowiedni dochód, mieszkać w odpowiedniej dzielnicy, należeć do odpowiednich klubów, mieć samochód itp. Człowiek, który mówi pięcioma językami, posiada dwa doktoryaty, ale mieszka w wynajętym pokoju w dzielnicy robotniczej, nie ma samochodu i zarabia 7 czy 8 funtów tygodniowo nie należy do *middle class*. Tym różni się pojęcie *middle class* od terminu „warstwa inteligencji” w sensie kontynentalno-europejskim.

Niezmiernie charakterystyczny jest fakt, że niemal 50% respondentów w omawianej ankiecie uważa się za członków *middle class* z racji swojego *wykształcenia i zawodu*, dr Mark Abrams, dyrektor cytowanego „Research Services Ltd.” — stwierdza, że jest to zupełnie nowy fenomen w określeniu statusu społecznego i niespotykany poza kręgiem liberalów.

Aspirowanie do statusu *middle class* w Anglii jest niemal powszechne, nie wyłączając klasy robotniczej. Ale tak członkowie Labour Party jak i konserwatyści — nie uważają wykształcenia i kwalifikacji zawodowych za czynnik decydujący w tej sprawie. Liberalowie natomiast w 50% wypowiedzieli się za wprowadzeniem nowego kryterium w postaci wykształcenia i zawodu.

Tego typu przemiany są wyłącznie przemianami w psychologii społecznej. Członkiem *middle class* jest ten, kto sam siebie uważa za członka tej warstwy i przez innych uważany jest za należącego do *middle class*.

W warunkach brytyjskich jest to daleko większa rewolucja niżby na pozór mogło się wydawać. Gdyby ów *trend* utrzymał się — a wiele wskazuje, że się nie tylko utrzyma, ale wzmoże — w ramach *middle class* powstałaby warstwa inteligencji. Członkowie tej warstwy przynależność do *middle*

class legitymowałyby nie pochodzeniem i pieniędzmi — lecz wykształceniem i kwalifikacjami zawodowymi.

Wiktoriańskie oblicze *middle class* ulega przemianie. Ową charakterystyczną przemianę liberalowie uchwycili w swoje żagle — co w dużym stopniu decyduje o ich powodzeniu zwłaszcza wśród młodych.

Do utraconych horyzontów należy nie tylko imperium, ale i sztywna klasowa struktura społeczeństwa brytyjskiego. Zarówno arystokrata, który po Eton w Oxfordzie „czytał” klasyków i zostawał „budowniczym imperium” — jak i proletariusz sprzedający siłę swych mięśni — odchodzą w przeszłość. Ów arystokrata i proletariusz mieli jedną cechę wspólną: obaj nie posiadali żadnego określonego zawodowego wykształcenia. Czytanie autorów klasycznych dawało często znakomite rezultaty. Dziś jednak polityka i ekonomia są tak skomplikowanymi dziedzinami, że kultura i ogólne wykształcenie nie wystarczają. Konieczny jest profesjonalizm, a nawet specjalizacja.

Można by stanąć na stanowisku, że pracownicy w „białych kołnierzykach” są *de facto* robotnikami o wyższych kwalifikacjach. Ale na tego typu wzmocnienie klasy robotniczej elementem inteligentnym czy pół-inteligentnym nie można liczyć. Działają tu dwie rozbieżne tendencje. TUC jest organizacją klasową tradycyjnego stylu. Natomiast pracownicy w „białych kołnierzykach” aspirują do statusu *middle class* i dlatego ich najpotężniejsze związki zawodowe nie są afiliowane do TUC.

Przyjdzie chwila, kiedy hasło: „proletariusze wszystkich krajów łączcie się” — trzeba będzie zamienić na „inteligenci wszystkich krajów łączcie się”.

W Anglii inteligentkie czy „biało kołnierzykowe” związki zawodowe czerpią pełną garścią z doświadczeń ruchu robotniczego. O ile w Polsce przed wojną inteligencja stanowiła niezorganizowaną masę o tyle w Anglii pracownicy w „białych kołnierzykach” są znakomicie zrzeszeni i walczą o poprawę swojego bytu stosując zasadniczo tę samą strategię, którą uprawiały robotnicze związki zawodowe.

Wszystkie przemiany w Anglii odbywają się w nienaturalnie zwolnionym tempie. Utracone horyzonty fascynują Anglików identycznie jak Polaków. I choć wyda się to paradoksem — sądzę, że Anglicy w pewnej mierze są w trudniejszej sytuacji od nas. Im nikt nie powiedział, że przegrali wojnę, że ponieśli bezprzykładną klęskę. Nikt im nie powiedział, że wspomniały bagna historycznych zwycięstw od Waterloo po *Battle of Britain*, że to wszystko trzeba było porzucić na granicy dwóch epok w roku 1945.

Teatr historyczny jest spektaklem najtragiczniejszych złudzeń. W Anglii nie było okupacji, nie było przewrotu — ciągłość czasu historycznego nie została przerwana. Kurtyna epoki nie opadła z trzaskiem jak w Polsce. Wypirański czas angielski należy do innego klimatu i procesy synchronizacji z Europą będzie bolesny i długi.

Jedną z iluzji teatru historycznego jest fałszywa ewaluacja zwycięstw. Anglicy wygrali wojnę, lecz politycznie ponieśli klęskę. Ponieważ mimo wygranej wojny Anglia potencjalnie zmalała. Zmalała nie na skutek własnej przegranej, ale na skutek zwycięstwa i podbojów Sowietów. Najtrudniej jest przystosować się do po-klęskowej sytuacji tym, którzy choć sami nie ponieśli klęski dzielić muszą jej konsekwencje.

NEUTRALNA KROPKA

Po pierwsze są starzy, po drugie są „centrowi”, po trzecie bez opozycji. Dwadzieścia trzy procent członków Bundestagu to są panowie powyżej 60-ki. 40% posłów reprezentuje piękny wiek pomiędzy 50 a 60. Tylko 13% jest poniżej 40-ki.

Partie przy sterze w Bonn są typowymi partiami centrowymi. Tego rodzaju partie odzwierciadlają nie żywe, dynamiczne prądy polityczne — ale ich brak.

Od programu uchwalonego w Bad Godesberg w roku 1958 — socjaliści niemieccy zaczęli się energicznie „odsocjalizowywać”. W roku 1960 odcięli się oficjalnie od koncepcji *disengagement*, neutralizmu itd. W roku 1961 zrezygnowali z opozycji w stosunku do obowiązkowej służby wojskowej i pogodzili się z NATO.

Tam, gdzie nie ma opozycji, nie ma alternatywy. Oznacza to, że społeczeństwo nie interesuje się problemami politycznymi. Gdyby się interesowało trudno sobie wyobrazić, by wszyscy byli tak znakomicie zgodni i bez mała jednomyślni. Żywe zainteresowanie polityką prowadziłoby do zróżnicowanych opinii i w konsekwencji do wyłonienia silnej opozycji.

Jest oczywiste, że Ulbricht kompromituje lewicowy radykalizm. Ale ten sam Ulbricht jest w pewnej mierze promotorem radykalizmu prawicowego. Żadna partia demokratyczna w swym nastawieniu antykomunistycznym nie może iść tak daleko jak ugrupowania skrajnie prawicowe. Ugrupowania tego typu ilekroć znajdują się przy władzy likwidują demokrację w imię antykomunizmu. Ten sam proces w wydaniu kieszonkowym obserwujemy na emigracji. Dla naszych rodzimych skrajnych prawicowców wszyscy emigranci, którzy myślą inaczej są *fellow-travellersami*. Antykomunizmem można usprawiedliwić wszystko — walkę z Żydami, z demokracją, a przede wszystkim walkę z *common sens'em*.

Jest w pewnym sensie pocieszające, że w Niemczech do tej pory nie ma potężnej radykalno-prawicowej partii politycznej. W ubiegłym roku istniało w NRF 86 radykalno-prawicowych organizacji. Łączna cyfra członków tych organizacji wykazuje stały spadek.

Żadne z tych ugrupowań — z których większość ma charakter lokalny — nie dysponuje „Führerem”. Mnogość organizacji jest wynikiem skłócenia i głębokiego kryzysu programowego. Masowy ruch radykalno-prawicowy musi mieć nie tylko „Führera”, ale i ideologię radykalnie uproszczoną.

Spadek cyfry członków w radykalno-prawicowych organizacjach nie dowodzi, że Niemcy raz i na zawsze przestali być nacjonalistami. Ów spadek ilustruje natomiast fakt, że w obecnej sytuacji skrajny nacjonalizm — poza apelem emocjonalnym — nie ma do zaoferowania dosłownie żadnego programu.

Prawicowy nacjonalizm typu faszystowskiego jest anachronizmem. Z tego zdaje sobie sprawę nawet Sir Oswald Mosley, który propaguje obecnie unię nacjonalistycznych partii Europy jako super-partię europejską białego człowieka. To wszystko jest jawny nonsens, bo nacjonalizm nie może być międzynarodowy.

Nacjonalizm faszystowski jest przeżytkiem, ponieważ jego arsenał środ-

ków politycznych w dobie dzisiejszej jest przeżytkiem. Doktryny faszystowskie wychodziły z założenia, że dany naród poprzez totalne zjednoczenie wysiłków — zdolny jest zbudować potencjał siły, wystarczający do zrealizowania zaborczych celów politycznych. Wodzowie faszystów sądzili, nie bez racji, że totalne, zmilitaryzowane mocarstwo, gotowe użyć siły — góruje nad mocarstwami rządzonymi demokratycznie, które pragną uniknąć wojny niemal za wszelką cenę.

Co Hitler mógłby dziś obiecać Niemcom, gdyby się pojawił w nowym wcieleniu? Hasło hitlerowskie „armaty zamiast masła” brzmiałoby dziś humorystycznie. Co komu z armat jeżeli nie ma pocisków międzykontynentalnych, bomb wodorowych, rakiet, strategicznego lotnictwa? Niemcy, choćby przez ćwierć wieku nie jedli masła, nie mają szansy „dogonienia” na polu zbrojeń atomowych Związku Sowieckiego. Chodzi bowiem w tej sprawie nie tylko o potencjał przemysłowy, lecz również o dyspozycję geograficzną. Niemcy zachodnie są miniaturowym krajem niezmiernie gęsto zaludnionym — Związek Sowiecki jest kontynentem. Zachodnie Niemcy mogą posiadać własne bronie nuklearne, ale Związek Sowiecki — niezależnie od proporcji potencjałów atomowych — góruwać będzie zawsze nad nimi dyspozycją geograficzną, która w wojnie atomowej ma wręcz zasadnicze znaczenie.

W Niemczech dzisiejszych nie ma Hitlera, bo Hitler nie miałby Niemcom niczego do powiedzenia. Nie ma masowej radykalno-prawicowej partii — bo nie ma radykalnych rozwiązań problemu niemieckiego.

Każdy narodowo-radykalny polityk musiałby domagać się ewakuacji obcych wojsk i przywrócenia Niemcom pełnego statusu mocarstwowego. W programie radykalno-nacjonalistycznym nie mogłoby być miejsca na amerykańskie „satelictwo”. Po tej linii szło programowe przemówienie von Tahhdena, przywódcy „Deutsche Reichs Partei”.

Główny problem niemiecki — tj. zjednoczenie — jest nie do rozwiązania w płaszczyźnie polityki radykalno-nacjonalistycznej. Nawet przywódca świeżo powstałej „Niemieckiej Narodowej Partii Ludowej”, której inauguracyjny zjazd odbyć się ma z końcem września br. — domagają się zjednoczenia Niemiec w drodze rokowań pomiędzy Waszyngtonem, a Moskwą.

Istnieją dwa nacjonalizmy. Faszystowski, zaborczy — oraz nacjonalizm kameralny, świadomy swych ograniczeń. Nacjonalizm totalny i zaborczy dostępny jest dziś tylko dla super-mocarstw atomowych. Rosja lub Chiny (gdy się uprzemysłowią) — mogłyby być państwami „narodowo-socjalistycznymi” czyli faszystowskimi. W Niemczech faszyzm wymagałby specjalnej koniunktury. Musiałoby dojść do wojny prowadzonej konwencjonalnie, w której stroną zwyciężającą byłoby NATO. Ale Niemcy nie wierzą — i słusznie — w konwencjonalizm przyszłej wojny czego wymowną ilustracją jest fakt, że masowo lokują swoje kapitały i oszczędności zagranicą — szczególnie w Szwajcarii.

Federalna Republika jest za słaba i zawsze będzie za słaba, by na wzór hitlerowski ruszyć w pojedynkę zbrojnie na Wschód. Z drugiej strony większość Niemców po 17 latach, które upłynęły od zakończenia wojny — pragnęłyby zjednoczonego kraju, bez obcych wojsk, bez stref okupacyjnych — jednym słowem normalnego państwa, w którym Niemiec czułby się u siebie

w domu. I to stanowi treść owego kameralnego, normalnego nacjonalizmu, do którego każdy naród jest uprawniony.

W lipcu br. w wpływowym piśmie „Die Welt” ukazała się seria artykułów, których autorzy wyrazili opinię, że Stany Zjednoczone i Wielka Brytania już dawno pogodziły się z trwałym podziałem Niemiec i nie zamierzają podjąć żadnej inicjatywy w kierunku zjednoczenia państwa niemieckiego. Do identycznych wniosków doszedłem dwa lata temu w mojej niemieckiej książce. Niewątpliwie jest pocieszające, że poważne niemieckie pismo — choć ze znacznym opóźnieniem — przyznało nam rację.

„Die Welt” w propagowaniu poglądów wyrażonych wielokrotnie na tych łamach — posunął się znacznie dalej. Cytowane pismo sądzi bowiem, że gdy Europa będzie dostatecznie skonsolidowana wokół osi Bonn-Paryż — nadejdzie chwila do zaproszenia tak Amerykanów jak i Rosjan, by wycofali się całkowicie z terenów Niemiec. I wówczas — mniema „Die Welt” — kulisy sceny będą ustawione do rozegrania ostatniego aktu dramatu, tj. zjednoczenia Niemiec w płaszczyźnie negocjacji pomiędzy skonsolidowaną Europą zachodnią a Sowietami.

Trzeba jeszcze postawić kropkę nad tym „i”. Wyjście Amerykanów z Niemiec to jest mało. Niemcy musiliby opuścić NATO. Sowiety nigdy nie zgodzą się na udział zjednoczonych Niemiec w sojuszu północno-atlantycznym. I nigdy nie zgodzą się na zjednoczenie, dopóki nie będą miały gwarancji pełnej neutralności zjednoczonego państwa niemieckiego.

Jeżeli Niemcy chcą być zjednoczeni, jeżeli chcą czuć się w swym kraju u siebie w domu bez obcych wojsk i obcych baz — muszą postawić ową kropkę nad „i”.

Dla państw średnich i małych, znajdujących się w „pasie pogranicznym”, jak Polska, Niemcy czy Laos — jedyną formą odzyskania minimalnej niepodległości jest status neutralny.

Bez owej neutralnej kropki nad „i” — filozofia „Die Welt” jest nonsensem. Niemcy — nawet ci najbardziej światli i najlepiej poinformowani — jeszcze ciągle nie mogą pojąć, że w gruncie rzeczy nikt nie chce zjednoczenia Niemiec. Ani Amerykanie, ani Anglicy, ani Francuzi, ani Polacy, ani Rosjanie — dosłownie nikt. To samo dotyczy granicy na Odrze i Nysie. W rzeczywistości nikt nie jest po stronie Niemiec w tej sprawie. Nie z sympatii dla Polaków — lecz z obawy przed Niemcami.

Dopóki Niemcy godzą się pełnić funkcję Korpusu Ochrony Pogranicza zachodniej Europy — dopóty liczby mogą na przyjaźń Zachodu. Ale zjednoczenie, rewizja granicy na Odrze i Nysie — to nikogo nie interesuje. To są bowiem pomysły totalnie sprzeczne z polityką NATO, którego jedynym celem jest obrona *status quo*.

Niemcy mogą być zjednoczone tylko dwojako. Albo jako sprzymierzeniec-satelita Sowieców — albo jako państwo w strefie zneutralizowanej i zdemilitaryzowanej. Celem polityki Zachodu w stosunku do Niemiec nie było nigdy zjednoczenie, lecz przeciwnie podział i nie integracja, lecz federacjonizm — co znalazło swój wyraz w strukturze NRF. Byłby czas by Niemcy uświadomili sobie wreszcie, że w tym nastawieniu *de facto* nic się nie zmieniło.

Najwymowniejszy jest w tym względzie stosunek mocarstw zachodnich do kwestii berlińskiej. Gdyby pewnego dnia Chruszczow podpisał traktat

pokoju z NRD, który nie naruszałby uprawnień mocarstw zachodnich w Berlinie — w Waszyngtonie i w Londynie odetchnięto by z ulgą. Legalizacja jednostronna podziału Niemiec nie stanowiłaby w oczach mocarstw Zachodu pogorszenia sytuacji pod warunkiem, że *status quo* w Berlinie zostałby nie-naruszony.

Niemcy, którzy inaczej odczytują tendencje polityki Zachodu — oddają się pobożnym życzeniom.

PROWINCJA

Jak słusznie zauważył K.T. Toeplitz na łamach „Przeglądu Kulturalnego” — mieliśmy zawsze „rzymski” stosunek do kultury i życia intelektualnego. Ważne jest tylko to, co dzieje się w stolicy. Poza murami stolicy rozpościera się nieważna i nieznaną prowincja. Tak było przed wojną — tak jest po wojnie i tak jest na emigracji. Polski Londyn z jednej strony pretenduje do roli „stolicy” — z drugiej strony wykazuje tradycyjny brak zainteresowania dla poczynąń emigracyjnych w innych krajach. Te inne kraje to oczywiście „prowincja”.

Argentyński „Głos Polski” (ukazujący się od lat 40-tu) — ogłosił konkurs literacki na nowelę i esej. Inicjatywa okazała się sukcesem, gdyż nadesłano 77 prac z 15 krajów osiedlenia. Laureatami konkursu są m.in.: Florian Czarnyszewicz, Stanisław Vincenz, Bolesław Pomian, Henryk Czesław Sliwiński. Wyróżnieni: Czesław Dobek, Jerzy Niemojowski, Aleksander Grobicki i inni.

Wykpiwaliśmy zawsze na tych łamach centralistyczno-elitarne zapędy polskiego Londynu, który o „prowincji” przypomina sobie dopiero wówczas gdy potrzebuje pieniędzy.

Z tym elitaryzmem, gdy mu się przyjrzeć bliżej, jest raczej dość słabo. Weźmy przykład najbliższy. *Kultura* wychodzi we Francji a 98% jej współpracowników rekrutuje się spoza londyńskiej diaspory. Innymi słowy *Kultura* jest typowym pismem „prowincjonalnym” i w końcu nie najgorszym.

LONDYŃCZYK

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec

UKAZUJĄCE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Redakcja, administracja, drukarnia:

Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 301

Kraj

Jak mały lizus wyobraża sobie komunizm

W lipcowym numerze sowieckiego miesięcznika MOSKWA (Organ Związku Pisarzy RSFSR), w ramach ankiety na temat „Świat za 20 lat”, znajdujemy wypowiedź Wojciecha Żukrowskiego którą podajemy w całości przypuszczając że zainteresuje ona nietylę czytelników emigracyjnych co krajowych.

...Młodzież pragnąca sukcesów i przygód, a także tłumy ochotników w różnym wieku obijają progi Oddziału Kosmicznych Kadr, gdzie kompletują się załogi ogromnych kosmicznych statków. Z innych planet systemu słonecznego młodzi entuzjaści zdobycia galaktyki przywożą nowe minerały i rośliny. Tam, w kosmosie, powstały węzłowe stacje dla badawczych grup geologicznych. Te badania zaczęły się od „ekspertyzy” księżycy i kontynuują się na Marsie i Wenus. Badacze zetknęli się tam z nieprzewidzianymi niebezpieczeństwami, jak gdyby zapadali również na jakieś niezemskie choroby. I, ma się rozumieć, niezmiernie tęsknią za ziemią, za rodzinnymi miastami, w których spędzili dzieciństwo... Dlaczego? No dlatego, że ziemia staje się z każdym rokiem coraz piękniejsza i cudowniejsza!

Proszę o wybaczenie, odbiegłem od tematu, — napisawszy tytuł zamierzałem mówić zasadniczo o Polsce.

A więc. Bogactwo Polski — to to co my wnosimy do wszechświatowej gospodarki — to przede wszystkim nasza produkcja przemysłowa. A u nas w 1981 roku rozwinął się duży przemysł chemiczny. Produujemy wiele syntetycznego surowca, żeby robić z niego wszystko — od tkanin i mebli do lekkich, przesiąkniętych światłem domów. Domy te wydychują się na gorąco — „podobnie jak dwadzieścia lat temu wyroby szklane” — mówił przewodnik grupie turystów z Ziemi Ognistej.

Domy te różnokolorowe, przezroczyste, z porowatego materiału znakomicie zachowującego ciepło. Przez przezroczyste ściany ciekawi widzą rzadkie dzieła narodowej sztuki, starannie przechowywane przez mieszkańców.

Bardzo jest trudno określić narodową przynależność człowieka po zewnętrzny wyglądzie domu czy po kroju ubrania. Tylko pisarze artyści i malarze, na skutek resztek niewyżytego snobizmu, lubią jeszcze domy z cegły i „przytulne” kominki. Tylko u tych snobów można znaleźć na półkach stare księgi — ciężkie, niewygodne, drukowane jeszcze na papierze.

W 1981 roku książki będą podobne do rolek mikrofilmów. Można

je będzie wygodnie przechowywać w niewielkich metalowych tubach. Są one przystosowane zarówno do wyświetlania na ekranie, jak i przegrywania na magnetofonie. Pomyślcie tylko jak to wygodnie: leżeć na tapczanie, z rękami pod głową i z przymkniętymi oczami słuchać tekstu w wykonaniu pierwszorzędnego artysty lub samego autora, swobodnie wyobrażać sobie cały bieg akcji i czyny bohaterów. Uważnie, ale z odcieniem niedowierzania, dzieci słuchać będą powieści historycznych — powieści o nas, żyjących w 1961 roku.

I wywiąże się między rodzicami, a dziećmi — wiecznymi antagonistami — taka polemika: „O co ci nierozumni ludzie kłócili się 20 lat temu? Za co się bili? Dlaczego ginęli? Przecież dalszy rozwój historii był tak jasny i oczywisty”.

— Tak, to było jasne ale tylko dla samej historii — odpowiedzą ojcowie.

— My to doskonale rozumiemy — powiedzą młodzi — ale wy widocznie wtedy zupełnie zwariowali, jeśli o mało nie doszło do wojny. Przecież w waszych rękach i wtedy już była potężna technika, przodująca nauka i rozbity atom.

(Nawiasem mówiąc nic nie będzie wywoływać tak powszechnej radości jak filmy o meczach bokserskich. Wspaniała to dokument przeszłości: dwóch ludzi — jako że to rzeczywiście byli ludzie żyjący 20 lat temu — bije się po twarzy, a widzowie ryczą z zachwytem. No i radość! Dzisiaj w 1981 roku taki „sport” jest zakazany nie tylko przez lekarzy, ale i przez socjologów).

No, ale nie myślcie, że życie w 1981 roku będzie już tak lekkie i beztroskie. Człowiek coraz głębiej przenika w skorupę ziemi w poszukiwaniu nowych surowców. Są i inne kłopoty. Ochrona powierzchni ziemi przed wyjąłowieniem, a roślinności przed chemicznymi odpadkami. A ileż kłopotu wymagają nasze polskie rzeki! Specjalnie Wisła. Przecież czysta, źródłana woda to teraz coś w rodzaju delikatesu. Przez pewien czas ryby z polskich rzek można było widzieć tylko w specjalnych akwariach. Ale teraz, międzynarodowa komisja ochrony przyrody bacznie śledzi, by w przyrodzie nie została naruszona równowaga.

Ja cały czas mówię o drobiazgach, ale nie powiedziałem o rzeczy zasadniczej — o fundamencie. O tym fundamencie, na którym zbudowano gmach szczęścia i dobrobytu mojej ojczyzny.

Tym fundamentem jest komunizm. Komunizm — u nas w Polsce! Gdy o tym mówimy, nasze dzieci uśmiechają się. Dla nich to słowo oznacza zupełnie coś innego niż dla nas...

Pamiętam jak 20 lat temu, w 1961 roku, słowo „komunizm” oznaczało wyteżoną pracę, uporczywą walkę o pokój, gigantyczne wyrzeczenia się. Bardzo wiele poświęcaliśmy wtedy dobrowolnie dla ogólnego dzieła, ale rozumieliśmy, że komunizm to dosłownie powietrze, którym oddychamy, tak jest on nam niezbędny.

A teraz, w 1981 roku, dla naszych dzieci jest to naturalny ustrój społeczny, to świat, szczęście, i dobre samopoczucie, to technika, która odkrywa przed nami cały wszech świat, to — kultura, która uczy kochać świat w którym żyjemy.

Warszawa.

(przekład z rosyjskiego, Red.).

Wojciech ŻUKROWSKI
Polski pisarz
Laureat Państwowej Nagrody

Sprawa Gustawa Grudzińskiego

Na pierwszej stronie dziennika włoskiej partii socjaldemokratycznej (PSDI), *La Giustizia*, ukazało się 27 lipca br. następujące oświadczenie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego:

„Stefan Kisielewski, znany dziennikarz polski i poseł do parlamentu, odwiedził ostatnio Niemcy Zachodnie i Francję. Opuszczając Paryż, napisał coś w rodzaju listu otwartego do intelektualistów polskich na emigracji i wręczył go redaktorowi *Kultury*, miesięcznika wydawanego w Paryżu od piętnastu lat. Adresaci tego listu mogli go przeczytać w numerze czerwcowym pisma. Kończył się tak: „Koledzy i Przyjaciele z Emigracji, zwłaszcza ci, którzy chcecie nas uczyć o dzisiejszej Polsce! Nie zostawiajcie nas samych, przyjeżdżajcie z wizytami, patrzcie, słuchajcie, informujcie nas, informujcie siebie, gadajcie — to się przyda i Wam i nam i Polsce. Polsce współczesnej, która niestety jest tylko jedna — ta co na mapie”.

Zanim jeszcze to zaproszenie zostało ogłoszone, doszedłem po długim namyśle do uznania użyteczności wyjazdu na parę miesięcy do kraju. Użyteczności z pewnością dla mnie, a może także dla mojego kraju. Nigdy nie pretendowałem do udzielania komukolwiek „lekcji o dzisiejszej Polsce” i nigdy też nie podejmowałem takich prób: tym mniej w stosunku do moich rodaków którzy przebywają w kraju, gdy ja od przeszło dwudziestu lat (przeszło połowa mojego życia) błąkam się po świecie: więzieli w Rosji, żołnierz II Korpusu we Włoszech, wolny pisarz w różnych miastach europejskich. Przeciwnie, zawsze sądziłem i czułem że nieunikniona różnica w spojrzeniu między tymi którzy dotykają codziennie rzeczywistości własnymi rękami, albo — co więcej — doświadczają jej okrutnie na własnej skórze, a tymi którzy dzień po dniu śledzą ją z oddali mimo że z całą intensywnością ludzi przebywających na wygnaniu, musi z upływem lat rosnać raczej niż zmniejszać się, nawet jeśli przesłanki idealne jednych i drugich mogą pozostać identyczne lub wręcz wyrazić się jako takie (jak było w roku 1956). Ileż razy, rozmawiając godzinami i godzinami z moimi przyjaciółmi i znajomymi z kraju którzy w ostatnich latach odwiedzali mnie w czasie swoich podróży zagranicę, miałem sposobność uprzytomnić sobie że co innego jest *wiedzieć*, a co innego *żyć* tym co się wie! Ale, mówiąc słowami Kisielewskiego, miałem zawsze ambicję „partezienia, słuchania, informowania siebie, gadania”. Zdecydowałem się pojechać do Polski kiedy utwierdziłem się w przekonaniu, że nadszedł moment odetchnięcia choćby na pewien czas powietrzem mojego kraju, wypełnienia moich schematów myślowych emigranta obserwacją i wizją bezpośrednią.

O moim projekcie dowiedział się redaktor *La Giustizia*, Michele Pellicani, i zaproponował mi trzymiesięczną podróż do Polski w charakterze wysłannika specjalnego organu PSDI. Ponieważ jestem socjalistą,

zaakceptowałem natychmiast. W pierwszych dniach maja złożyłem w ambasadzie PRL w Rzymie podanie o wizę, dołączając doń list redaktora *La Giustizia* z prośbą o wszystkie ułatwienia dla korespondenta *in pectore* w Warszawie. W dwa miesiące potem urzędnik ambasady zakomunikował mi odmowę wizy.

Zważywszy że nie chcę nadawać temu oświadczeniu charakteru w najmniejszym choćby stopniu osobistego, sądząc zaś z drugiej strony że chodzi tu jednak o casus który winien być podany do wiadomości publicznej, ograniczę się do stwierdzenia jednej tylko rzeczy. Albo zaproszenie posła z Warszawy, skierowane (bez wątpienia za zgodą władz kraju) do intelektualistów polskich na emigracji, zostało wystosowane w złej wierze czyli z absolutną pewnością że zawiśnie w próżni, a w takim razie należy je uznać za to czym jest: za posunięcie propagandowe, dosyć głupie i (jak widać) łatwe do wykrycia. Albo zaproszenie zostało wystosowane w częściowej dobrej wierze (żeby użyć wspaniałomyślnego eufemizmu) i z góry ograniczone do niektórych intelektualistów polskich na emigracji, do tych mianowicie co do których można było mieć w Warszawie nadzieję (uzasadnioną czy nieuzasadnioną) że znalazłszy się w kraju, zrezygnują ze swoich prerogatyw obiektywnego „patrzenia, słuchania, informowania siebie, gadania”; jeśli tak, to jestem dumny że moja praca pisarska nie pozwoliła na włączenie mnie do tej (rzeczywistej czy urojonej) kategorii”.

Giuseppe Saragat, przywódca włoskiej partii socjaldemokratycznej, w okresie faszyzmu emigrant we Francji, po wojnie ambasador włoski w Paryżu, pierwszy przewodniczący Zgromadzenia Konstytucyjnego w Rzymie, b. wielokrotny wicepremier i wreszcie kandydat na Prezydenta Republiki w wyborach sprzed paru miesięcy, zabrał głos w sprawie oświadczenia Herlinga-Grudzińskiego w tym samym numerze *La Giustizia*:

„Odmowa udzielenia wizy polskiemu pisarzowi emigracyjnemu Gustawowi Herlingowi może się wydawać blahym epizodem wśród ogromnych wydarzeń, które rozgrywają się dziś na świecie. Ale tak nie jest.

Każde okaleczenie zasady wolności jest ciężkim faktem, którego nikt nie ma prawa lekceważyć; jest uszczupleniem wspólnej cywilizacji, i wszyscy czujemy się nim okradzeni.

Oto dlaczego dołączam mój protest do innych, znacznie bardziej autorytatywnych od mojego: w nadziei że Rząd Polski (il Governo della Polonia) — Kraju, którego wkład do wspólnej cywilizacji jest tak wielki — zechce naprawić swój ciężki błąd”.

Z kolei komentarz napisany przez redaktora *La Giustizia*, Michele Pellicani (podajemy go w urywkach):

„Z dwóch hipotez sformułowanych przez Gustawa Herlinga, w sedno rzeczy trafia według mnie druga. Odrzucenie próśby o wizę dla naszego wysłannika specjalnego — próśby wielokrotnie przez nas ponawianej — potwierdza tę opinię w całej rozciągłości. Chce się, owszem, by intelektualiści polscy na emigracji odwiedzali swoją ojczyznę, by „patrzyli, słuchali, informowali innych i siebie”, ale

pod warunkiem że ograniczą się do tej warstwy rzeczywistości którą ludzie stojący u władzy godzą się odsłonić. Z daleka natomiast od tych, którzy przez „patrzenie i słuchanie” rozumieją próbę uchwycenia prawdy w jej światłach i cieniach, wyrażenie uczciwego sądu o tym dokładnie co zobaczyli i usłyszeli. Niech zostaną tam, gdzie znajdują się właśnie z umiłowania wolności i prawdy! Nie ma wizy dla obserwatora, który chce patrzeć bez okularów i świadczyć bez niedomowień!

Casus pisarza o uczciwości intelektualnej Herlinga — którego *La Giustizia* ma zaszczyt zaliczać w poczet swoich współpracowników — nabiera przeto szczególnego znaczenia nie tylko sam w sobie, ale jako nowy dowód prawdziwej istoty reżymów komunistycznych. Tym więcej jeśli się pamięta że wśród tych reżymów panujący w Polsce uważany jest przez wszystkich, i nie bez słuszności, za najbardziej „wolnościowy”. Także w Polsce — i także po „odwilży”, po porzuceniu kultu Stalina, po „zwrocie” chruszczowowskim, po dniach października polskiego — komunizm zachowuje swój osobliwy charakter zaprzeczenia wolności, antytezy kultury i socjalizmu...

Doświadczenie Herlinga powinno posłużyć jako ostrzeżenie dla tych intelektualistów i polityków włoskich, którzy zdają się sądzić że komunizm, po zamknięciu rozdziału stalinowskiego, może przybrać charakter i przyswoić sobie metody „nowej demokracji”. Reżym komunistyczny — i to nawet w swoim najbardziej „wolnościowym” wydaniu polskim — pozostaje wszakże nadal reżymem oligarchicznym i totalitarnym, reżymem który właśnie z tego tytułu nie chce świadków; albo chce świadków gotowych do przemilczeń.

Dlatego odmówiono wizy socjaliście demokratycznemu Herlingowi, wysłannikowi urzędowego organu włoskiej partii socjaldemokratycznej. Należy uważać, że ta odmowa obejmuje całą naszą partię? Gdyby tak było, socjaldemokraci włoscy wzięliby to w należytą rachubę”.

Już w pierwszych dniach po jej ujawnieniu sprawa wywołała znaczny rezonans. Najpoważniejszy tygodnik literacko-społeczny *Il Mondo* ogłosił w numerze z 7 sierpnia obszerny komentarz „Reżym bez świadków”, pióra swego redaktora Mario Pannunzio. Czytamy w nim m.in.:

„Gustaw Herling chciał jechać do Polski nie jako przedstawiciel grup czy tendencji, ale po to jedynie żeby patrzeć, słuchać, informować się, mówić, nikomu nie oddając w pacht swej przeszłości członka polskiej organizacji konspiracyjnej po klęsce z 1939 roku, kawalera wysokiego odznaczenia bojowego na froncie włoskim, poważnego pisarza o pozycji międzynarodowej. Jeśli uważa się zaszczycony wyłączeniem z zaproszenia parlamentarzysty polskiego, to dlatego że oznacza ono wyłączenie z wszelkiego rodzaju konformizmu, z przynależności do jakichkolwiek istniejących parafii”.

Najpoczytszy tygodnik lewicowy *L'Espresso* pisze w numerze z 5 sierpnia:

„Rząd polski odmówił wizy Gustawowi Herlingowi, koresponden-

towi organu PSDI *La Giustizia*. Herling, polski pisarz emigracyjny zamieszkały we Włoszech, współpracuje od lat z dziennikiem socjal-demokratycznym. Byłaby to jego pierwsza wizyta w Polsce od roku 1939. Począwszy od jesieni 1956 roku, odkąd Gomułka wrócił do władzy, rzeczy zaczęły się zmieniać, i wielu pisarzy polskich odwiedziło Herlinga w jego mieszkaniu neapolitańskim nalegając by pojechał do kraju i na miejscu zdał sobie sprawę z zaszłych zmian. Ostatnio podobne apele, skierowane do wszystkich emigrantów polskich, wyszły od parlamentarzystów i ludzi zbliżonych do rządu warszawskiego. Odrzucając podanie o wizę złożone przez Herlinga, rząd polski postawił w wyjątkowo kłopotliwej sytuacji ambasadę PRL w Rzymie. „Jedno biurokratyczne pociągnięcie pióra — skarży się jeden z *attachés* ambasady — przekreśliło lata cierpliwego dzieła perswazji w stosunku do emigrantów. A poza tym obraził się dziennik centro-lewicy włoskiej. Wygląda to tak, jakbyśmy wrócili do klimatu zimnej wojny”.

Ignazio Silone, znakomity pisarz, redaktor *Tempo Presente*, prezes włoskiego oddziału Kongresu Wolności Kultury, wysłał poniższy list do ambasadora PRL w Rzymie (ogłoszony w *La Giustizia* z 29 lipca):

„Pisarze włoscy, którzy znają i cenią Gustawa Herlinga, przyjęli z osłupieniem wiadomość o odmówieniu mu wizy wjazdowej do Polski. Ten niewiarygodny akt zmienia nasz sąd o obecnej orientacji rządu warszawskiego w sensie zdecydowanie pejoratywnym. Nie dziwi nas, że reakcyjnemu zarządzeniu nie towarzyszy żadna motywacja. Gustaw Herling cieszy się słuszenie wśród nas największym szacunkiem zarówno za swój talent literacki, jak za swoją integralność moralną. Nikt z nas nie zapomni ile dał on z siebie w walce o wolność swego kraju i naszego. W ostatnich latach stał się on cennym elementem w wolnych stosunkach kulturalnych między Włochami a Polską. Nie ma wątpliwości że prędzej czy później władze warszawskie będą musiały pożalować tego aktu ostracyzmu wobec człowieka, który zagranicą przynosi zaszczyt swemu krajowi ojczystemu i pozwala z ufnością patrzeć w jego przyszłość”.

Polsko-szkocki Hotel

„STRATHCONA COURT”

(Właśc. C.C. Slezakowie)



Pokoje z ciepłą wodą, śniadaniem, telefonem, radiem, telewizją i obsługą od 21 godzin

Przyjęcia towarzyskie i weselne do 70 osób

198, Cromwell Road, London, S.W. 5. Tel. FRE 7878/9

Stacje kolejki Earls Ct i Gloucester Rd, autobusy 31 i 74

W bezpośrednim sąsiedztwie stacji autobusowej lotniska londyńskiego.

Najnowsza historia Polski

Jak likwidowano rewizjonizm

Sprawy rewizjonizmu nie schodzą od kilku miesięcy ze szpalt „Kultury”, pisarze zaś, którzy ruszyli na odkrycie arkanów myśli rewizjonistycznej przypominają trochę głośną anegdotkę o uczonych z różnych krajów, którzy wybrali się do Afryki, by prowadzić studia nad życiem i zachowaniem się słonia.

Rola Niemca z tej anegdotki, który napisał o słoniu z punktu widzenia „historycznego, filozoficznego i społecznego” przypadłaby tu chyba Zb. Jordanowi, który w artykule pt. „Rewizjonizm w Polsce” sumiennie i dokładnie tłumaczy „cechy uniwersalne i specyficzne” rewizjonistów w Polsce w oparciu o obfite wybory cytatów.

Jeleński, przy charakterystyce „Bezdroży komunizmu” wchodzi na tematykę „Słoń a sprawa polska”, pasując Schaffa czy Langego na pionierów zmian do jakich doszło na XXII Zjeździe KPZR. A znowu grupa autorów krajowych w artykule o „Przebranej Gomułki” idzie śladami uczonego rosyjskiego, który zastanawiał się: „czy słoń w ogóle egzystuje” (1).

To ostatnie pytanie trzeba sobie postawić niezależnie od anegdoty. Bo rewizjonizm jest problemem politycznym, a bynajmniej nie zagadnieniem nawrotów myślowych do Bernsteina czy jego polemik z Kautsky'm. Kto dzisiaj w Polsce zastanawia się na Bernsteinem!

Rewizjonizm to nie wygibasy „filozoficzne” z utrzymaniem co najmniej jednej nogi na obowiązującej w danym momencie

(1) Artykuł ten robi wrażenie pisanego telegraficznymi skrótami (warunki w jakich został przysłany?). Skróty te niekiedy myślą bo np. zawierają obok siebie nazwiska i sytuacje, niezupełnie z „tej samej wsi” w Polsce Ludowej.

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczone są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

„linii partyjnej”. Rewizjonizm jest to stosunek do przepisów postępowania, uznanych za słuszne przez będącą w określonym momencie u władzy grupę czy klikę, wyłonioną z partii.

Co innego rozumie się przez rewizjonizm w Polsce, co innego w Rosji, co innego w Czechosłowacji czy Rumunii, a jeszcze co innego w Albanii. Rewizjonizmem więc właściwie jest niestosowanie się do przepisów jazdy, obowiązujących w danym momencie. Przepisów kodyfikowanych w artykułach prasy partyjnej. Jeśli przyjmie się tego rodzaju określenie rewizjonizmu, to można stwierdzić, że skończył się on w Polsce. Można nawet dokładnie określić moment jego zepchnięcia pod ziemię. Tym momentem było XII Plenum KC PZPR 15-18 października 1958 r.

XII Plenum

Przypomnijmy najważniejsze elementy istniejącej wówczas sytuacji politycznej. Było to po naradzie przywódców partii komunistycznych i robotniczych w Moskwie na jesieni 1957 r. W czasie tych narad zostały sformułowane zarzuty przeciwko „współczesnemu rewizjonizmowi” (już tym przymiotnikiem „współczesny” stwierdzono, że nie idzie tu o odnowienie herezji Bernsteina).

W Polsce, po wydarzeniach z jesieni 1957 r. (manifestacje studenckie z powodu zamknięcia „Po Prostu”) rozpoczął się odwrót od października najpierw w formie tępienia wszystkich uznanych za „wściekłych”, a potem w ogóle tych wszystkich, którzy „wychylili się” od 1956 roku.

W referacie otwierającym obrady XII Plenum Gomułka mówił:

„Stało się tak jak mówiliśmy na X Plenum. Trzeba zlikwidować rewizjonizm, a zlikwidujemy pożywkę, na której wyrasta dogmatyzm. Tendencje dogmatyczno sekciarskie nie mają obecnicy tej pożywki, którą się w przeszłości tak obficie karmiły”.

Słowa nie pozostawiające wątpliwości: „trzeba zlikwidować rewizjonizm”. Interesującą okolicznością jest natomiast, że jeszcze wtedy (październik 1958) trzeba było uzasadniać potrzebę walki z rewizjonizmem tym, że w konsekwencji jest on „pożywką” dla tendencji dogmatyczno sekciarskich.

Po tym wyroku na rewizjonizm Gomułka w tym samym przemówieniu otwiera możliwości „amnestii”. Mówił on bowiem dalej:

„Tych, którzy złączyli na pozycje rewizjonizmu w szczerym poszukiwaniu dróg do zapewnienia zwycięstwa socjalizmu, życie na pewno sprowadzi z powrotem na drogę marksizmu-leninizmu”. Zdanie to warto zestawić z innym aforyzmem Gomułki, też z października, ale 1956: „Ubogą myślą jest, że tylko marksści mogą budować socjalizm”. W październiku 1958 r. otwiera on już tylko jedną drogę dla zbłąkanych: powrót do marksizmu-leninizmu. Sprawę rewizjonizmu widział on już zresztą jako w znacznej

mierz u regulowaną. „Po-rewizjonistyczny czad”, jak to określił, tkwi tylko jeszcze w pewnych ośrodkach (pisarze, literaci, wyższe uczelnie, profesorowie, ludzie nauki).

Po zacieśnieniu kręgu dokoła tych, których uważać można jeszcze za rewizjonistów, Gomułka sformułował stwierdzenie, będące zarazem groźbą: *„O tym czy się jest razem z partią, czy razem z sekciarską grupką niezadowolonych, decyduje praktyczne postępowanie”.*

Czystka w partii

W dalszej części swego referatu Gomułka mówił o rezultatach akcji weryfikacyjnej w PZPR. Weryfikacja ta miała na celu odbudowę i wzmocnienie partii, rozbitej przez wydarzenia w 1956 i w 1957. Cyfry podane w referacie Gomułki, zasługują na uwagę. W wyniku weryfikacji ubyło z PZPR 206.237 osób, to znaczy 15,5% ogółu członków i kandydatów. Z tego 86% skreślono z ewidencji. Byli to ci, których uznano za „elementy przypadkowe”. Pozostałe 14% to „usunięci”, którzy zostali „wykluczeni za różnego rodzaju wykroczenia”. Wśród usuniętych Gomułka wymienił liczbę 792 wykluczonych „za szerzenie poglądów i działalność sprzeczną z linią partii”. Byli to rewizjoniści. Żeby nadać temu bardziej „hańbiący” charakter, Gomułka zaraz po rewizjonistach wymienia, że 5884 osoby wykluczone zostały przez specjalny zespół do walki z nadużyciami. Kto to są ci „usunięci” z partii (w sumie około 30.000 osób)? Podany przez Gomułkę skład zawodowy jest interesujący:

47,8%	— robotnicy
4,2%	— robotnicy rolni
15,1%	— chłopci
26,6%	— pracownicy umysłowi
6,3%	— inni.

Rezultaty weryfikacji nie zadawałają Gomułki. Wypomina, że w organizacjach partyjnych aparatu państwowego, a przede wszystkim w „środowiskach twórczych” (to znaczy wśród dziennikarzy, literatów, artystów itd) weryfikacja „...cierpiła w poważnej mierze na brak pryncypialności i zdecydowania walki z elementami przypadkowymi”, że „było tam niemało pobłażliwości, ugodowości i liberalizmu”, że „przy wszystkich osiągnięciach cechował całą akcję weryfikacji (słabość) brak pogłębionej pracy ideologicznej”. Zauważmy, że zarzuty słabości i liberalizmu Gomułka widzi w niedostatecznie ostrej czystce w środowiskach twórczych, a nie wśród pijaków czy złodziei. Ci widać mogli udowodnić odpowiedni poziom ideologiczny. Od paru lat wybuchają jedna po drugiej afery o nadużycia gospodarcze, w które zamieszani są zawsze „zweryfikowani” w 1958 r. członkowie PZPR. Akcja weryfikacji miała określony cel: przygotowanie do III zjazdu PZPR na wiosnę 1959 roku. W referacie swym Gomułka podaje, że jeden delegat na zjazd wypadnie na 750 człon-

ków partii. Ma to dać około 1450 delegatów, z czego około 1250 wyłonionych przez wojewódzkie konferencje partyjne, a 200 przez zakładowe konferencje partyjne wielkich zakładów pracy. Nie zatrzymujmy się zbyt długo na tej nie grzeszącej ścisłością matematyce. Została wypracowana po to, aby zapewnić wyłonienie przez zjazd takiego Komitetu Centralnego, jakiego chciał Gomułka.

„Zwinięte skrzydła” partii

W dyskusji nad referatem w charakterze ideologa nowej linii wystąpił prof. Adam Schaff. To on uzasadniał konieczność „zwinięcia skrzydeł” partii, to znaczy przejście na pozycje centryzmu, przez odcięcie się od dogmatyzmu i rewizjonizmu. W rzeczywistości przemówienie jednak dotyczyło przede wszystkim rewizjonizmu i walki z rewizjonizmem. Była więc w jego wystąpieniu mowa o „tych którzy załamali się w swojej wierze do socjalizmu”, i przeżywają obecnie „nowy krach duchowy”, gdyż „przede wszystkim widzą coraz wyraźniej swą niemoc”, a prócz tego błędności ich myślenia dowodzi „rozwój wydarzeń międzynarodowych, m.in. wydarzenia na Środkowym Wschodzie i we Francji” (2).

Schaff rozwija myśl Gomułki o niezadawalającej sytuacji „w środowiskach twórczych”, atakując już od frontu czasopisma. Jego zdaniem sytuacja w redakcjach jest „otwarta”. Wprawdzie koła dziennikarskie „lepiej słuchają niż przed rokiem”, ale to nie wystarcza. Bo czyha wróg klasowy. Jego linię postępowania charakteryzuje „stawka na rewizjonizm” wyraźna chociażby w artykułach paryskiej „Kultury”, gdzie np. Mieroszewski pisze „szukajmy w Polsce Dżilasów”. Po roztoczeniu tych groźnych perspektyw Schaff uspakaja: „osiągnęliśmy pewne sukcesy w walce z rewizjonizmem”, przypomina że „akcja weryfikacyjna w sensie akcji ideologicznej trwa”, apeluje o „powołanie komisji ideologicznej Komitetu Centralnego z 15-20 towarzyszy” szykując się do roli komentatora nowej linii partii o „zwiniętych skrzydłach”.

Schaff wskazuje na „terror moralny określonego środowiska” (to znaczy rewizjonistów), dając praktyczne wytyczne jak wprowadzenie „kontroli wyjazdów naukowych zagranicę”.

Rąbanka

Atak Schaffa na rewizjonizm jest arcydziełem krasomów-

(2) Nie wiadomo czy Schaff miał tu na myśli wydarzenia lata 1958 r. to jest dojsie do władzy de Gaulle'a w marcu 1958 i rewolucję w Iraku (wylądowanie „marines” amerykańskich w Libanie), czy też i dawniejsze, np. sprawę Sueską. Prawdopodobnie słuszniejsza jest pierwsza hipoteza: „ofensywa imperializmu” wymaga zacieśnienia szeregów partyjnych i likwidacji rewizjonizmu”.

stwa politycznego w porównaniu z argumentami innych uczestników tego samego Plenum w ataku na rewizjonizm. Było tam wszystko. Taki Wudzki np., który w denuncjatorski sposób wręcz palcem wskazuje kogo należy likwidować: mówi o opowiadaniach Rudnickiego (drukowanych w „Świecie”) czy o Andrzejewskim („Niby gaj” umieszczony w „Nowej Kulturze”). W ton denuncjatorski uderzył też Putrament (który przemawiał jeszcze przed Schaffem). Dla niego manifestacje studentów w październiku 1957 były „jakąś próbą ruchawki w Warszawie”. Domaga się by Ministerstwo Kultury opracowało plan „nadrobienia likwidatorskich strat” ostatnich dwóch lat.

Putrament ma też inne sympatie niż Schaff. Zdaniem Putramenta „neopozytywizm jako postawa życiowa nie zawsze jest do odrzucenia”, zaraz się jednak tłumaczy: „kiedy neopozytywistą jest przeciwnik to dobrze, zbliża się do nas — ale kiedy neopozytywistą staje się członek partii — to niedobrze. Bo znaczy to, że przeszedł on na pozycje minimalistyczne.

Charakterystyczne jest, że na Plenum tym nie padł ani jeden głos w obronie rewizjonizmu. Natomiast głośno grzmieli przedstawiciele drugiego, bynajmniej nie „zwiniętego” skrzydła: dogmatycy. Rumiński wystąpił z atakiem na Schaffa, a Józwiak stwierdzał, że „rewizjonizm współczesny jest głównym niebezpieczeństwem w ruchu rewolucyjnym, szczególnie zaś u nas”, „rewizjoniści występują przeciwko czterdziestoletniemu dorobkowi klasy robotniczej” i nastają „na naszą przyjaźń ze Związkiem Radzieckim”.

Sprawy gospodarcze

Obraz dyskusji na XII Plenum byłby niekompletny bez przedstawienia w skrócie starcia się poglądów na tematy gospodarcze.

Tu znów trzeba przypomnieć, że w konsekwencji wypadków poznańskich, a następnie linii politycznej, przyjętej na VIII Plenum w październiku 1956, doszło do pewnej poprawy bytu ludności. Rozluźniono trochę nacisk śruby wyciskającej wszystko z ludności dla realizacji planu 6-cioletniego. Zwolniono trochę tempo inwestycji w przemyśle ciężkim. Rzucono na rynek wewnętrzny większą ilość towarów konsumpcyjnych. Było jednak tego wszystkiego zbyt mało. W konsekwencji dokonanych podwyżek płac siła nabywcza ludności wzrosła. (Gomułka w swym referacie wstępnym na XII Plenum podał, że od 1 stycznia 1956 do 1 września 1958 decyzje podwyżek płac zwiększyły fundusz płac o 15.901,5 milionów złotych). Takim wzrostowi siły nabywczej nie odpowiadała dostateczna podaż towarów. Rozpoczęto więc „drenowanie rynku” przez zwiększenie importu. W 1957 r. eksport spadł o 1% w porównaniu z 1956, a import zwiększył się o 13%.

Sytuację płatniczą ratowała pożyczka amerykańska i inne kredyty otrzymane w państwach zachodnich. Ludność, która od lat nie widziała niektórych towarów, kupowała wszystko, nie oglądając się na ceny. Ułatwiało to „drenaż”. Decydujące znaczenie miała jednak zmiana polityki rolnej. Chłopi po 1956 r., po podwyżce cen skupu, zmniejszeniu dostaw przymusowych i odsunięciu na czas dalszy widma kolektywizacji, zabrali się znów do produkowania. Ludność miast miała więcej pieniędzy na kupno żywności. Chłopi kupowali więcej artykułów przemysłowych, przyczyniając się do wzrostu produkcji przemysłowej. Państwo drogą sprzedawało kupione na kredyt zagranicą produkty, m.in. potrzebne chłopom dla celów hodowlanych zboże amerykańskie.

Okolo połowy roku 1958 opanowane zostały przejawy inflacji. Przed XII Plenum postawione zostało zadanie przedyskutowania cyfr kontrolnych planu siedmioletniego, to jest planu na ostatnie dwa lata rozbitej przez wydarzenia 1956 roku pięcioletki 1956-1960, a więc na lata 1959-1960 oraz planu na okres 1961-1965.

Główna część dyskusji na XII Plenum dotyczyła w rezultacie spraw gospodarczych. Właśnie jednak te sprawy przedstawiały interesujące tło dla postawy wobec rewizjonizmu.

Niektóre przemówienia były zupełnie bezbarwne politycznie, jak np. wystąpienie Machno, który mówił o przemyśle stoczniowym. Odmienne przemawiał Matwin, który postulował zwiększenie „wydajności pracy partyjnej” i poprowadzenie „kampanii zjazdowej” (to znaczy przygotowań do III zjazdu partii) „jako ofensywy”. A dalej poruszył sprawę, która zawiśnie nad całością dyskusji na XII Plenum, mianowicie że „ciekawe rzeczy dzieją się w Chinach”, gdzie zaznacza się „szybki rozwój wykorzystania istniejącej energii społecznej”.

Zasadnicze exposé co do planu rozwoju w latach 1959-1965 miał Jaroszewicz. Przytaczał cyfry charakteryzujące dotychczasowe rezultaty produkcji. I tłumaczył się... tłumaczył... że zadania na lata 1959-1965 takie skromne! (Jak bardzo blade musiały się wydawać admiratorom „Wiekiego Skoku” Mao-tse Tunga). Zdaniem Jaroszewicza *zahamowanie wzrostu stopy życiowej musiałoby zaciążyć, tak jak już to raz miało miejsce, na tempie postępu gospodarczego, ale może uda się zadania podwyższyć w czasie realizacji*. Tym stwierdzeniem, że trzeba rozpocząć walkę o przekroczenie zadań natychmiast, otworzył Jaroszewicz drogę dla ataku ze strony „twardych”. Z surową krytyką założeń planowych na lata 1959-1965 wystąpił Szyr. Jego zdaniem *tempo rozwoju w ciągu tych 7-miu lat może i powinno być szybsze*. Co więcej, jego zdaniem, *szkodliwa jest przesadna i jednostronna krytyka okresu 1949-1953*” (krytyka ta była jednym z punktów wyjściowych dla października 1956 r.).

Obrona stanowiska okresu „błędów i wypaczeń” brzmi już inaczej jesienią 1958 r. niż w czasie dyskusji na IX czy X Plenum. Tu wszyscy czują już, że odwraca się karta. Szyr może szermować na zasadzie postanowień narady partij komunistycz-

nych na jesieni 1957 r. koniecznością zwiększenia wysiłku wobec istnienia „problemu współzawodnictwa świata socjalistycznego i świata kapitalistycznego”, mówić o przykładzie zawartym w „cyfrach chińskich”, czy naukach wynikających ze „zmiany systemu zarządzania gospodarką w ZSRR”, domagać się w rzeczywistości powtórzenia tych samych błędów, które już raz doprowadziły do załamania się planu 6-cioletniego. O poprawie bytu ludności ani słowa. Szyra poprze gorąco Zenon Nowak. Ale, o dziwo, polemizować z nim będzie Gede, który wtedy był ambasadorem w Moskwie. Mówił on o „słusznej ostrożności” planów gospodarczych na lata 1959-1965, przeciwko „napinaniu zadań”, o „zwrocie dokonany na VIII Plenum. Posunie się nawet do zarzucenia demagogii Rumińskiemu. Także Minc, który bolał nad „zamętem w ekonomii” twierdzić będzie, że „lepiej przekraczać plany, niż dopinać” i „dociskać — bo guziki odpadną”. Nawet katowicki „cmokier” partyjny, Gierek, który jak zawsze, niezmiennie, aż po ostatnie swe wystąpienie w lipcu 1962 roku, twierdził, że „na Śląsku zaznacza się skupienie klasy robotniczej i mas pracujących wokół partii”, zdobył się jeszcze wówczas na stwierdzenie, że „linia partii, ustanowiona na VIII Plenum, odpowiada masom”, mówił też, że postanowiona redukcja liczby zatrudnionych w niedostatecznym stopniu dotyczyła administracji, gdzie wciąż jeszcze są wielkie przerosty personalne.

Kółka rolnicze

XII Plenum odbywało się w okresie próby krystalizacji poglądów partii na politykę rolną. Jest to jedyna dziedzina, w której pozostało coś z głoszonej w okresie Października „polskiej drogi do socjalizmu”. Narzędziem polityki rolnej PZPR są kółka rolnicze. Na II Plenum KC PZPR, po III Zjeździe PZPR w 1959 r., wyposażono kółka rolnicze w znaczne środki finansowe. Pomysł, by podatki płacone przez wieś wracały w postaci sum, którymi kółka rolnicze będą mogły operować na cele inwestycyjne, a w pierwszym rządzie na zakup maszyn, był jednym z nielicznych oryginalnych rozwiązań rządów Gomułki.

Ten typ polityki rolnej wydawał się jednak podejrzany zwoleńnikom „twardych” rozwiązań. Szyr, Rumiński czy inni wypowiedzieli się za przyspieszeniem kolektywizacji wsi. W dyskusji na XII Plenum eksperymencie kółek rolniczych bronił Kraško: *jakkolwiek odradzanie się prawicowych tendencji w kółkach rolniczych jest ciągle aktualne, i o tym niebezpieczeństwie trzeba stale pamiętać, to jednak nie przekreśla ono szerokich możliwości wykorzystania tej organizacji dla naszych socjalistycznych celów*.

Piękną, stalinowską, drętwą mową mówił o sprawach wsi Klecha: „W kółkach rolniczych trwa walka klasowa”.

Odprawę „twardym” dał Ochab. Zwrócił on uwagę na wzrost wydajności w PGR'ach. Podkreślił pomoc dawaną biedocie wiejskiej.

Całokształt stanowiska w sprawach gospodarczych scharakteryzował Jędrzychowski. Mówił o potrzebie *rozwijania produkcji i podwyższania dobrobytu mas 'bez Poznaniów', itd.*

Podsumowania ostatecznego dokonał Gomułka. Sprowadzało się ono do: sztywnej polityki kulturalnej, zapowiedzi represyjnego stosunku do rewizjonizmu i zupełnego braku „pobłażliwości” w tej dziedzinie. Poparł jednak stosunkowo rozsądne tempo inwestycji i trzymanie się powolnego kursu przebudowy socjalistycznej wsi. (Co miało się również później wyrazić, na II Plenum, w 1959 roku, w poparciu materialnym polityki kółek rolniczych).

Ale już wtedy, w tym przemówieniu podsumowującym, powiedział zdanie najważniejsze. Mówił on dosłownie: *Państwo nasze jest państwem klasowym. Jest aparatem przemocy w stosunku do sił wrogich, antysocjalistycznych. Środków administracyjnych my się nie wyrzekamy*

Po okresie „błędów i wypaczeń” — era „błędów i wybaczeń”

No i nie wyrzekali się.

Zamordyzm w redakcjach i domach wydawniczych. Spadek liczby czytelników. Naciski w dziedzinie nauki. Utrudnianie wyjazdów zagranicę i korzystania ze stypendiów. Trudności robiono Kościołowi. Gomułka, który jako działacz partyjny nie wierzył zapewne przed wojną, w skuteczność działania „granatowej policji” sanacyjnej przeciwko Pierwszomajowym pochodom, wysłała teraz „niebieską milicję” by rozpędzała kobiety broniące krzyża w Nowej Hucie czy procesyj.

Co roku śruba przykręcana była bardziej. Po III Zjeździe koniec trosk o poziom życia ludności. Ucieczka Monata we wrześniu 1959, kryzys „mięśny” (pochodzący ze złego obliczenia komisji planowania zapotrzebowania na mięso, wielkości jego produkcji, ilości środków pieniężnych w obiegu itd.). Otwierają się tedy wrota dla zwolenników „kursu chińskiego”: Szyra, wywożonego na taczkach w 1956 roku Tokarskiego, czy też specjalisty od kagańca na oświatę — Tułodziejskiego. Powróciły obyczaje z okresu planu 6-cioletniego. W roku 1962 i 1963 dojdzie znowu do konieczności zmniejszenia tempa inwestycji, bo wszystko groźnie trzeszczy.

Staliniści wrócili do instancji partyjnych i do komitetów powiatowych czy wojewódzkich. Z rzadka luzowali ich nowi technokraci — przedstawiciele młodego pokolenia.

Nie wolno było krytykować stalinizmu aż do XXII Zjazdu KPZR, który był wielką niespodzianką dla polskich i niepolitycznych zamordystów. W każdym razie to w Moskwie ukazują się, w miesięcznikach literackich powieści czy opowiadania, kryty-

kujące stalinizm, jak np. „Tiszina” Bondarewa. Książka Wygodzkiego, skonfiskowana w 1957 roku, do tej pory nie może się ukazać.



Czy w Polsce są rewizjoniści? Może gdzieś pod ziemią.

W Polsce jest jednak społeczeństwo, które ma tradycje dążenia i walki o wolność. Najbliższa przyszłość może przynieść nowe zmiany, które będą zaskoczeniem dla neo-stalinistów, tak jak zaskoczeniem był okres Poznania.

Książki

Skład Płyt

Skład Nut

KSIĘGARNIA “ ZWĄZKOWCA ”

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

ma na składzie WIELKI wybór

zaopatrzonej jest w DUŻY wybór

POLSKICH KSIĄŻEK

POLSKICH PŁYT
GRAMOFONOWYCH

Polecamy polskie książki:

produkowanych

w kraju i za granicą.

- do nabożeństwa
- powieści
- techniczne
- medyczne
- rolnicze i hodowlane
- podręczniki szkolne.

— Muzyka

— Śpiew

— Kolędy

— Monologi i recytacje

Utwory polskich kompozytorów
w wyk. polskich artystów.

Piszcie po BEZPŁATNE katalogi. Wykonujemy zamówienia pocztą
Przyjmujemy abonament na „Kulturę” —
Posiadamy na składzie wszystkie książki wydane przez
Instytut Literacki w Paryżu

Georges Bataille

We wrześniu 1956 brałem udział w międzynarodowym spotkaniu redaktorów miesięczników literackich w Zurichu. Georges Bataille był tam obecny jako członek delegacji „Lettres Nouvelles”. Jeden z uczestników sowieckich, Aleksander Czakowski, wówczas redaktor naczelny „Inostrannej Literatury”, zapytał kilku z nas kim jest Bataille. Odpowiedzieliśmy (bodaj z Jean Duvigneaud i Jerzym Lisowskim), że jest to jeden z pisarzy współczesnych, których najwyżej cenimy. W kilka godzin później znalazłem się przy stole między Bataille i Czakowskim. „Monsieur Bataille — zwrócił się do niego Czakowski, pewien już, że ma do czynienia z literacką sławą — jakie jest pana zdanie o *Bonjour Tristesse*? Georges Bataille zarumienił się i odpowiedział cicho, że nie miał nigdy sposobności przeczytania powieści Françoise Sagan. Pisarz sowiecki spojrział na niego ze zdumieniem. Widziałem jak załamuje się jego koncepcja zachodniej literatury i jej wewnętrznej skali wartości. Jeśli zaczynam ten szkic o zmarłym wielkim pisarzu od drobnej anegdoty, to dlatego, że rzuca ona pewne światło na fakt szczególnie — brak jakiegokolwiek proporcji między wagą dzieła Bataille’a, która jest olbrzymia, i jego prestiżem, olśniewającym, ale ograniczonym zapewne do kilku tysięcy czytelników rozrzuconych po świecie.

Georges Bataille mówi językiem, który przenika granice tego co jest dotychczas dziedziną milczenia, i co przedmiotem komunikacji stanie się być może dopiero w odległej przyszłości. Najbanalniejsi „moralisci” biadają dziś nad dysproporcją między postępowaniem w wiedzy o świecie i postępowaniem w wiedzy o człowieku. Ale najbardziej zawzięte prawa świata fizycznego, raz „odkryte” dają się zastosować. Nawet jeśli nie „rozumiemy” Einsteina, energia atomowa narzuca go nam w sposób oczywisty. Inaczej ma się rzecz z poznaniem człowieka. Od strony religii — poznanie to ogranicza do kolein określonych tradycji pytanie, jakie człowiek zadaje swej śmierci. Od strony filozofii — najowocniej wygląda eksploracja dziedziny pracy i skutecznego działania.

Bataille powiedział dumnie o swoim „doświadczeniu”, że „kładzie ono kres całej dyskusji o egzystencji religijnej, że posiada ono galileuszowską wagę przewrotu w procesie myślowym, że zastępuje ono zarazem tradycję kościołów i filozofię”.

„Jestem ten, który jest” — oto jedyne określenie, które dał Jehowa o sobie samym (Exodus, IV, 14). Nawet jeśli Bóg umarł, „to co jest” istnieje — dylemat tautologiczny, ale tym niemniej przerażający. Człowiek broni się przed nim, chcąc uniknąć cierpienia, podstępnie utożsamiając się z całością wszechświata, sądząc o każdej rzeczy jak gdyby sam nią był, podobnie jak wbrew temu co wie, każdą komórką swego ciała snuje rojenia o swej nieśmiertelności. Tymczasem, pisze Georges Bataille, „nie jesteśmy wszystkim, co więcej, istnieją dwie tylko pewności na tym świecie — ta właśnie i to, że umrzemy”. Wystarczy przeżyć te dwie pewności, aby znaleźć się w pustce, w której nie można oddychać. Ale rzadko dziś się zdarza, by mogły one być głęboko przeżyte: „cywilizacja”, „humanizm”, są fabrykami odtrutek. Cechą zasadniczą Bataille’a jest, że stawiał on czoło temu światu, który jest dany człowiekowi, jak gdyby był on jemu postawioną zagadką. „Całe moje życie — pisze on w „L’Expérience Intérieure” — jego chwile dziwaczne, rozwiązałe, podobnie jak moje ciężkie medytacje — przeszło nad rozwiązaniem zagadki”. Dzieło Bataille’a wydaje mi się mostem rzuconym pomiędzy pradawną przeszłością, chwilą, w której człowiek po raz pierwszy odczuł „paniczny strach” (w której przestał być zwierzęciem) i przyszłością równie odległą (i niepewną), w której człowiek mógłby *dostąpić świadomości siebie samego*, odzyskując pełną, nieograniczoną suwerenność. Innymi słowy, dzieło Bataille’a należy wpiąć między pierwszym pytaniem i ostateczną odpowiedzią.

Śmierć Boga pozostawiła nietkniętą dziedzinę sakralną życia. Naszym światem codziennym jest świat pracy i zakazu — świat ciągłości i podporządkowania. Przeciwstawia mu się świat *transgresji*, występku: świat dzieciństwa, erotyzmu, doświadczenia mistycznego, zabawy — świat święta i suwerenności.

Georges Bataille odczuwał fascynację obu tych światów. Nie ulega wątpliwości, że *moment suwerenny* — w którym chwila obecna nie ma związku z chwilami, które po niej nastąpią (i w którym grają wartości irracjonalne — zbytek, bezużyteczność, „dziecinnada”) pociąga go w sposób bardziej *błyskawiczny*. Ale świat „Dobra” — ufundowany na trosce o wspólną korzyść, która polega w pierwszym rzędzie na uwzględnieniu przyszłości, wydaje mu się nie do odparcia. Waga dzieła Bataille’a polega być może właśnie na tej równowadze między światem pracy i zakazu i światem transgresji. Czujemy oczywiście, że autor „L’Histoire de l’Oeil”, „L’Expérience Intérieure”, „Madame Edwar-da” (1) jest bratem Sade’a, świętego Jana od Krzyża, Emily

(1) Najbardziej skandaliczna książka naszych czasów, wydana pod charakterystycznym pseudonimem „Pierre Angélique” z przedmową Bataille’a, jest w istocie jego własnym dziełem.

Bronté, Blake'a. Ale zawarł on również porozumienie z Heglem, z Marksem, z Keynesem.

Jedyny pomiędzy obywatelami świata transgresji, przyznaje on, że „tylko działanie posiada wszelkie prawa”: przyznaje się do winy. Ale jest to wyznanie szczególnie i myślę, że te linie, które poświęcił Kafce stosują się w pierwszym rzędzie do niego samego:

„Nie ma niczego czemu mógłby świadczyć, w imię czego mógłby mówić: to czym jest (a jest niczym) *jest* w tej mierze jedynie, w jakiej potępia go działanie skuteczne; jest on niczym innym jak odmową skutecznego działania. Oto dlaczego ugina się on nisko przed autorytetem, który go zaprzecza (choć sposób w jaki się ugina gwałtowniejszy jest od poklasku); ugina się kochając i umierając i przeciwstawiając milczenie miłości i śmierci temu co mogłoby go doprowadzić do ustępstwa, dlatego, że owo *nic*, które mimo miłości i śmierci nie może ustąpić jest suwerennie tym właśnie co jest”.

„Wszystko wskazuje na to — pisał André Breton — że istnieje pewien punkt umysłu, z którego życie i śmierć, rzeczywistość i wyobraźnia, przeszłość i przyszłość, to co można wypowiedzieć i to co pozostaje niewypowiedzialne przestają być doznawane jako sprzeczność” (2). Dodajmy do listy Bretona Dobro i Zło, Ból i Radość, a ów „punkt umysłu” okaże się uprzywilejowanym terenem eksploracji Bataille'a. Stwierdza on to sam: „Istnieje punkt, w którym musimy pojąć całość danych myślowych, całość danych, których jesteśmy stawką na świecie”. Jeśli przeczuwamy, jeśli przynajmniej dopuszczamy możliwość istnienia takiego punktu, to dzięki Blake'owi i Rimbaud, dzięki mistrzowi Eckhardtowi i św. Teresie z Awili: poezja gwałtowna i wyklęta i doświadczenie zwane mistycznym wydają się nań wskazywać. Oraz erotyzm, o którym Bataille pisał: „Moment erotyczny jest najbardziej intensywny (z wyjątkiem, jeśli kto chce, doświadczenia mistyków). Dlatego też moment ten znajduje się u szczytu ludzkiego ducha”. Trzeba, myślę, podkreślić tutaj, że u tego szczytu myśl, wyobraźnia nawet, są bezsilne bez wkładu przeżytego doświadczenia.

Filozof, ekonomista, socjolog, krytyk literacki, historyk sztuki, poeta — Georges Bataille był w pierwszym rzędzie eksploratorem życia i śmierci: poza jego niezrównaną erudycją, poza jego ścisłą myślą, czujemy w każdej chwili, że (jak to sam wyraził) „doświadczenie jest samo w sobie autorytetem, ale za autorytet trzeba pokutować”. Jego „L'Expérience Intérieure” (Gallimard 1954) jest dziennikiem podróży jednej z najciekawszych ludzkich przygód: Bataille odkrywa w nim „nieznane ziemie” ludzkiego bytu, rozszerzając zdobycze swych poprzedników: Kierkegarda, Nietzschego.

To doświadczenie pozostało bazą jego poszukiwań we wszy-

(2) Drugi manifest Nadrealizmu (1930).

stkich dziedzinach: literatury, ekonomii politycznej, erotyzmu, sztuki.

„La Littérature et le Mal” (Gallimard 1957) jest zbiorem szkiców, w których autor szuka samego sensu literatury. Zdaniem Bataille'a, literatura jest bądź sprawą zasadniczą, bądź niczym. Jeśli jest sprawą zasadniczą, to pozostaje oczywiście związana z transgresją, jest wyrazem Zła, które jedynie posiada wartość suwerenną. Ale ta koncepcja nie jest „amoralna”: wymaga raczej „nadmoralności”, którą Bataille określa następująco: „istota ludzka nie jest poświęcona Złu, ale winna, jeśli może, nie dać się zamknąć w granicach rozumu. Człowiek winien zrazu przyjąć te granice, uznać potrzebę kalkulacji interesu. Ale uznając granice, uznając potrzebę, winien wiedzieć, że tkwi w nim część ostateczna, część suwerenna, która ich uznać nie może”.

„La Part Maudite” (Editions de Minuit, 1954) jest z pewnością najoryginalniejszą książką o ekonomii politycznej jaka kiedykolwiek została napisana. Najściślejsze, najbardziej zaawansowane teorie gospodarcze, masa zebranych przez Bataille'a statystyk, wnikliwa analiza historyczna pierwszych lat powojennych służą za podbudowę absolutnego spojrzenia na działalność ekonomiczną człowieka. Produkcja i użycie bogactw są w „La Part Maudite” rozpatrywane jako jeden z aspektów ziemskiej działalności, z kolei traktowanej jako fenomen kosmiczny. Bataille nie zdolny jest myśleć inaczej niż w odniesieniu do zagadnień podstawowych i ostatecznych. „Istoty, którymi jesteśmy — pisze on — nie są dane raz na zawsze, wydają się podlegać wzrostowi energii. Człowiek jest jedyną istotą, której energia przewyższa zwykłe problemy *przeżycia*, istotnego celu i racji bytu. Ale podlegając wciąż rozrastaniu się, istota ludzka traci swą autonomię, podporządkowuje się temu czym będzie w przyszłości, w odniesieniu do wzrostu swych bogactw. Z absolutnego punktu widzenia, ten wzrost zależy od celu, którym byłaby chwila czystego wydatku. Ale tu właśnie przejście jest najtrudniejsze. Opór stawia świadomość, zawsze poszukująca *obiektu* nabycia, *czegoś*, zamiast czystego wydatku, który jest niczym. Chodzi w istocie rzeczy o dojsście do chwili kiedy świadomość przestanie być świadomością *czegoś*. Innymi słowy, uświadomienie sobie ostatecznego znaczenia chwili, w której wzrost (nabycie *czegoś*) przemieni się w natychmiastowy wydatek, jest równoznaczne z uzyskaniem *pełnej świadomości siebie*, to znaczy świadomości *pozbawionej już obiektu* (poza czystym bytem wewnętrznym, który nie jest rzeczą”).

W swej książce „L'Erotisme” (Editions de Minuit, 1957) wychodzi Bataille z równie *zawrotnego* punktu widzenia: „Nie twierdzą, że erotyzm jest problemem najważniejszym. Praca jest problemem bardziej nagłym. Ale jest to problem na miarę naszych środków. Podczas gdy erotyzm jest problemem problemów. Jako istota erotyczna, człowiek jest dla siebie samego problemem. Erotyzm jest w nas częścią problematyczną”.

Nic dziwnego, że Bataille był zawsze obecny w samym sednie zagadnień współczesnych. Ale sedno zagadnień nie jest nigdy zbieżne z ośrodkiem działania: stąd działalność Bataille'a wydawała się marginesowa, a nawet często tajna, konspiracyjna. Bliżsi nadrealistów, widzi on pierwszy sprzeczności wewnętrzne grupy i gromadzi wokół siebie i założonego w r. 1928 miesięcznika „Documents” pierwszych „heretyków” nadrealizmu, którzy do końca będą go uważać za mistrza: G.-H. Rivière, Robert Desnos, Michel Leiris, Georges Limbour, André Masson, Raymond Queneau... Bataille należy do pierwszej grupy intelektualistów francuskich, która przed wojną już odczuwa fascynację komunizmu. Zakłada on wówczas z Borysem Suwarinem antyinstytucjonalne „Koło komunizmu demokratycznego”. Wpływ Bataille'a na powojenne życie intelektualne francuskie był ogromny, on to bowiem wprowadził również przed wojną Hegla i Marksa do francuskiej myśli filozoficznej, torując w ten sposób drogę dla Sartre'a. W piśmie „Critique Sociale” wykłada on (wraz z Raymond Queneau) „Podstawy Dialektyki Hegeliańskiej”. Wkład Bataille'a do współczesnej socjologii był równie żywy i oryginalny, i pozostaje do dziś okryty pewną aurą tajemnicy. Nikt jeszcze nie napisał historii przedwojennego „Collège de Sociologie”, założonego przez Bataille'a, które miało cechy tajnej organizacji, a z którego wyszli Claude Lévi-Strauss, Jules Monnerot, Roger Caillois.

Georges Bataille był wreszcie filozofem tej trudnej i surowej szkoły współczesnej literatury, dążącej do celu, o którym wie, że nie może go osiągnąć: wypowiedzenia spraw niewypowiedzialnych. Wpływ Bataille'a na Pierre Klossowskiego, na Maurice Blanchot, na Becketta, nie ulega wątpliwości. Sformułował on sam trudny dylemat tej literatury pisząc słowa, które trudno jest odczytać dziś bez wzruszenia: „Chwilą najwyższą jest milczenie, ale, w milczeniu, zanika świadomość...”.

K.A. JELEŃSKI

Wystawy polskie w Londynie

Mateusz Grabowski oddając cztery lata temu do dyspozycji Zrzeszenia Plastyków Polskich w Wielkiej Brytanii swoją piękną galerię nie myślał o historii, a już z pewnością nie zdawał sobie sprawy z tego, że tworzy legendę artystyczną. Galeria ta stała się miejscem wystaw przede wszystkim malarzy polskich i to zarówno emigracyjnych jak krajowych. Posiadanie galerii w Londynie jest dla artysty rzeczą pierwszorzędną wagi.

Czwarta z kolei doroczna wystawa Plastyków Polskich w Wielkiej Brytanii, która rozpoczęła tegoroczny sezon „Grabowski Gallery” odbyła się pod nazwą „Tension and Contrast”. Znając wybujałe indywidualności i wrodzony wstręt do form organizacyjnych członków zrzeszenia (z tych samych powodów zrzeszenie tradycyjnie nie posiada prezesa) mało kto wierzył, że podjęta inicjatywa dorocznych wystaw zbiorowych przyjmie się i utrzyma. Praktyka wykazała co innego: otóż te artystyczne demonstracje stają się z każdym rokiem bardziej okrzepłe, bardziej dojrzałe i bogatsze w talenty. Wystawa posiadała wszystkie cechy imprezy ambitnej i interesującej. Prawie każda z wystawionych prac posiadała znamiona wysiłku malarzkiego, bez łatwizn i płytyzmu, a szereg eksponatów osiągał stopień działania estetycznego, który zwykliśmy określać mianem doznania malarzkiego.

O ile chodzi o ocenę osiągnięć indywidualnych na tym zbiorowym pokazie — to trzeba podkreślić, że owe „sensacje malarzkie” należały do tych kilku malarzy, których talent, pasja malarzka, wrażliwość czy nawet praca zawsze wyróżniają. Tak się jakoś składa, że jak dotąd są to ciągle te same nazwiska rok rocznie wyławiane przez krytyków angielskich i mozolnie przepisywane z katalogów. Tych nazwisk postanowiłem tutaj nie wymieniać. Każdy z uczestników wystawy będzie mógł przynajmniej mniej lub bardziej, że właśnie jego mam na myśli, co nie jest rzeczą najgorszą, a zainteresowanych odsyłam do nieocenionej sekretarki stowarzyszenia Janiny Baranowskiej, która zresztą wystąpiła w tejże galerii z własną wystawą, natychmiast po wystawie Polskich Plastyków w Wielkiej Brytanii.

Na wystawę Janiny Baranowskiej składało się 31 obrazów olejnych i 9 kompozycji wykonanych w technice ceramicznej. Baranowska od lat z powodzeniem uprawia malarstwo abstrakcyjne, a ściślej mówiąc abstrakcyjny ekspresjonizm. Malarstwo Baranowskiej omawiałem i analizowałem z okazji jej pierwszej wystawy u Grabowskiego. Jej sztuka malarzka od tamtego czasu niewiele się zmieniła; robi ona ciągle wrażenie szalonego ataku na niezamalowaną przestrzeń. Wielkie nieforemne plamy barwne bombardują powierzchnię obrazu, z niesamowitą energią układają się w arabeski luźne i nieobowiązujące. Kolor jest nasycony i duże zróżnicowanie waloru. Bardzo często na kolorowym podłożu czerń dzikiego ornamentu. Technika, jaką ta malarka się posługuje nie przebiera w środkach. To też w jej obrazach odnajdziemy płaszczyzny malowane grubo i chropawo, położone *in pasto* obok miejsc zupełnie gładkich zaledwie przelaserowanych, jak też zgaszone matowe uderzenia tuż obok soczystych i lśniących plam nasyconego koloru. Dla Baranowskiej elementy dynamizmu i siły są ciągle jeszcze wartościami najistotniejszymi. Wprawdzie energia i moc zawsze chodzą w parze z młodością, ale nie sądzę by ta utalentowana artystka musiała się wpięć w postarzać, aby móc gromkie okrzyki wojenne zamienić na śpiew.

Kompozycje ceramiczne Baranowskiej to już świat inny;

wprawdzie istnieje tu ta sama niesforna wizja form, zawijasów i plam płynnych, bardzo pokrewnych jej malarstwu, lecz skromniejsze w wymiarach te kompozycje są bardziej kameralne. Koloryt przy tym jest tutaj już czystą poezją; ściszone i wyszukany. Dziwne szarżyny, przełamane brązy, zimne czernie i róże, to wprost bajka. Powierzchnia przy tym jest bardzo szlachetna, w miarę równa i bardzo ceramiczna.

Prawie w tym samym czasie, w Galerii o frapującej nazwie „New Vision Centre”, wystawiała swoich siedem obrazów *Olga Karczewska*. Tutaj znowu mamy do czynienia z polską malarką-kobietą, która ukochała siłę, jak zauważył to krytyk angielski. Te pół abstrakcyjne, fantastyczne gąszcza leśne i gałęzie wyrażone bogatym kolorem są jakby nowym etapem w twórczości Karczewskiej i byłaby wielka szkoda, gdyby te gałęzie uschły i lasy spłonęły.

Z wystawą dwóch malarzy emigracyjnych zamieszkałych w Londynie *Z. Frenkla* i *M. Łączyńskiego* wracamy znowu do „Grabowski Gallery”. Z miejsca oddychamy atmosferą inną. Zwłaszcza sztuka Łączyńskiego każe zapomnieć natychmiast o hałasie i tężyźnie i wprowadza nas w dziwny spokój, nastrój kontemplacyjny i ciszę. — Wąska, prawie chromatyczna gama barwna, którą się ten malarz posługuje, spokojne rytmy, dziwna zawartość jego kompozycji i delikatne realizacje — oto zasadnicze cechy tego malarstwa.

Łączyński studiował w jednej z londyńskich szkół artystycznych w latach 1949-52. Głównym przedmiotem jego studiów była ilustracja. W malarstwie, jak sam stwierdza, jest samoukiem. To tłumaczy wiele; a więc jego zamiłowanie do porządku, jego umiarkowane formaty, spokojny koloryt i przede wszystkim żyłkę do eksperymentów. Te abstrakcyjne poczynania Łączyńskiego są oryginalne. Jest on może jedyny z polskich malarzy w U.K., którego wizja abstrakcyjna jest bliska szkole kaligrafów.

Starszy od niego wiekiem i doświadczeniem malarskim *Z. Frenkiel* reprezentuje świat bardziej złożony. Ambitne założenia *Frenkiel* realizuje rozbudowanymi dobrze środkami technicznymi, a rzetelne podstawy jakie zdobył przez długoletnie studia umożliwiają mu realizowanie dzieła z dużą swobodą. U *Frenkla* wyczuwam jednak pewien tragizm malarza na rozdrożu, któremu trudno jest porzucić wizję świata, którą pokochał i odczuł, na rzecz czystej abstrakcji, która go również fascynuje. Ta sytuacja w jakiej znalazł się ten malarz przysparza mu dodatkowych problemów, z którymi się boryka, co niekiedy wychodzi mu właśnie na dobre.

„*Artists from Poland*” to następna polska impreza malarska zaaranżowana przez *Grabowskiego*. Jesteśmy zawsze ciekawi co się dzieje w sztuce w naszym kraju i te wystawy krajowe u *Grabowskiego* to specjalny rozdział. Nie trzeba dużej wyobraźni żeby uświadomić sobie ogromny trud i wysiłek artystów organizujących te wystawy. Co innego imprezy oficjalne z poparciem i

rządową pomocą, ale te prywatne przedsięwzięcia to wprost bohaterstwo. To sentymentalne stwierdzenie nie upoważnia nas jednak wcale do zajęcia pobłażliwszej postawy w ocenie krytycznej ich dzieła.

W wystawie „*Artists from Poland*” bierze udział dziesięciu malarzy. I tak się składa, że pięciu z nich to malarze z Krakowa, a druga piątka ma powiązania z Warszawą. Całość tej imprezy wydaje się raczej dziełem przypadku niż dobrze przemyślanej manifestacji artystycznej i to niewątpliwie powoduje, że zawiodła nasze oczekiwania. Wyczyny i sukcesy polskiego malarstwa na międzynarodowych wystawach (do których nie wiem dlaczego emigracyjni polscy malarze nie są dopuszczani), entuzjastyczne wzmianki w prasie, obszerne recenzje pobudziły nasze wyobraźnię i zaostrzyły apetyty. Przygotowaliśmy się na ucztę, a dano nam ochłapy.

Dwa obrazy *Jana Lebensteina*, z czego jeden jest raczej kolorowym szkicem na papierze milimetrowym, ładny zresztą w swej kaligraficznej koncepcji o złocistych kolorach, delikatny i upstrzony plamkami i punkcikami i obraz drugi z ustawioną centralnie pionowo figurą jakiegoś człowieka-żaby. Te, wcześniejsze zresztą, prace *Lebensteina* nie rozczarowały nas wprawdzie, ale przyznać muszę, że łudziliśmy się nadzieją ujrzenia przecież czegoś bardziej okazałego z bogatego dorobku malarza, laureata pierwszej nagrody na Paryskiej Biennale (1959). Nie zawiódł naszego smaku również *Stażewski* swoimi konsekwentnie spreparowanymi konstrukcjami w trzech wymiarach, które nazwał po prostu reliefami. Ten blisko siedemdziesięcioletni artysta zadziwia swoją młodzieńczą postawą do zagadnień w sztuce. Godnym uwagi jest fakt jak żywo reaguje on na wszystkie prądy i ewolucje artystyczne, jakie zachodzą w świecie. Dotrzymuje dziarsko kroku wszystkim nowym przejawom i zawsze utrzymuje się na powierzchni.

Dominik, który reprezentowany jest tutaj dziewięcioma obrazami ma dobre szanse przedstawienia swego talentu londyńskiej publiczności, która widziała go po raz pierwszy. O malarstwie tego artysty wiedziałem z entuzjastycznych recenzji i omówień *Józefa Czapskiego* i *K.A. Jeleńskiego* z okazji jego wystaw paryskich. Żałuję, że nie mogę podzielić tego entuzjazmu krytyków paryskich. Te dziewięć obrazów o jednakowych formatach, tyleż bardzo podobnych do siebie koncepcji kolorowych, powtarzające się ciągle te same elementy formalne, sugerujące jakieś stare kości czy porąbane drzewo, ta sama wszędzie energiczna i pośpieszna technika malowania *alla prima*; oto spostrzeżenia, które z miejsca się nasuwają. Natarczywie nasuwa się myśl o masowej produkcji obrazów.

Pięciu młodych malarzy z Krakowa są to: *Witold* i *Danuta Urbanowiczowie*, *Jerzy Kałucki*, *Janusz Tarabuła* i *Jerzy Wroński*. Wszyscy oni zdecydowali się na abstrakcję i próbują nowych efektów w oparciu o nowe tworzywo, przez nich samych odkry-

wane i aplikowane. Wydaje mi się, że ci malarze pracują w głuchej próżni, bez tradycji, a jedyną ich pożywką są słabe echa poczynań abstrakcjonistów zachodnich, jakie znają prawdopodobnie z reprodukcji. Umówili się ze sobą by nie nadużywać środków, nie przesadzać w ekspresji i pamiętać o estetyce. Takie przynajmniej odnosimy wrażenie wobec tych eksponatów grzecznych i wysterylizowanych. Widz londyński po przeżyciu takich szoków w zakresie eksperymentów plastycznych, jak kawał pogniętej i zardzewiałej blachy, wyciągniętej zapewne z jakiegoś śmietnika i przytwierdzonej u dołu olbrzymiej czarnej prostokątnej powierzchni (eksponat współczesnej szkoły hiszpańskiej wystawiony obecnie w Tate Gallery) czuje się raczej bezradny wobec tych, na szczęście, nie dużych obrazów z Krakowa, jakże niewinnych i subtelnych. I zaraz przychodzi dalsza refleksja: czy szlachetne w swej prostocie, kaligraficzne koncepcje Witolda Urbanowicza mają istotnie jakiś głębszy związek z jego wizją i potrzebą malarską? Kiedy go zestawiamy z taką malarką jak Fahr el Nissa, której malarstwo jest naturalną konsekwencją wiekowych tradycji wielkich kaligrafów tureckich, zaczynamy się zastanawiać nad faktem, skąd raptem upodobania do kaligrafów w Polsce? Nie, młodzi polscy malarze! Doświadczyliscie już zapewne sami, że malarstwo to nie tylko zabawa, ale także pewien wyraz sposobu myślenia. I zanim ktoś zdecyduje się na abstrakcję musi najpierw zrozumieć jaki sens posiada ten sposób wypowiedzi plastycznej. W przeciwnym razie będziemy usiłowali wywalać dawno już otwarte wrota.

Sztuka abstrakcyjna jest dla awanturniczych odkrywców wspaniałym polem działania. Zauważcie proszę, że ten kierunek zerwał z dyscypliną i odrzucił wszystkie istniejące i uznane powszechnie prawa, nagromadzone skrzętnie przez minione stulecia. Zaistniała kompletna wolność działania i wydawać by się mogło, że nigdy nie było jeszcze tak łatwo malować i tak od razu zostać artystą. Przestrzegam optymistów, że jest to tylko złudzenie. Obserwujcie jak nielicznym z tysięcy abstrakcjonistów udaje się stworzyć dzieło, które nas naprawdę obchodzi, interesuje i zastanawia. Ten rodzaj sztuki wymaga od artysty większego skupienia, czujniejszego wsłuchiwania się we własne wnętrze, po to by wyzwolić te jedyne tęsknoty i doznania, nieznane jeszcze nikomu. Umieszczenie na tej wystawie ilustracyjnych rysunków i gwaszy Słowińskiego było nieporozumieniem i z poważnej wystawy zrobiło popularny kiermasz. Naturalnie, że te wesołe rysunki cieszyły się powodzeniem, ale u kogo?

A więc po wesołych rysunkach wznoszę radosny okrzyk: z motyką na słońce panowie malarze, w przeciwnym razie pozostanie wam jedynie abstrakcyjny akademizm, a to byłoby rzeczą żalną.

Z. TURKIEWICZ

Książki

Nowe przekłady z hiszpańskiego (I)

Zainteresowanie literaturą hiszpańską w Polsce nie słabnie. Dla różnych jednak powodów pewne pozycje zaplanowane przez wydawców nie ukazały się i kto wie czy się w ogóle ukażą. Niemniej wśród nowości otrzymaliśmy książki ciekawe. Nie zawahano się sięgnąć do powieści powojennej. Wznowiono Unamuna. Z wyjątkiem jednak zbioru romanc, przekłady ograniczają się do prozy. Publikowanie sztuk i poezji zdaje się należeć do przeszłości.

S. Błaut („Więź” 4/36) analizuje trudności na jakie natrafia książka zagraniczna. W grę wchodzi gospodarka dewizami obok zrozumiałej ochrony książki polskiej, przeszkody natury ideologicznej i obiekcje moralne. Niesposób natomiast uwierzyć argumentowi wydawców jakoby wyczerpała się lista książek godnych tłumaczenia. Jeśli dodamy chronicznie małe nakłady książek tłumaczonych z literatur zachodnich, wypadnie konkludować, że polityka wydawnicza szwankuje poważnie i że właściwie nie zadawała ona ani w drobnej części potrzeb polskiego czytelnika. Jeśli nie mamy do czynienia z rozmyślną akcją „odgórną”, wówczas odpowiednie resorty winne są poważnego zaniedbania.

Ponieważ autor artykułu wśród postulatów na przyszłość ogranicza się do kilku nazwisk hiszpańskich, dorzucę od siebie kilka dodatkowych jak: Pardo Bazan, Alas, Valera, Pereda, Valle-Inclan, Baroja, Concha Espina, Gabriel Miró, Ayala, ze starszych, a Zunzunegui, Nunez Alonso, Fernandez-Flores, Gomez de la Serna, Agusti, Barrea, Sender, Gironella, Delibes, Sanchez Ferlosio, A.M. Matute, M. Salisachs spośród młodszych i najmłodszych.

Już Kazimierz Brodziński słyszał o hiszpańskich romancach, choć dopiero półtora wieku później miał się ukazać pierwszy

ich zbiór w języku polskim (1). Nie znaczy to, że uczeni i tłumacze przez tak długi czas o romancach milczeli. Wystarczy wspomnieć Porębowicza, który pisał o nich często i ze znanstwem, a niektóre tłumaczył w całości lub w urywkach dla zilustrowania swoich wywodów. Jemu też zawdzięczamy wprowadzenie do przekładów asonansu, którego był gorącym wielbicielem.

„Wieki średnie posiadały między innymi przedziwną formę wiersza epickiego: swobodną, powłóczystą, zdolną do nieskończonych modulacji w ustach biegłego śpiewaka. Jest nią asonans, cechująca epikę najstarszego okresu, a pochodząca zapewne z tradycji ludowej. Potem ta forma wyrodziła się, zmarniała i została zastąpiona kunsztowniejszym rymem. Ale w jednej przynajmniej literaturze, tj. hiszpańskiej, pozostała formą epicką po wiek XVII, złożyła setki tysięcy „wiązek”. *Romancero*, co go tak nieładnie sfalszował Heine, a jeszcze nieładniej jego naśladowcy, ludzający się romantycznie, że odtwarzają koloryt Granady... Assonans istnieje w dzisiejszej poezji hiszpańskiej równie jako forma liryczna, — a tu podziwiać można, jak niewyczerpane pokłady twórcze zawiera ten język. Oto asonans jest tak formą hierarchicznie wyższą od rymu, najwytworniejszą, używaną jeno do subtelnych tematów. Wymaga istotnie wysokiego aryzmu, poczucia dźwięków półtonowych, nie jak rym, który pełnym i niedwuznacznym tonem bije w uszy. Granie słowem na jednej lub dwu końcowych samogłoskach wiersza przy ciągłej a dobranej odmianie sąsiednich spółgłosek wytwarza istotnie efekty zadziwiająco niezwykle i piękne”. („*Studia literackie*”, Kraków 1951, str. 102).

Dla przykładu zacytuję początek „Romancy o ostatniej bitwie Cyda” z XVI w. Porębowicz musiał się borykać z dużymi trudnościami, żeby oddać surowość oryginału i odniósł sukces tylko połowiczny (owe „wątowane” cnemi, wdaly itd.). Cytuję ten przekład spośród wielu gładszych, nierzadko niezwykle udanych fragmentów, ponieważ zestawienie ich z całościowymi przekładami Zofii Szleyen nie byłoby właściwe.

*Martwy leży dobry Cyd,
Cyd z Vivaro był nazwany;
Gil, Diaz, przywiązany sługa,
Wypełniał jego rozkazy.
Sztynne umarłego ciała
Cnemi zaprawił balsamy.
Twarz została urodziwa
Barwy białej i rumianej.
Oczy oboje rozwarły,
Z głowy kędziory spływały;
Zdało się, że nie był martwy,
Raczej żywy rycerz wdaly.*

Tytuł zbioru romanc Zofii Szleyen „O pasterzach, Maurach i damach” określa tematykę wybranych wierszy. Pochodzą one głównie z klasycznej antologii podręcznej „*Flor nueva de roman-*

(1) O *pasterzach, Maurach, damach*. Hiszpańskie romance. Wybrała i przełożyła Zofia Szleyen. Iskry 1960.

ces viejos”, której autorem jest dziewięćdziesięciodwuletni Ramón Menendez Pidal. (Dług wdzięczności tłumaczka spłaciła dedykując wielkiemu uczonemu swój tom). Dwadzieścia siedem starych romanc, rzecz jasna, nie może rościć sobie pretensji do reprezentowania wszystkiego co jest charakterystyczne i piękne wśród tysięcy utworów. Ale jest to już próba rzetelna i miejmy nadzieję prekursor podstawowej antologii. Autorka zastrzega się, że traktowała przekład jako eksperyment. O asonansie pamiętała, choć powodowana specyfiką języka polskiego zastąpiła asonans hiszpański bogatszym rymem, względnie wprowadziła więcej niż jeden asonans.

Eksperyment się udał. Szczególnie dobrze wypadły utwory o elementach szelmowskich. Przyjrzyjmy się romancy „O znakomitej damie i pastuchu kóz”. Miłosne zachody damy szelmastuch kontruje dowcipnymi przysłowiami:

„*Nie chcesz, widać, mnie zrozumieć,
nic się kózom twym nie zdarzy,
zostań u mnie na wieczere,
sama ci ja będę smażyć*”.

„*Niżli piwa tu nawarzyć,
wolę nie pić — rzekł pastuszek —
zjem czarnego chleba kromkę
i do stadka mego wrócę*”.

„*Mam od śniegu bielsze ciało,
na obliczu krew i mleko,
usta jak różowy koral,
kibić ujmiesz jedną ręką!*”

„*Wielkie dobra giną prędko —
rzekł prostacki ów pastuszek
moje stadko samo w górach,
ja do mego stadka muszę*”.

Tłumaczka czasem odbiega dość znacznie od tekstu. Nie psuje go, ale przeinacza. I tak kiedy w dalszym ciągu dama zachwala swoją piękność:

*El cuello tengo de garza,
los ojos de un esparver,
las teticas agudicas,
que el brial quieren romper...*

Zofia Szleyen, zapewne korzystając z reminiscencji autora „Yermy” pisze:

*Patrz mam szyję jak gazela,
oczy jak orlica wierna,
moje drobne białe piersi
mają dzióbkę jak ptaszęta.*

Polski przekład ma zamiast czapli (*garza*) — gazelę, zamiast jastrzębia — wierną orlicę, wreszcie metamorfozę piersi w ptaszęta. Dzióbki są udane, ale nie dają piękniejszego obrazu hiszpańskiego „moje drobne ostre piersi zda się sukienkę przekłują”. Plastyczność zamiast dramatyczności. I jeszcze kilka drobnostek. Ministranci nie „pomagają” ale służą do mszy. W „Kochance Bernala Francuza” *justicia* oddano raz poprawnie, ale za drugim razem mylnie jako „sprawiedliwość”. Czy aby „Romanca o jadowitej Morianie?”.

Zofia Szleyen jest także tłumaczką „Opowieści o Cydzie”, popularnej parafrazy narodowego eposu Hiszpanii, pióra żony Rafaela Alberti, Marii Teresy León (2). W braku dostępnego polskiego przekładu eposu (tłumaczenie S. Duchnińskiej z 1866 r. spoczywa w czcigodnych tomach „Biblioteki Warszawskiej”) opracowanie hiszpańskiej emigrantki uwzględniające także inne źródła opowieści musi tymczasowo wystarczyć. Wprawdzie książka przeznaczona jest dla młodego czytelnika, niemniej nie ma powodu, żeby ją doń ograniczać. Zresztą język niejednokrotnie wydaje się zbyt dla młodzieży wyrafinowany, nierzadko jest przetykany archaizmami i neologizmami (krom, obramiony itd.). Tekstowi towarzyszą trzy romansy z XV wieku, które tłumaczka później włączyła do swojego wyboru romans. Książka prezentuje się bardzo dobrze. Ilustracje Marii Hiszpańskiej-Neumann świetne i dowcipne.

Niezwykły urok bohaterskiego pogromcy Maurów, który, jak mówi anonimowy autor eposu, szedł w bój *en el nombre del Criador — e d'apóstol santi Yague*, natchnął po przeszło ośmiu wiekach uroczą adaptację republikańskiej emigrantki.

Na udany tomik biblioteczki „Jednorożca” składają się dwie nowele Cervantesa „Licencjat Vidriera” i „Rinconete i Cortadillo” przedrukowane z „Nowel przykładowych”, które w przekładzie Z. Milnera ukazały się po raz pierwszy w 1913 r. (3). Licencjat (czemu nie magister) Vidriera przypomina postać Don Kichota w swojej niemożności zgłębienia tajemnic świata i człowieka. Żyjąc w urojonym świecie czasowo uchyla się od naporu życia. Ponosi jednak klęskę kiedy wraca do zdrowia i musi się ratować idąc na żołnierski chleb do Flandrii. Tłumacz zdołał dobrze spolszczyć niezwykle dosadne i trudne sentencje, w które nowelka ta obfituje. O „Rinconete i Cortadillo” (tekst pozostał niepoprawiony) pisałem już uprzednio („Kultura”, 117/118), wytykając usterki, nie wiedziałem że ganiłem przekład młodzieńczy bodajże najświetniejszego żyjącego hispanisty polskiego, profesor Z. Mil-

(2) *Opowieść o Cydzie*. Opracowała Maria Teresa León. Przekład: Zofia Szleyen. Nasza Księgarnia 1958.

(3) Cervantes, Miguel. *Licencjat Vidriera*. Przetłumaczył Zdzisław Milner. P.I.W. 1959.

nera, o którego losach słuch zaginął. Cieszę się, że recenzja moja przyczyniła się do odnalezienia znakomitego uczonego, którego prace o Gongorze i Quevedo drukowano niedawno w „Les Langues Neo-Latines”, a które wywołały żywy oddźwięk wśród hispanistów brytyjskich na zeszłorocznym zjeździe w Manchesterze. Jego współpraca z wydawnictwami przyniesie czytelnikowi polskiemu przejrane teksty przekładów dawnych, a może zgoła nowe?

Bliźniaczy tomik biblioteczki, „Listy miłosne” Mariany Alcoforado, należy już nie do literatury hiszpańskiej, ale do portugalskiej, jeśli nie do francuskiej (4). Są to słynne listy portugalskie, które w 1669 ukazały się po francusku i odtąd uważane są za arcydzieło literatury miłosnej. Oryginał portugalski nie zachował się. Ich autorka, zakonnica z Bei napisała je do Chamilly'ego, francuskiego rotmistrza jazdy, w którym się bez pamięci zakochała. Listy pięknie przetłumaczył i opatrzył doskonałym wstępem Stanisław Przybyszewski.

Florian ŚMIEJA

(Dokończenie nastąpi)

(4) Alcoforado, Mariana. *Listy miłosne*. Przetłumaczył i wstępem opatrzył Stanisław Przybyszewski. P.I.W. 1959.

Antologia współczesnej myśli polskiej

Antologie literackie przeznaczone dla czytelników obcych opracowuje się normalnie na podstawie ustalonej już „wewnętrznej” klasyfikacji, przeprowadzonych poprzednio ewidencji i uporządkowania. Maria Kuncewiczowa, opracowując swój wybór „Nowoczesna myśl polska — Antologia opowiadań i szkiców pisarzy żyjących dziś w Polsce” (1), nie mogła się na takich solidnych i sprawdzonych dyskusyjnie podstawach oprzeć. Nie tylko dlatego, że objąć swą książką chciała twórczość zupełnie bieżącą, ale przede wszystkim dlatego, że pełny i względnie choćby bezstronny opis aktualnej sytuacji kulturalnej i literackiej w Polsce jest w tej chwili z oczywistych powodów niemożliwy do przeprowadzenia na miejscu. Dlatego też na autorkę spadło zadanie szczególnie trudne: nie tylko uprzyśtępnienia czy-

(1) *The Modern Polish Mind. An Anthology*, ed. by Maria Kuncewicz. Little, Brown & Co, Boston — Toronto 1962, pp. 440, dol. 8.50.

telnikowi amerykańskiemu tego, co najciekawsze i najcenniejsze we współczesnym piśmiennictwie polskim, ale i opracowania rzeczowych i interpretacyjnych podstaw dla takiej popularyzacji. Jakkolwiek więc surowo będziemy jej książkę osądzać, musimy Kuncewiczową podziwiać za jej odwagę i chwalić za pionierstwo.

Byłoby niesprawiedliwe oceniać antologię, przeznaczoną dla obcego i niewprowadzonego czytelnika, wyłącznie z punktu widzenia polskiego. Dlatego też postarałam się przeprowadzić na jej temat krótką ankietę wśród studentów, nic z literaturą polską nie mających wspólnego. Byli oni, po pobieżnym zapoznaniu się z książką, dosyć zgodni w swoich reakcjach.

Pewną konfuzję wywoływał tytuł: zawartość książki jest raczej literacka (80% tekstów) i nie pokrywa „nowoczesności”, a tylko bezpośrednią współczesność. Tłumaczenia uznano za co najmniej poprawne, niekiedy zupełnie dobre, choć przeważnie trochę sztuczne w tonie. Krótkie wstępyki bio- i bibliograficzne do poszczególnych fragmentów określano jako bardzo pożyteczne i dobre, a dobór tekstów za niewątpliwie zachęcający do dalszych lektur i poszukiwań, chociaż zdarzały się i rozczarowania (o czym niżej). Najwięcej zastrzeżeń wywołał sam wstęp: zbyt krótki i pobieżny, zarazem ogólnikowy i niezbyt jasny. Pytano mnie, czy naprawdę intelektualiści polscy dzielą się na katolików, marksistów i zabłąkanych egzystencjalistów? I czy istotnie głównym rysem literatury polskiej XX wieku jest „wyzwalanie się z więzów patriotycznego obowiązku” — i przyjmowanie tych więzów ponownie? Ogółem jednak opinie były pozytywne.

Niestety wydaje mi się, że osąd „polonistyczny” musi wypaść o wiele surowiej. I to zaczynając od rzeczy najprostszej: od typografii. Do składania książki użyto czcionek wyłącznie angielskich, co powoduje „uproszczenie” pisowni wielu nazwisk i tytułów. Mamy więc „Zolkiewskiego” i „Dabrowska”, „Tedy przeszła śmierć” i „Tworczość”. Nawet jeżeli złożenie w ten sposób całości książki było nieuniknione ze względów finansowych, to w poważnej publikacji — a do tego antologia Kuncewiczowej niewątpliwie aspiruje — powinno znaleźć się miejsce choćby w appendixie na poinformowanie czytelników o takich zniekształceniach.

Korekta słów polskich pozostawia także sporo do życzenia. Wśród imion panuje dziwne zamieszanie, wywołane dość prostą, ale niemądrą zasadą: co się da — amerykanizować. A więc w „Na wsi wesele” spotykamy: Luke, Bernadette, Michael, Susie, Jack, Stephen itd. — a obok nich zwyczajnego Cześka, gdzie indziej Bolka czy Krysię. Jeszcze dziwniej z pseudonimami: jedne są przetłumaczone (Slow, Blackie), inne nie (Nadzieja, Głośny — przepraszam, Glosny). „Amerykanizacja” sięga i do komentarza: czytamy tam np. parokrotnie, że ktoś „majored in history”, co jest zupełnym anachronizmem ze względu na inny w Europie system studiów. W komentarzu spotykamy jednak i poważniejsze błędy rzeczowe. Np. tylko I tom (a nie całość) „Sławy i

chwały” Iwaszkiewicza ukazał się w r. 1955; Malewska nie napisała powieści pt. „Żelazny krzyż”, tylko „Żelazną koronę”, wydaną w r. 1936, a nie 1937 — i nie był to jej debiut, bo zaczęła znaną książką „Wiosna grecka” w r. 1933; rok 1955 jako data wydania „Bolesława Chrobrego” Gołubiewa niesłusznie odwraca uwagę od faktu ogłoszenia początkowych i najciekawszych części już w r. 1947; w wyliczeniu tomików Jastruna panuje bałagan chronologiczny — itd. itd. Nie wiadomo czemu przypisać te łatwe przecież do uniknięcia błędy, które poważnie osłabiają wartość informacyjną książki.

Zawartość podobnej antologii musi nieuchronnie budzić takie czy inne zastrzeżenia, wynikające czy to z różnicy gustów, czy odmiennej postawy interpretacyjnej, czy wręcz innych osobistych sympatii. Nie warto więc spierać się zbyt zawzięcie o poszczególne nazwiska czy pozycje, choć uważam, że np. Dobraczyński jest kompromitujący, z Żukrowskiego wybrała Kuncewiczowa fragment zupełnie błady, także Malewska wydaje się być skrzywdzona wyborem a pominięcie Stanisława Zielińskiego jest niewytłumaczalne. Istotniejsze jest, jaki obraz całości wyłania się z lektury tego sporego bądź co bądź tomu.

Podzielony on jest na cztery części. „Co polscy pisarze pamiętają”, „Jak widzą życie”, „W co wierzą” i „Ich humor”. Część trzecia zawiera dziesięć szkiców i artykułów publicystycznych, pozostałe — łącznie 32 opowiadania lub fragmenty prozą.

O czymże więc pamiętają polscy pisarze w książce Kuncewiczowej? O przedwojennej, wesołej i błyszczącej Warszawie (Słonimski), o tradycji dobrej katolickiej rodziny ((Starowiejska-Morstinowa) — i o okupacji, partyzantce, obozach i zniszczeniu (Filipowicz, J.J. Szczepański, Zawieyski, Troński, Klimaszewski, Borowski, Stanuch, Adolf Rudnicki). (Zamieszczona w tej części krótka nowelka Woroszylskiego trafiła tu pewnie przez pomyłkę — może zamieniona ze wspomnieniowym fragmentem Czeszki w części następnej). Na tej podstawie wydawać by się mogło, że pisarze polscy mają pamięć dosyć krótką i jednostronną: to, co było przed rokiem 1939 istnieje dla nich tylko w formie sympatycznej legendy. Czytelnik uwierzy więc bez trudności w sugestię wstępu, że tendencje lewicowe przywędrowały do Polski z zewnątrz.

O wstępie pomówimy jednak później. Wspomnieniową część książki nietrudno było wzbogacić: pamiętników ukazują się w Polsce mnóstwo, a mimo stosunkowo niewielkiej ilości utworów powieściowych na tematy przedwojenne — i spośród nich niejedno dałoby się wybrać. W każdym razie dla pełności obrazu takie uzupełnienie byłoby absolutnie konieczne.

W niewielkim stopniu lukę tę wypełnia „Na wsi wesele” Dąbrowskiej, zamieszczone w części drugiej. Jest to nb. jedyny właściwie utwór, dający pewne, choćby częściowe, wyobrażenie, jak wygląda „normalne życie” w dzisiejszej Polsce, i jakie są społeczne procesy w tym życiu zachodzą. Wszystkie pozostałe

— nawet tak dobre, jak „Złoty lis” Andrzejewskiego czy „Przerwany egzamin” Różewicza — dostarczają fragmentów obrazu, częściowych alegorii, ale bez klucza do zrozumienia całości. Bardzo zaś trudno będzie czytelnikowi amerykańskiemu zrozumieć, „jak” widzą życie polscy pisarze, jeżeli nie będzie wiedział, „co” właściwie oni widzą. O tym, co determinuje aktualną sytuację społeczną-kulturalną w Polsce: o zniknięciu dawnej inteligencji, masowej wędrowce do miast i niemniej masowej wędrowce ze Wschodu na Zachód, o gwałtownej industrializacji, o zupełnej zmianie struktury socjalnej np. Warszawy — o tym czytelnik książki Kuncewiczowej nie ma się skąd dowiedzieć. I znowu wydaje się, że ze dwa odpowiednio dobrane szkice reportażowo-publicystyczne (w rodzaju Ambroziewicza, Małachowskiego czy Seidlerówny) doskonale by tę lukę wypełniły, dając odpowiednie tło literaturze. Kuncewiczowa, która spędziła przecież tyle lat w Ameryce, powinna sobie zdawać dokładnie sprawę z minimalnego stopnia poinformowania o życiu w Europie wschodniej nawet wśród interesujących się tym zagadnieniem studentów. Bez paru stron rzetelnej informacji społeczno-obyczajowej cała treść książki zawisa w powietrzu, a zamieszczone utwory stają się — czystą literaturą. Nie o to jednak chodziło.

Zapewne miejsce na tę informację powinno się być znaleźć raczej w trzeciej części książki. Ta część jednak może, moim zdaniem, wywołać najwięcej nieporozumień. Jako typowe dla polskich intelektualistów zamieszczono tam: cztery głosy katolickie (Turowicz, Gołubiew, Stomma, Kisielewski), trzy oficjalnomarksistowskie (Schaff, Lange, Żółkiewski) i trzy „inne” (Kołakowski, Kijowski — i Jastrun na temat poezji). Otóż jestem przekonana, że taka proporcja sugeruje „układ sił” zupełnie różny od rzeczywistego. „Oficjalny” marksizm (w odróżnieniu od marksizmu swobodnie stosowanego) i katolicyzm są tylko kierunkami najłatwiej wyodrębnialnymi i najłatwiejszymi do nazwania, ale bynajmniej nie najbardziej owocnymi intelektualnie i wpływowymi. Uroczyste proklamacje katolików i oficjalnych ideologów partii pozostają raczej na marginesie konkretnej aktywności intelektualnej literatów, humanistów i naukowców. Esej Kołakowskiego („Kapłan i błazen”) także jest dla tej „przeważającej reszty” niezbyt reprezentatywny. Prądy empirystyczno-pozytywistyczne są w Polsce silniejsze i od „oficjalnego” marksizmu i od egzystencjalizmu — a na ten temat w antologii głucho. Z pewnością jednak w pismach takich, jak „Przegląd Kulturalny”, „Twórczość”, „Więź”, „Kultura i Społeczeństwo” itd. można było znaleźć niejedną artykuł, mniej „zasadniczy”, ale za to bardziej realistycznie ilustrujący postawy intelektualne polskich intelektualistów.

Taki a nie inny wybór tekstów wydaje się jednak wynikać z podstawowych tez wstępu Kuncewiczowej, który jest, trzeba to niestety powiedzieć, najslabszym elementem książki. Przede wszystkim jest on zbyt krótki i pobieżny, popularny aż do stop-

nia prymitywizmu (a zarówno zawartość, jak i cena książki nie wskazują na możliwość masowego odbioru) i nie spełnia podstawowych zadań uzupełnienia nieuchronnych w podobnej antologii luk i dostarczenia czytelnikom solidnej podbudowy rzeczowo-interpretacyjnej. Te zaś próby ogólnych wyjaśnień, jakie Kuncewiczowa podejmuje, są z reguły szablonowe i mylące. Przesadnych uproszczeń, niejasności i zwykłych błędów jest niepokojąco dużo, jak na niespełna osiem stron druku. Na przykład „rewizjonizm” nie „stał się terminem potępiającym w roku 1958” (w publikacjach komunistycznych), ale zawsze nim był — zmieniał się tylko i ciągle zmienia zakres tego pojęcia. Teatr „Granada”, opisany przez Brandysa, nigdy nie istniał — jak to wydaje się sugerować tekst, zapewne przez niedopatrzenie stylistyczne.

Największe wątpliwości budzić jednak muszą dwie podstawowe tezy interpretacyjne wstępu. Pierwsza brzmi, że od czasu odzyskania niepodległości literatura polska „z wysiłkiem starała się wyswobodzić od obowiązków politycznych i powrócić (?) do długo zaniebawianych psychologicznych badań tajemników życia”. Dalej mowa jest nawet o „wyzwalaniu sztuki z patriotycznych kajdan” i o „wolności od obowiązku, której literatura polska poszukiwała od stuleci”.

Taka koncepcja rozwoju najnowszej literatury polskiej oparta jest na dwu założeniach. Po pierwsze na przyjęciu za opis faktów pewnej mitologii, stworzonej na początku dwudziestolecia przez grupę pisarzy — i to pisarzy wcale nie najbardziej nowatorskich artystycznie (Lechoń). Że to radykalne zrywanie z przeszłością było mitem (wygodnym zresztą i nawet pożytecznym dla literatury), o tym przekonamy się przyjrząwszy się najwybitniejszym utworom literatury międzywojennego dwudziestolecia: ich stopień „zaangażowania” społecznego i narodowego był nie wiele mniejszy, niż w wypadku Młodej Polski. Zmieniła się co prawda *funkcja* społeczna literatury w Polsce — ale nie o tym autorka pisze.

Założeniem drugim jest przekonanie o wyższości literatury psychologicznej nad literaturą „zaangażowaną”. Że jest to założenie co najmniej wątpliwe, o tym świadczyć może choćby przykład Tomasa Manna. Niewątpliwie ciężkie i często uprzykrzone — ale sam fakt takich obowiązków nie musi przesądzać ani o poziomie literatury, ani o uniwersalności problemów, jakie w niej można poruszać. Zresztą nie sam fakt istnienia i wypełniania obowiązków politycznych zaważył na jakości i poziomie literatury polskiej, ale to, że obowiązki te spadały wyłącznie i w pełni na literaturę, która musiała zastępować nieistniejący system państwowy i partyjny etc. I nie to ograniczało horyzonty literatury, że koncentrowała się na problemach bytu społecznego i narodowego — ale nienaturalność i tragiczna wyjątkowość życia polskiego pod zaborami.

Pierwsza teza Kuncewiczowej jest więc uproszczeniem za-

równy jako opis rozwoju literatury polskiej w XX wieku, jak i jako wyjaśnienie tego procesu rozwojowego. Jej druga teza ma podobne wady. Przedstawić by ją można mniej więcej następująco: podstawowymi ingrediencjami w „polskim tyglu” są katolicyzm i „komunizm typu rosyjskiego” (s. 7) — i głównie między tymi dwoma światopoglądami czy, jak chce autorka, „religiami” toczy się walka o polskie dusze.

To gładko i sensacyjnie brzmiące uogólnienie pozostaje jednak w sprzeczności z faktami. Prawda: komunizm (ale nie typu rosyjskiego, bo ten nigdy w Polsce nie znalazł pewniejszego oparcia) i katolicyzm (zabarwiony nacjonalistycznie) są dwoma najbardziej widocznymi na odległość ośrodkami ideowymi w Polsce. Iluż jednak pisarzy i intelektualistów pozostaje w kręgu bezpośredniego oddziaływania tych ośrodków? Ilu da się zaklasyfikować wedle tej prostej zasady przynależności? Znikoma mniejszość. Zwłaszcza w odniesieniu do literatury podział taki jest niemal bezużyteczny. Nie wspomina natomiast Kuncewiczowa o silnych i starych, a dotąd oddziałujących tradycjach lewicowych nie-komunistycznych. Znaczna część intelektualistów polskich i znaczna część literatury pozostają pod wpływami tych tradycji. Z drugiej zaś strony opozycja antykomunistyczna jest oczywiście znacznie silniejsza i lepiej uzbrojona ideowo, niż by na to wskazywał jej jedyny oficjalny rzecznik — katolicyzm. Zarówno z lektury prasy (zwłaszcza z okresu bezpośrednio popaździernikowego), jak i ze spotkań z ludźmi z kraju sądzić można, że przeważająca część intelektualistów — to ludzie zbliżeni poglądami do socjalizmu (a nie do komunizmu), a jednocześnie nie wiele mający wspólnego z ruchem katolickim. Rzeczywistość polska ma o wiele mniej wspólnego z okresem wojen religijnych, niż by na to wstęp Kuncewiczowej wskazywał.

Bynajmniej nie z uprzejmości, ale z poczucia sprawiedliwości nie mogę zakończyć tej ostrej oceny na zarzutach. Mimo wszystkich niedociągnięć książka Kuncewiczowej jest jednak pożytecznym zbiorem dobrych na ogół tekstów. Jej następcą będzie miał już zadanie ułatwione i drogę przetartą. Irytująca szablonowość i anachronizm interpretacji zawartych we wstępie były trudne do całkowitego uniknięcia — dla powodów wymienionych na początku recenzji. Ustrzegła się natomiast Kuncewiczowa bardzo istotnego i groźnego niebezpieczeństwa: zbyt wyraźnego wskazywania opozycyjnej zawartości niektórych zamieszczonych utworów, które w warunkach polskich spełniać może rolę denuncjacji. Pod względem przejrzystości politycznej i dbałości o interes autorów jest to książka wzorowa.

Teresa SNORES

„Trzeźwość w mistycyzmie”

Patronem naszej współczesnej emigracji literackiej powinien być raczej Norwid niż wielcy romantycy. Młodszy od nich, bardziej jeszcze datą śmierci niż urodzenia, już przez to samo jest nam bliższy. Tułał się i klepał biedę bardziej po dzisiejszemu, dosłownie od hrabiego Krasieńskiego, rentiera Słowackiego, a nawet profesora Mickiewicza. Bywał w salonach, ale znał też zagraniczne więzienie, fabrykę, przytułek. Dość sobie przypomnieć chociażby jego wystąpienia przeciw kultowi energii, postępu, sukcesu (podstawowe dla jego myśli przeciwstawienie: sukces-zwycięstwo) — by spostrzec, jak bardzo należał już do naszej epoki. Gdy niedawno londyńskie „Wiadomości” uraczyły nas obszernym wyborem wyjątków z korespondencji Norwida, wrażenie ich aktualności było wręcz niesamowite.

Ten patronat Norwida nie znajduje dostatecznego wyrazu w jego wpływie na dzisiejszych poetów emigracyjnych. To prawda, choć przypuszczam, że historia literatury wprowadzi kiedyś i do tego sądu poprawkę. Gdy za „najwybitniejszych poetów emigracji” uznamy Miłosza, Sułkowskiego, Przyłuskiego, okaże się, że wpływ Norwida był głębszy niżby można sądzić na podstawie znanej antologii dra Lama. Jak niedźwiedź przystęgu wyrządziło poezji emigracyjnej to skądinąd cenne i powstałe ze szczyrego zamiłowania wydawnictwo — można się było przekonać czytając jego omówienie przez Przybosia.

Emigracja złożyła niejedną dowód, że Norwid jest dla niej pisarzem żywym. „Norwid żywy” — książka zbiorowa w znanej serii redagowanej przez Związek Pisarzy i pięknie wydawanej przez Bolesława Świdarskiego — ma się wnet ukazać. Pomiędzy tym najnowszym „norvidianum” emigracyjnym, a pierwszym (był nim bodajże wybór pism, starannie opracowany przez Mieczysława Giergielewicza i wydany w pierwszych latach wojny) jest sporo pozycji, z których najcenniejszą są „Pisma polityczne i filozoficzne”, VII tom miriamowskiego wydania, ocalony z wojennej pożogi w jednej odbitce korektorskiej i pieczołowicie wydany przez Zbigniewa Zaniewickiego, przy współpracy Kazimierza Sowińskiego, w londyńskiej Oficynie Poetów i Malarzy.

Nie licząc niegotowej jeszcze książki zbiorowej, najnowszym znakiem pamięci wiernej Norwidowi jest bibliofilskie wydanie poematu „Do Najświętszej Panny Marji Litanja (1). Zwiąży,

(1) Cyprian Norwid: „Do Najświętszej Panny Marji Litanja” ze szkicem wstępnym ks. Józefa Jarzębowskiiego „Maryjna poezja Cypriana Norwida” i barwną reprodukcją fresku Pauliny Perdrau, str. 46 i 2 nl, czcionkami drukarni Waterlow and Sons Ltd., Dunstable i Londyn 1962.

przejrzysty, pouczający szkic ks. Jarzębowskiego przypomina, że utwór ten powstał dokładnie przed wiekiem, należał do nielicznych drukowanych za życia poety (w krajowym „Tygodniku Katolickim” w roku dopiero 1864), był całkowicie zapomniany aż do roku 1912 (a więc znowu rocznica!), kiedy to przypomniał go „Kurier Warszawski”. Dziś jest dobrze znany miłośnikom Norwida. W pożytecznej nocie bibliograficznej ks. Jarzębowski odnotowuje dwa artykuły monograficzne o „Litaniu” w powojennej katolickiej prasie krajowej. Nie zawiera tego utworu norwidowska antologia Jastruna „Pamiętnik artysty”.

„Tylko społeczeństwa trzeźwe umieją oceniać — inne adorować lub bezcześcić”. Wspaniałe zdanie. Wspaniałe norwidowskie zdanie. Jedno z najświetniejszych i najmądrzejszych, jakie kiedykolwiek napisano po polsku. Norwid jest dziś tak powszechnie, tak jednomyślnie adorowany, jak powszechnie był nie tyle bezczeszczone, ile lekceważony przez współczesnych. Gdy słyszę słowo: „jednomysłność”, chwytam nie aż za rewolwer, ale za pióro i maczam je w przekornym jądzie. Korci mnie, aby zdanie Norwida obrócić przeciw niemu, a raczej przeciw jego dzisiejszej sławie.

Nie mogę się opędzić podejrzeniom, że wielu admiratorów Norwida podziwia go z niewłaściwych powodów, nieraz wprost za to, co w jego twórczości najmniej zasługuje na podziw. Stał się on więc bożyszczem niezrozumiałców spod ciemnej gwiazdy, wygodnym narzędziem intelektualnego szantażu: „Skarżysz się na ciemność naszej mowy? Bardzo nam miło! Z tymi samymi zarzutami spotykał się Norwid”. U Norwida są jednak liczne miejsca naprawdę ciemne. Nie jest to ciemność dla wątpliwego uroku samej ciemności, lecz jakby produkt uboczny światła. Im potężniejsze źródło światła, tym głębsze cienie. Nie zmienia to jednak faktu, że to są cienie, wady, skazy, choćbyśmy je uznali za nieuniknione. Może subiektywnie, w psychice pisarza były nie do uniknięcia, ale czy są nieuniknione obiektywnie, zasadniczo? Nikt nie powie, że na przykład Pascal ustępuje Norwidowi głębią, powagą, odkrywczością, a jaki jest przy tym przeraźliwie jasny! „Od ciemnego pisania nie odzwyczaisz umysłu ciemno-pojmującego — nie jasno widzącego obrazy wewnątrz siebie...Ja pierwszy prawie nic a nic nie rozumiem” — można by zlekceważyć te słowa, gdyby je o Norwidzie napisał na przykład Stanisław Tarnowski, który go w ogóle zauważyć nie raczył, ale to — jak wiadomo — Krasiński, Norwidowi życzliwy i nie hetka-pętelka, właśnie jako myśliciel.

Czciciele norwidowskich ciemności są również zazwyczaj bałwochwalcami tak zwanych eksperymentów formalnych. U Norwida jest ich mnóstwo i — jak to wynika z samej natury eksperymentu — obok udanych, doskonale udanych, są katastrofalnie

nieudane, poronione dziwactwa. Adorowanie jednych na równi z drugimi jest nieporozumieniem.

Innym jeszcze fałszywym powodem zasłużonej sławy Norwida jest językowa patyna jego utworów. Taka patyna jest poezją dla maluczkich wrażliwości. Iluż to ludzi przestało by się wzruszać Nowym Testamentem, gdyby „zaprawdę” i „albowiem” zastąpić przez „w istocie” i „bo”! O ileż „poetyczniej” i dostojniej brzmi patriotyczna sentencja, w której zamiast o „rodakach” mówi się o „ziomkach”! Norwid sporo archaizował, nie zawsze szczęśliwie, nie zawsze świadomie. Może pewną rolę grało tu oderwanie od żywego języka krajowego? Porównajmy jego prozę z prozą Prusa i Sienkiewicza, którzy, gdy on umierał, zbliżali się już do czterdziestki. Norwid jest dziś gęsto cytowanym pisarzem i w pełni na to zasługuje, ale nie dzięki swym archaizmom.

Dzieła jego są kopalnią najcenniejszych i najgłębszych aforyzmów w mowie polskiej. Gdyby, jak wielki La Rochefoucauld, ograniczył się do przedestyłowania swej mądrości na garstkę maksym, stracilibyśmy wiele doskonałego surowca, ale zyskaliibyśmy małe arcydzieło, równe „Maksymom”. Tak jak jest, poza kilkoma drobnymi lirykami, Norwid nie napisał żadnego arcydzieła. Rozsypał diamenty, krocie najwspanialszych diamentów — w popiele.

I „Litaniu” nie zaliczyłbym do arcydzieł. Jest to utwór piękny, być może nawet, że — jak chce ks. Jarzębowski — najpiękniejszy w całej światowej poezji maryjnej XIX wieku, ale nie w poezji *tout court* i nie w poezji samego Norwida. Trzeba przyznać, że jest to jeden z jego najklarowniejszych, niezszpeconych dziwactwami i najlepiej skomponowanych poematów. Zaważyło tu korzystnie osnucie go na tradycyjnym wzorze Litanii Loretańskiej i oparcie na rzetelnej wiedzy mariologicznej, co z taką znajomością rzeczy podkreśla marianin ksiądz Jarzębowski. Są w „Litaniu” diamenty poetyckie, jak wzruszająco poufały realizm obrazu Anioła Stróża, którego „męczą cieleśne narowy” poety („jak nieczuły mąż cnotliwą żonę”), jak zdania o pośrednictwie Matki Bożej, którą możemy „prosić *mnie* straszliwie”, jak obraz Panny Zdziwionej, zacierającej do kolebeczki, „czy prawda, że się Prawda urodziła”, jak ten zdumiewający a głęboki w treści epitet „kończąca wszystko”, jak powiedzenie, że nam z naszymi „ciasno próżnościami”, jak „ból bez ucieczki krwią, suchy, ciuchy” (o Matce Bolesciwej pod krzyżem) — ale jest tego trochę za mało jak na trzysta wierszy skondensowanej myśli teologicznej, nie wszędzie tak przekonywująco przeobrażonej w obraz poetycki jak w tej strofie:

*Pomiędzy nocy pierzchającym cieniem
A różowemi jutrzni przebłyskami,*

Między literą prawa a sumieniem,
Między Zakonu snem a Objawieniem...
Zaranna Gwiazdo, o módl się za nami!

Nie będąc, jak śmiem sądzić, arcydziełem poezji, „Litania” jest bez wątpienia dziełem wielkiego pisarza. Można bowiem być wielkim pisarzem bez arcydzieł, a arcydzieła mogą się, często nawet, trafić pisarzom dalekim od wielkości. Przykład: Gałczyński.

Norwid był wielkim pisarzem, a głównymi filarami jego wielkości nie jest ani nowatorstwo formalne, ani dziwaczna wyobraźnia, lecz — intelektualizm i mistycyzm. To nasz pisarz najwierniejszy myśli i najgłębiej myślący w wierze. Rozprawka Wyki „Cyprian Norwid — poeta i sztukmistrz”, pracowita i interesująca, jest mimo swych zalet przykładem, jak nie naprawdę istotnego nie można powiedzieć o Norwidzie, jeśli się zapomina, że on sam się nazwał *l'artiste religieux* (w żartobliwym „rymie francuskim”, w liście do Bronisława Zaleskiego, 1867).

Intelektualizm i mistycyzm... Może się to wydać niedobraną parą czytelnikowi polskiemu, który pojęcie o mistryce wyrobił sobie na podstawie „mistycznych” fantazji snutych przez „wieszczów” pod wpływem natchnionego szarlatana Towiańskiego. W potocznej mowie inteligenta polskiego, a nawet niejednego intelektualisty, „mistyka” i „mistycyzm” graniczą z... „mistyfikacją”, kojarzą się z czymś mętnym, nieokreślonym, irracjonalnym, z niekontrolowaną uczuciowością i wyobraźnią. Z właściwym sobie „suchym” humorem zauważa gdzieś E.M. Forster: „Co za szkoda, że człowiek nie może równocześnie robić silnego wrażenia i nie mijać się z prawdą”. Wizyjny „mistycyzm” naszych romantyków robi potężne wrażenie poetyckie, ale z religijnego punktu widzenia stanowi oszałamiający mętnik, który należy bez ogródek nazwać mistyką fałszywą, pseudo-mistycyzmem. Prawdziwa mistyka jest bowiem jak najmniej sprawą wyobraźni i uczucia a jak najbardziej intelektu i woli. Asceza, bez której nie ma mowy o prawdziwym mistycyzmie, to jest nie tylko umartwienie apetytów cielesnych, ale może bardziej jeszcze fantazji i emocji. Pokora, bez której mistyka jest mistyfikacją, jest cnotą przede wszystkim intelektualną, jest po prostu trzeźwym sądem o sobie samym. Gdybym miał w dwu słowach powiedzieć, na czym zasadza się prawdziwa mistyka, byłyby to słowa Chrystusa o zaparciu się samego siebie, o obumarciu tego ziarna naszego indywidualnego „ja” („starego człowieka” w Pałowej terminologii), które średniowieczny angielski traktat mistyczny „Chmura niewiedzy” z czarującą rubasnością nazywa „obmierzłą, śmierzdzącą grudką” nakazując „doskonałemu uczniowi Bożemu” zawsze jej „nienawidzieć, gardzić nią i wyzbyć się jej”. Bardzo to trudne, chyba niemożliwe do pogodzenia z ro-

mantycznym indywidualizmem, romantyczną dumą, romantycznym estetyzmem. Dlatego dopiero u Norwida znaleźć można tę — jak sam mówi — „trzeźwość w mistycyzmie”, którą „tylko głęboka znajomość katolicyzmu dać może”. Literacki obraz prawdziwej mistyki dali nie „wieszczowie”, lecz ten skromniejszy — znów według własnego określenia — „pracownik słowa”.

„Litania” nie stanowi oczywiście summy mistycznej Norwida, ale z rozszanych w niej wzmianek o pokorze, cichości, „niemowlęctwie drugim”, o „ja i nie-ja” por. też: „Ty, co nieledwie *zniknął osobą* — Ale Naczyniem stałaś się Duchownem — Gdy nam z naszymi ciasno próżnościami...”) — widzimy od razu, że Norwid doskonale wiedział, o co chodzi. „Litania” jest traktatem poetyckim z zakresu teologii mistycznej, nie „upojną”, romantyczną wizją.

Polonistyka nie traktuje już Norwida jako pogrobowca czy kontynuatora tradycji romantycznej. Coraz częściej pisze się o jego a- czy nawet anty-romantyzmie, którym pod wielu względami wyprzedził Wyspiańskiego i Brzozowskiego. Książd Jarzębowski przenikliwie zauważa skromne, na szarym końcu, miejsce jedynej strofy patriotycznej w „Litaniu”. Norwid, tu przynajmniej, całkowicie oparł się romantycznej pokusie mieszania ojczyzny niebieskiej z ziemską. Polsce daje właściwe miejsce — na ziemi. Wezwanie „Królowej Korony Polskiej” uzasadnia tę strofę i czujemy, że poeta nie uważa go za najważniejsze. Nawiasem warto zwrócić uwagę na echo tej właśnie strofy w — „Trans-atlantyku” Gombrowicza: „A kona wieki i skonać nie może...”.

Dla kogoś, kto pojęcie o mistryce wyrobił sobie na dość nieortodoksyjnych, z katolickiego punktu widzenia, lekturach: na Mistrzu Eckharcie, Fénelonie, Williamie Law, Simone Weil — niełatwa do przyjęcia jest maryjność religijności Norwida. U Simone Weil nie ma bodajże najmniejszej wzmianki o Matce Chrystusa. Zdumiało to nawet anglikanina Eliota (por. jego wstęp do angielskiego przekładu „Enracinement”). Był czas, że kult Matki Bożej wydawał mi się — wyznają to śmiejąc się z siebie przez łzy — zbyt popularny, niegodny katolickiego „intelektualisty”. Pamiętam, z jaką pasją pożerałem wprost, cytowane przez Huxleya w jego „Filozofii wieczystej”, słowa ortodoksyjnego przeciw teologa z okresu tzw. kontr-reformacji, J.J. Oliera:

„Święte światło wiary jest tak czyste, że w porównaniu z nim poszczególne światła są tylko zanieczyszczeniami; nawet wyobrażenia o świętych, o Świętej Pannie Marii, nawet widok Jezusa Chrystusa w Jego człowieczeństwie — są przeszkodami na drodze do oglądania Boga w Jego czystości”.

Na szczęście przed anty-maryjną, protestancką herezją bro-

niły mnie już wtedy pewne wątpliwości. Może najważniejsza (dla mnie osobiście) wiąże się z Bergsonem. Aby wyjaśnić, jak niezwykłym autorytetem jest dla mnie ten wielki filozof, dziś — przejściowo chyba — niemodny, muszę sobie pozwolić na arcyzarozumiałe zwierzenie. Wśród pisarzy i myślicieli, którzy mi imponują, niewielu jest takich, wobec których czuję się piętkiem. Znacznie częściej myślę sobie, że gdyby mi los dał odpowiednie warunki, potrafiłbym — *horribile dictu* — pisać nie gorzej od nich! Nie odnosi się to jednak do szczupłego grona geniuszów, a wśród nich do Bergsona. Czytam go z zachwytem i upokorzeniem: z pewnością, że choć bym się w czepku urodził, nigdy bym nie osiągnął takiej głębi, przenikliwości i niesamowitej precyzji! A Bergson, jak wiadomo, był pod koniec życia żarliwym i tklwym czcicielem Marii.

Dziś, po wielu doświadczeniach i lekturach (ze szczególną wdzięcznością wspominam tu drobny, ale głęboki szkic ojca Bocheńskiego o różańcu) z dawnych oporów pozostało mi niewiele: — sprzeciw wobec pewnych czułościowych i hurra-patriotycznych form, jakie kult maryjny przybiera zwłaszcza w Polsce, smutek, że przysłania on niekiedy sprawy jeszcze ważniejsze, obawa przesady i jednostronności. Religijności polskiej na pewno nie zaszkodziłoby trochę więcej świętej trwogi wobec Bezdenego, Straszliwego, Wszystkookiego (by posłużyć się norwidowskimi epitetami), choćby nawet na tym ucierpieć miała dziecięca ufność wobec Pośredniczki. Prawdziwie dziecięcej ufności nie zresztą nie osłabi, tam jednak, gdzie pod dziecięstwo podszywa się bezmyślne zdziecinnienie, zdałoby się ludźmi wstrząsnąć, aby ich przebudzić z fałszywie słodkiej drzemki. Niech katolicyzm polski pozostanie pod znakiem Marii, ale niech popularny obraz Królowej Korony Polskiej będzie bliższy „Litani” Norwida niż sentymentalnej piosence „Chwalcie łąki umajone...” jego zacnego współczesnika, ks. Antoniewicza.



Ciekawym zadaniem dla socjologa byłoby zbadanie roli, jaką w obyczajach składania sobie upominków imienninowych i innych, odgrywa w różnych środowiskach — książka, piękna książka. Obawiam się, że w naszej diasporze jest to rola malejąca. Dzięki niezałowaniu kosztów przez wydawcę, p. Stefana Zamoyskiego (którego pomocy zawdzięczamy również inną piękną książkę norwidowską: „Miłosierdzie na miarę kłęsk” Marii Czapskiej z ilustracjami Józefa Czapskiego, wyd. „Veritas”) — jakoś papieru, druku, układu graficznego sprawia, że „Do Najświętszej Panny Marji Litanja” jest również pięknym przedmiotem, idealnym podarkiem. Korekta jest bardzo staranna, choć trochę pechowa, bo wkradły się nieważne zresztą omyłki (np. „zwiercidła”, w. 32, i „Niebeska Bramo”, w. 44). Jako podarek to wydanie tym bardziej zasługuje na zalecenie, że — jak czytamy w nocie wydawcy

— dochód jest „przeznaczony na Zakład św. Kazimierza SS Szarytek w Paryżu, w którym Cyprian Norwid sześć lat przeżył i życia dokonał”.

Michał SAMBOR

Mniejszości narodowe w Polsce

Dr Stefan Horak, Ukrainiec z Gródka Jagiellońskiego pod Lwowem, nie wiele miał bezpośrednich kontaktów z administracją polską chociażby z powodu wieku. Szkołę średnią ukończył już pod okupacją sowiecką. Studia uniwersyteckie odbył w Niemczech, doktoryzując się w 1949 r. w Erlangen. W latach 1953 do 1956 pracował we wschodnioeuropejskim instytucie badawczym przy uniwersytecie w Tuebingen. Ogłosił w języku ukraińskim książkę pt. „Historyczna droga Rosji do bolszewizmu”, po niemiecku „Ukraina w polityce międzynarodowej”; wreszcie współpracował nad wydaniem przez wspomniany instytut w Tuebingen tomu „Polen” w Osteuropa-Handbuch. Nie wchodzimy tutaj w ocenę jego poprzednich prac a zajmijmy się jedynie ostatnią, napisaną w Stanach Zjednoczonych (1).

Autor zastrzega się, że jego praca nie stanowi obrachunku z Polską: „Musimy mieć na uwadze, że Niemcy i Polacy, Litwini i Polacy, Ukraińcy i Polacy będą mieli żyć w przyszłości jako sąsiedzi i już chociażby z tego tylko powodu kampania polityczna przeciwko narodowi polskiemu nie może stanowić realnego wkładu w dzieło narodowego porozumienia. Analiza błędów przeszłości stanowi przecież fundament lepszej przyszłości”.

Założenie niewątpliwie słuszne, ale niestety dr Horak nie ustrzegł się ani przed stronniczością ani przed błędami. W naszym przekonaniu jest to skutkiem fałszywego podejścia do zagadnienia.

Autor bowiem ocenia położenie mniejszości narodowych, politykę mniejszościową rządów Polski okresu niepodległości z perspektywy współczesności.

Słusznie wskazuje, że „Polska Wersalu przestała już dawno istnieć i okres 1919-39 jest zamkniętym rozdziałem”, a wobec tego należałoby w całości zagadnienia tego okresu, problematykę polityki mniejszości narodowych, rozpatrywać w skali porównawczej np. z innymi państwami, jak chociażby Czechosłowacja, Rumunia, Niemcy, Węgry, Litwa. A to dopiero pozwoliłoby na obiektywną ocenę polityki polskiej. Dałoby możliwość ustalenia czy np. była ona bardziej czy też mniej tolerancyjna. Należało również ustalić czy np. niektóre posunięcia władz polskich nie były reakcją na politykę innych państw wobec mniejszości. Dr Horak zaniechał tej skali porównawczej.

(1) Stephan Horak: *Poland and Her National Minorities 1919-1939*, Vantage Press, New York 1961, pp. 259.

Statystyką operuje zresztą bardzo dowolnie. Ani razu nie przyjmuje jako wiarygodnego Spisu Powszechnego. Żadnego, a to jest raczej zdumiewające.

Główny Urząd Statystyczny nie miał tendencji fałszowania. Naturalnie sam układ formularza spisowego mógł stwarzać pewne „dyskryminacje” mniejszościowe, ale inne rubryki pozwalały na przeprowadzenie odnośnych poprawek. Na pewno nieuzasadnione są pretensje do tak zwanych „tutejszych”, do których roszczą sobie prawo Białorusini, Litwini i Ukraińcy.

Wszyscy zdają się gwałtownie zapominać, że wśród części ludności pewnych terenów nie istniała wyrobiona świadomość narodowa. A więc i nie było obowiązkiem państwowej administracji polskiej wypychać ją w jakieś określone ramy narodowościowe. Zapewne z biegiem lat na świadomość powstałaby, ale czy byłaby konieczna białoruska? czy ukraińska?... Naturalnie przy odpowiedniej działalności aparatu politycznego ten proces uświadomienia narodowego mógł być i przyspieszony i odpowiednio uformowany. Skoro jednak Główny Urząd Statystyczny w spisach powszechnych nie wcielał „tutejszych” do określonych grup to raczej działał absolutnie uczciwie, sprawiedliwie, a parcelowanie ich między różne mniejszości narodowe jest co najmniej dowolne.

Dr Horak przeprowadza poprawki jeśli idzie grupy mniejszościowe na podstawie obliczeń dokonywanych przez bezpośrednio zainteresowane mniejszości względnie przez Niemców, ustalając wg własnego klucza liczby wyprodukowane. Niestety nie ma powodu do uznania ich za ściśle. Ta metoda pozwołała mu na liczbowe zwiększenie wszystkich mniejszości.

Istotnie Polska nie była pod względem ludnościowym państwem jednolitym, ale odrodzone po pierwszej wojnie światowej państwo nie posiadało — jak utrzymuje dr Horak — aż 39% mniejszości ani też „nie były one w większości wrogie wobec rządów polskich”. Owszem, nastroje takie powstały, ale dopiero z biegiem lat. Istotniejsze jednak jest, że obok Polski istniały inne państwa z poważnym odsetkiem mniejszości narodowych. Traktat Wersalski nie zdołał ustanowić państw w granicach etnograficznych. A złożyło się na to szereg czynników, o których nie będziemy tutaj mówić. Można jednakże zaryzykować twierdzenie, iż upadek Europy Wersalskiej nie został spowodowany problematyką etnograficzną.

Zapewne młoda administracja polska, chwiejna i zmienna polityka pierwszych lat niepodległości zaważyły na ustosunkowaniu się do mniejszości narodowych, a nastawienie pewnych stronnictw politycznych, dokonało reszty.

Przecież dwaj ministrowie rządu Bartla: K. Młodzianowski — sprawy wewnętrzne, i A. Sujkowski — oświata, otrzymali 20 września 1926 r. votum nieufności w związku ze swoimi wnioskami w sprawie rewizji polityki wobec mniejszości narodowej. Ani projekt autonomii dla obszarów południowo-wschodnich, ani projekt uniwersytetu ukraińskiego, nie posiadały poparcia polskich stronnictw z wyjątkiem PPS. W obozie piłsudczyków byli co prawda zwolennicy porozumienia z Ukraińcami i innymi mniejszościami narodowymi, by wymienić tylko najwybitniejszych orędowników takiej polityki: Tadeusza Hołówkę, Henryka Józefskiego i Piotra Dunin-Borkowskiego, ale wysiłki ich nie zostały uwieńczone powodzeniem. Autor zresztą lojalnie zaznacza, że „antyukrainie i antyzydowskie zarzą-

dzenia nie posiadały jednomyślnego poparcia polskich intelektualistów”.

Praca dr. Horaka omawia wyczerpująco, posługując się źródłami polskimi, mniejszości narodowych i zagranicznymi, położenie wszystkich grup mniejszościowych uwypuklając zarządzenia dyskryminacyjne władz polskich. Zakres ich autor z zasady ilustruje jednak zbyt jednostronnie, bo niemal wyłącznie bądź relacjami poszkodowanych bądź zagranicznymi, niezbyt obiektywnymi. Gdyby dr Horak pokusił się o rozszerzenie swego studium i przedstawił podłoże polityczne przede wszystkim ruchów ukraińskich, białoruskich i niemieckich w Polsce, wówczas niewątpliwie owe dyskryminacyjne, a nawet wrogie — posunięcia władz polskich zarysowałyby się w trochę innym świetle. Wiadomo przecież, że mniejszości narodowe nie były politycznie jednorodne. Istniały ugrupowania o programie umiarkowanym, zmierzającym do współpracy, lojalnego współżycia w ramach państwowości polskiej. Te ugrupowania mogły — założenie czysto teoretyczne — wzrastać w siłę w miarę tolerancyjnej polityki władz polskich, względnie upadać w następstwie odmiennej polityki. Nie ulega wątpliwości, iż te ugrupowania w ogóle nie zdołały okrzepnąć wskutek świadomej, celowej działalności ugrupowań niepodległościowych. Posługiwały się one terrorem, wykonując zamachy zarówno na ziomków, jak na Polaków. Niezależnie od tego jak ocenia się politykę administracji państwowej, niesposób nie uznać konieczności walki z takimi metodami. Nie ulega wątpliwości, że zastosowanie radykalnych, drastycznych metod przez mniejszościowe ugrupowania niepodległościowe, w pierwszym rzędzie Ukraińców, spowodowało jeszcze ostrzejszą reakcję władz państwowych. Nie tu miejsce na rozpatrzenie kapitalnego zagadnienia, a mianowicie czy ta metoda ukraińskiej walki niepodległościowej była celowa oraz czy nasza administracja państwowa nie mogła wyciągnąć z tej sytuacji innych wniosków politycznych aniżeli uczyniła? Pytania te narzucają się ze szczególną ostrością na tle wydarzeń w niektórych krajach w ostatnich latach, świadczących dobitnie, iż zamachowcy, przywódcy najbardziej skrajnych ruchów narodowych, mogą być kontrahentami i partnerami.

Zdaniem naszym dr Horak myli się sądząc, że państwa w granicach etnograficznych są rozwiązaniem wszelkich trudności. Jego wnioskowi końcowym nie brak zresztą pewnych podtonów.

„Jeśli historia pewnego dnia spojrzy na komunizm jako fenomen przeszłości w rozwoju wschodniej Europy, nie powinno się zaniedbać doświadczeń przeszłości jako przewodnika przyszłości.

Państwo dzielące swoich mieszkańców na obywateli pierwszej i drugiej kategorii jest przestarzałe. Powstać winno państwo, którego obywatele posiadać będą równe prawa i przywileje. Jest to zasadniczy, przedwstępny warunek rozwiązania problemu Europy Centralnej”.

Dostrzegając konieczność większych organizmów ze względów ekonomicznych dr Horak wywodzi:

„Nie można lepiej służyć idei ustanowienia Unii Europejskiej aniżeli przez stworzenie niższej struktury opartej na państwach, posiadających granice wzdłuż linii etnograficznej. Takie państwa będą mogły łatwo wstąpić w szersze jednostki ekonomiczne w każdej sytuacji, gdy będzie to podyktowane wydajnością gospodarczą.

W takim rozwiązaniu spór o Wilno, Gdańsk, Lwów czy Wrocław nabierze innego wrażeń...".

Oczywiście nie jest to żaden program polityczny, ale koncepcja, która narzuca się Autorowi z podsumowania jego analizy. Jest jednak zarówno zbyt ogólnikowa jak i zwięzła, by można ją dyskutować.

Praca dr. Horaka, przy wyluszczeniach zastrzeżeniach, stanowi poważną, źródłową próbę opracowania jednego z minionych problemów Polski. Autor nie ustrzegł się od zbędnych uszczypliwości pod naszym adresem, jak np. w takim zwrocie: „Polacy uważają Mazurów i Kaszubów za Polaków, jakkolwiek nie zawsze jest to prawdą”.

Benedykt HEYDENKORN

Nadesłane nowości wydawnicze

- PANKOWSKI (Marian). *Bukencie*. Str. 41 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1962).
- BEDNARCZYK (Czesław). *Rdza*. Str. 26 i 2 nlb. (Wiersze). (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1962).
- CZEREŚNIEWSKI (Wawrzyniec). *Motywy greckie*. Wierszy tom szósty. Str. 17 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1962).
- PARNICKI (Teodor). *Nowa Baśń*. Cz. I.: Robotnicy wezwani o jedenastej. Str. 277 i 3 nlb. (Nakł. P.I.W., Warszawa, 1962, cena zł. 30).
- KRASUSKI (Jerzy). *Stosunki polsko-niemieckie 1919-1925*. Str. 522 i 2 nlb. (Wyd. Instytut Zachodni, Poznań, 1962, cena zł. 90).
- Cienie i odcienie*. Praca zbiorowa (Antonio d'Ambrosio, „Francus”, Harry Treiber, John Boynton, „Scandinavia”, słowo wstępne Jean Bernier). Str. 180 i 4 nlb. (Nakładem Księgarni Orbis-Polonia, Londyn, 1962).
- MONTIAS (John Michael). *Central Planning in Poland*. Str. 410 i 4 nlb. (Wyd. Yale University Press, New Haven and London, 1962, cena dol. 7.50).
- SŁAWIAN (Juliusz). *Mowa życia* (The language of the life). Str. 96. (Nakładem autora, Israel, 1961, cena L.I. 1,60).
- TYMIENIECKA (Anna-Teresa). *Phenomenology and Science* with a Foreword by I.M. Bocheński. Str. 198 i 4 nlb. (Wyd. Farrar, Straus and Cudahy, New York, 1962, cena dol. 4.95).
- PASZKOWSKI (Czesław). *Bechiamont*. Poezje. Tom II. Str. 189 i 1 nlb. (Nakł. Wiarusa Polskiego Niezależnego, Lille-Franca, 1961).
- KOROLEVA (Natalena). *Quid est Veritas*. Powieść historyczna w jez. ukraińskim. Str. 451 i 1 nlb. (Wyd. Mykoła Denysiuk Publishing Co., Chicago, 1961, cena dol. 5.50).
- TERTZ (Abram). *The Trial Begins* (w języku Pak-Bengali, wyd. książkowe) (kwiecień, 1962).

- KRÓTKI (Karol J.). *First Release from the Second Population census of Pakistan*, 1961. Str. 11. (Odbitka z „The Pakistan Development Economics. Karachi, Vol. I, Nr 2, jesień 1961).
- KRÓTKI (Karol J.). *A first Glance at Pakistan's Age Distribution*. Str. 64-75. (Odbitka z „The Pakistan Development Review”, Karachi, Vol. I., Nr 1, lato 1961).
- KRÓTKI (Karol J.). *Population Control*. Str. 10. (Odbitka z „The Pakistan Development Review”, Karachi, Vol. I., Nr 3, zima 1961).
- KRÓTKI (Karol J.). *Some Problems in Interviewing Response and Quality Checks in Large Scale Surveys*. Str. 25-36. (Odbitka z „Proceeding of the Pakistan Statistical Association”, Lahore (Pakistan), Vol. 9 (1960-61).
- ZAJĄC (J. L.). *Studies in Perspective*. Str. 333-340. (Odbitka z „Brit. J. Psychol. (1961), 52, 4).
- ZAJĄC (Józef L. gen. dyw. pil. dr). *Dowodzenie lotnictwem polskim w kampanii wrześniowej 1939 roku*. Str. 18-45. (Odbitka z „Bellony” Londyn, Rok XLII, Zeszyt I i II 1961).
- KRÓTKI (Karol Józef). *Political Statistics in Sudan*. Str. 84-95. (Odbitka z „Report on the Sixth Annual Conference of the Philosophical Society of Sudan”, Khartoum, 1958).
- KRÓTKI (Karol Józef). *Demographic Survey of Sudan*. Str. 20-40. (Odbitka z „Report on the Sixth Annual Conference of the Philosophical Society of Sudan”, Khartoum, 1958).
- LEWYTZKYJ (Borys). *Vom roten Terror zur sozialistischen Gesetzlichkeit. Der sowjetische Sicherheitsdienst*. Str. 288. (Wyd. Nymphenburger Verlagshandlung, Monachium, 1961. Cena DM. 18,80).
- WULF (Josef). *Das Dritte Reich und seine Volkstrecke*. Die Li-
- quidation von 500.000 Juden in Ghetto Warschau. Str. 390 i 50 fotosów. (Wyd. Arami Verlags-GmH. Berlin-Grunwald, 1961).
- CIECHANOWSKI (Andrzej). *Michał Kazimierz Ogiński und sein Musenhof zu Slonim*. Str. 212. Indeks. (Wyd. Boehlau Verlag, Koeln-Graz, 1961 jako tom 2 serii „Beitraege zur Geschichte Osteuropas”).
- KAMENETSKY (Igor). *Secret Nazi Plans for Eastern Europe. A Study of Lebensraum Policies*. Str. 263 w tym załączniki, noty, bibliografia i indeks. (Wyd. Bookman Associates, New York, 1961).
- JUKIC (Ilija). *Tito between East West*. Str. 99. (Wyd. Demos Publishing Company, Londyn, 1961, cena 14/- lub dol. 2,50).
- NAGY (Balazs). *La formation du Conseil Central Ouvrier de Budapest en 1956*. Str. 78. (Wyd. Institut Imre Nagy de Sciences Politiques, Bruxelles, 1961).
- GIERGIELEWICZ (M), MARKIEWICZ (Z.), SAKOWSKI (J.), SELIGA (S.), TERLECKI (T.), WEINTRAUB (W.), ZALESKI (Z. L.). *Literatura polska od czasów najdawniejszych do r. 1939*. Skróc. cz. III wydawnictwa „Polska i jej dorobek dziejowy”, opracowanego pod red. prof. dra H. Paszkiewiczą przez 56 uczonych i specjalistów przebywających w wolnym świecie. Str. 8. (Nakł. Księgarni polskiej „Orbis-Polonia”, Londyn, 1961).
- BRZEZINSKI (Zbigniew K.). *Political Developments in the sino-soviet Bloc*. Str. 40-52. Odbitka z „The Annals of the American Academy of Political and Social Science, Philadelphia, Vol. 336 (July 1961).
- LEWYTZKYJ (Borys). *Evolution in der sowjetischen Planungspolitik*. Str. 351-362. (Odbitka z Oesterreichische Ost-Hefte, Nr 5/ 1961, Wien).

Listy do Redakcji

Кембридж, 22-го юня 1962.

Многоуважаемый господин редактор !

По сообщению июньского номера Вашего журнала Е. Евтушенко распространяет слухи относительно того, что я Терц. Подобные слухи тянутся за мной уже давно, хотя я, как и сообщает Ваш лондонский корреспондент, неоднократно в личных беседах и частных письмах опровергал их. Позвольте мне, воспользовавшись страницами Вашего журнала, на этот раз опровергнуть их печатно.

Если Е. Евтушенко действительно распространяет те циркулирующие в эмиграции слухи, о которых пишет Вам корреспондент, то "новаторство" его заключается только в том, что, по его словам, лично я являюсь их источником. Этого до сих пор еще никто не утверждал. Е. Евтушенко, конечно, понимает, что с высоты своего положения он может причинить мне определенные неприятности. Но все же хочется верить, что он при этом руководствуется мотивами, которые нам, издалека не могут быть понятны.

С уважением
/ А. Дольберг /

Cambridge, 22 czerwca 1962

Szanowny Panie Redaktorze !

Według wiadomości z czerwcowego numeru Pana pisma E. Jewtuszenko rozpowszechnia wieści, że ja jestem Tercem. Podobne plotki ciągną się za mną od dawna, chociaż — jak o tym informuje Pana londyński korespondent — wielokrotnie w prywatnych rozmowach i listach je dementowałem. Proszę o pozwolenie skorzystania mi z łamów Pana pisma, by tym razem sprostować te plotki na piśmie.

Jeśli E. Jewtuszenko rzeczywiście rozpowszechnia te kursujące na emigracji plotki, o których pisze Pana korespondent, to „nowość” ich polega tylko na tym, że według jego słów to ja sam je rozpuszczam. Tego jeszcze nikt do tej pory nie twierdził. E. Jewtuszenko ma się rozumieć wie doskonale, że z zajmowanej przez siebie pozycji może mi zrobić konkretne nieprzyjemności. Mimo wszystko chce się wierzyć, że w tym wszystkim powoduje się on motywami które nam, z daleka, mogą być niezrozumiałe.

Z poważaniem.

(tłum. Red.)

A. DOLBERG

Monachium, 14.6.62 r.

Szanowny Panie Redaktorze !

P. Ciołkosz podał wyjątek z ciekawego dokumentu, jakim jest sprawozdanie z Oświęcimia z r. 1943. Szkoda, że p. Ciołkosz zdecydował się na ogłoszenie tylko fragmentu sprawozdania.

W opublikowanym dokumencie czytamy o rozstrzelaniu płk. Gilowicza-Lisowskiego-Stamirowskiego. Takie sformułowanie sugeruje, że chodzi tu o jednego człowieka, znanego pod trzema nazwiskami. Tymczasem w rzeczywistości było ich oczywiście trzech.

Lisowskiego i Stamirowskiego znałem osobiście. Tadeusz Lisowski był kapem kartoflarni, przytułku kalek, starców, inteligencji i orkiestry. Dobry człowiek, ale choleryk a przy tym silacz. Jednym ciosem potrafił zwalić z nóg i rozkwasić twarz. Czy to było jego prawdziwe nazwisko? W Oświęcimiu mówiło się, że się nazywał inaczej. Jego domniemane nazwisko słyszałem, ale zapomniałem. Pamiętam tylko, że było włoskie.

Stamirowski stracił rękę na Pawiaku i był tragarzem w kartoflarni. Mieszkaliśmy na tej samej sztubie.

Gilowicz (czy też Gilewicz?) był ponoć dowódcą pułku lotnictwa w Lidzie. Stał chyba na czele organizacji oświęcimskiej, bo o rozwalce, w której zginął, mówiło się często „sprawa Gilowicza”.

W tej samej sprawie Niemcy rozwalili też znanego adwokata warszawskiego, Szumańskiego, którego dzieje oświęcimskie były niezwykle, bo — znalazł się tam dwukrotnie. Za pierwszym razem go zwolniono, ale potem Gestapo znowu go aresztowało. Szumański mi mówił, że Lagerführer Aumeier mu powiedział za drugim razem, że jest podejrzany o komunizm.

W tejże sprawie Gilowicza na blok dwudziesty piąty przyszedł kiedyś Boger (zdaje się, że był Hauptscharführerem) i pytał o Trapszę, którego akurat przypadkiem nie było na bloku. Takie zapytanie ze strony Bogera oznaczało murowany bunker (blok 11), co znowu było prawie gwarancją rozwalenia. Można sobie wyobrazić, co Trapszo przeżywał przez następne dni. Ale Boger chyba zapomniał, bo nigdy więcej Trapszą się nie zainteresował.

Wyspa organizacji, na której czele miał stać Gilowicz, była podobno dziełem niejakiego Marketona czy też Marketana, osobnika z wyglądu odrażającego. Czy był rzeczywiście kapusiem, nie wiem. Dość że go więźniowie ciężko pobili, musiał iść na Krankenbau, gdzie już go dokończono.

Na emigracji przebywał przed laty p. D., bez ręki, podobno oficer z Lidy, rękę miał stracić w nalicie w r. 1939. Też pracował w kartoflarni. Politische Abteilung aresztowało go w tej samej sprawie, ale potem zwolniono go z bunkra. Może się odezwie?

Cała organizacja wtedy nie wpadła. Wiem, że należał do niej mój wuj, Jan Kawczyński, i jego przyjaciel (Marian) z Baubüro. Obydwaj liczyli się z aresztowaniem, ale ich minęło.

Warto by poznać całą tę historię dokładnie. W dziejach Oświęcimia, dotychczas całkiem nieznanych, sprawa Gilowicza była incydentem znaczącym. Polacy organizowali się i nie kapitulowali nawet w chwili, kiedy wydawało się, że wszystko się skończyło.

Z poważaniem

Wojciech GNIATCZYŃSKI

Caracas, 10 maja 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Doprawdy, nie potrafię i nie umiem zrozumieć; co pozwala „całkiem młodemu” i jeszcze niecałkowicie uformowanemu poecie i pisarzowi — jakim niewątpliwie jest p. Adam Czerniawski — jak i cały jego rzut pokoleniowy (włącznie ze mną) — na postawy aż tak zadziwiająco niekonsekwentne i „konformistyczne”?

P. Adam Czerniawski podważa wszelką wartość i cel regionalnych konkursów literackich aktualnie przytaczając całkowitą zbędność Konkursu literackiego rozpisanego przez „Głos Polski” w Buenos Aires w Argentynie.

W swej argumentacji p. Czerniawski radzi skoncentrowanie uwagi i zabiegów fundatorów „wszelkich konkursów” dokoła kilkunastu zapoznanych emigracyjnych nazwisk wśród których „wstydliwie”, i oczywiście, — niby to mimochodem — umiejscawia nazwiska niektórych młodych pisarzy z londyńskiej grupy „Kontynentów”. Ale ten bardzo chwalebny egocentryzm obserwujemy w „Kontynentach” od dawna, z uśmiechem całkowitego pobłażania.

Sądzę że oprawa całego wywodu p. Czerniawskiego w trzydziści „znanych nazwisk” (jakich?) nie wyjaśnia i nie zatłwia niczego. Zresztą, cóż to za minimalizm? I cóż za straszliwy gust?... Tu chcę krzyknąć: — Ludzie litości! Mamyż więc być skazani tylko na te przednie nazwiska? Na te zapoznane wartości ludzi, którzy o sobie głośno krzykali: „że są bez szans!”, i, że sami w siebie już nie wierzą!

Grafomani, przynajmniej mają to do siebie, że w siebie wierzą. Tu, dość bezceremonialnie powiem: Wprawdzie te nazwiska choć istotnie legitymują się pokaznym dorobkiem, to przecież nie dają żadnej gwarancji, że w ogóle zdobędą się na jakiś wysiłek większy. I właśnie chociażby dlatego miejsce na konkursy dla „Gruszek” z Montevideo znaleźć się powinno — A nawet, i dla p. Czerniawskiego...

P. Czerniawski cały swój wywód zasłania i zaciemnia terminem: „grafomania”, nie precyzując jednak: co i kogo pod to pojęcie podciąga? A to jest bardzo ciekawe! Bo i cóż z tego: że Gruszka, i że z Montevideo?... Kto słyszał o Yoknapatawpha, gdzie wielki pisarz amerykański, William Faulkner, zaczynał swój start pisarski? Młody pisarz niekoniecznie też musi zaraz należeć do literackiej „crème de crème” — bardziej celebrującej siebie niż samą literaturę. Wcale nie mam zamiaru zachęcać grafomanów by tłumnie zjawili się na 14 Lillyville Road, czy np. w Maisons. Ale w ogóle wątpię, czy owych trzydziestu „dojrzałych”, których wybrał p. Czerniawski potrafi zaspokoić potrzeby i gusty czytelnicze, i, zapełnić lamy pism literackich dobrą robotą, której te istotnie potrzebują? „Kontynenty” dowodu takiego nie dostarczyły, choć pp.: Sulik i Czaykowski w swojej pracy: „Polacy w Wielkiej Brytanii” zarzucali to pismom innym? I zresztą — gdzież by pisali i w jakich startowali konkursach ci? — o których p. Witold Gombrowicz powiedział, „że ich czytać nie będzie”. A właśnie, być czytany; jest sztuką!

Więc nie palmy na stosie nikogo i nie wznosmy małych glinianych ołtarzyków, bo to sytuacji w niczym nie poprawi. Elitarne ciągoty dowodzą tylko całkowitego niezrozumienia problemu. Bo jednak na Konkurs w Buenos Aires — któremu p. Czerniawski odmawia wszelkich praw — wpłynęło prac aż 67. To jest akurat tyle ile wpływa do najpoważniejszych pism literackich w Londynie i Paryżu. Redakcja „Głosu Polski” bardzo ładnie podała do wiadomości publicznej tytuły prac i godła. A byłoby jeszcze

lepiej, gdyby później ogłosiła i nazwiska wszystkich biorących w tym Konkursie udział. W ten sposób moglibyśmy dowiedzieć się, czy „Gruszka”, przypadkiem nie napisał szkicu lepszego od pisarza tak renomowanego jakim np. jest p. Gustaw Herling-Grudziński, czy p. Jan Bielawicz?

Niekoniecznie też „Gruszka” musi wiedzieć o literaturze wszystkie „e” i „a”. Wymagany jest warunek tylko jeden: by umiał pisać i tym co pisze zdobywać czytelnika. Bo tak już jest, że ci, którzy o literaturze wszystko wiedzą, najczęściej, sami tworzyć jej — w wielkim stylu — nie potrafią.

Skończmy więc z zabiegami o „opiekę” nad małą grupą celebrantów sztuki pisania. Dostatecznie już zapędzili oni literaturę w uliczki bez wyjścia... Te pożał się Boże „anty-powieści”? Ta „anty-poezja”? Czyż Kozielewski nie udowodnił: w „Trzeba głęboko oddychać”, że prawdziwa literatura to umiejętnie łączenie formy i treści, które są wprost niewyczerpane! To właśnie jest to, nic więcej!

Więc: „ g r a f o m a n i ”, — na scenę!

— Coś z tego może wyjdzie?

Józef JENNE

Artykuł „Oprotestowujemy Testament Kisielewskiego” (1) — jak to artykuł bogaty w myśli: z tym i owym można się zgodzić, albo i nie. Ale jedno budzi sprzeciw: autor stosuje tu stary chwyt polemiczny, ale do perfekcji doprowadzony przez komunistów. Tak zwane „falszywe utożsamianie”. Utożsamia się na przykład bankierów z Wall Street z całokształtem życia gospodarczego USA, potem z jego polityką, rządem, państwem, wreszcie ze społeczeństwem, a wtedy już, jak dojrzałe ulegalki, wpadają do komunistycznego fartucha etykiety na niemilych filozofów i poetów: „agenci Wall Street”.

„Oprotestowujemy” rozprawia się z Kisielem — no i na zdrowie!, ale po kilku kartkach Kisiel znika a na ringu, układany „pieściami”, chwieje się „Tygodnik Powszechny”, „politycy katolicy” w ogóle, ba, „polska myśl katolicka”.

Autor „Oprotestowujemy” przekonywująco przedstawia fakt wymówienia posłuszeństwa przez niemal ogół starych kppowców oraz zbuntowaną młodzież komunistyczną jako podstawową przyczynę kapitulacji Chruszczowa i tow. w pamiętnych dniach października 1956, jako też obecnego tolerowania „specyfiki” Polski gomulkowski. „Jeżeli Warszawa uniknęła masakry budapestęńskiej, to głównie dlatego, że dogmatycy oraz pragmatyci moskiewscy stwierdzili, że nie mają tu kim rządzić”. — Zgoda, to wydaje się trafne.

Ale jeżeli ogół — niemal — komunistów polskich wymówił wówczas Moskwie posłuszeństwo, to nie z powodu „dramatycznych perypetii KPP” — (niemałą rolę i to odegrało) — ale głównie dlatego, że przez lat 12, trzymając naród i polskie klasy pracujące w bolszewickiej opresji, komuniści sami byli pod presją jawnego czy głuchego, ale nigdy nie ustającego, z każdym aktem gwałtu, z każdym kłamstwem wzrastającego oporu, wrogości, nienawiści ogółu narodu. A znowu, opór ten nie mógłby być aż tak wytrwały, tak zaciekle i tak nieprzekupny, gdyby masy narodu nie miały duchowego ośrodka krystalizacyjnego w katolicyzmie. Podkreślam: duchowego, nie jest to bowiem sprawą kleru i jego hierarchii. Gdyby nawet proporcje liczbowe były odwrócone, zatem, gdyby 95% kleru przystąpiło do Paxu — rzecz nie do pomyślenia — wystarczyłoby i owych

(1) Kultura nr 7/8, 1962 r.

pozostałych 5%. Bo, losu ironią, stalinizm, na pewno nie gorzej niż car Mikołaj I, pracował dla katolicyzmu polskiego. I naród polski, jak chyba nigdy przedtem, pod stalinizmem uświadomił się sobie w „swoim jestestwie” katolickim. Czy to się komu podoba, czy nie. Co ważniejsza, *pomimo i obok* starych grzechów „nałogów polskiej myśli endecko-katolickiej”, obskurantyzmu przeważającego odłamu kleru w okresie dwudziestolecia, katolicyzm polski *pod stalinizmem* wysublimował się. Co bynajmniej nie znaczy, że i obskurantyzm i endeckoidalne skłonności nie dochodzą żywo, dziś może znów coraz żywiej do głosu. Wszakże jest rzeczą wielkiej wagi, że i wśród kleru i w społeczeństwie działają już nie tylko jednostki i marginesowe grupki (przedwojenne „Verbum”, Laski), ale i ośrodki wysokiej i światłej myśli, i że jeżeli nie społeczeństwo katolickie, to przynajmniej jego wartościowa część gotowa jest do jej przyjęcia. Te procesy nieśmiałe, ale obiecujące, zachodzące w polskim katolicyzmie, zasługują może na niemięjszą uwagę, niż perypetie myśli rewizjonistycznej? Co więcej, „światna i oryginalna” — jak pisze słusznie autor — „jedyna w kraju laicka myśl postępową” młodych rewizjonistów mogła zaistnieć i funkcjonować jedynie dzięki oporowi mas narodu, czyli: na podglebiu czy się chce czy się nie chce, katolickim, i bez niego tkwiłaby nadal w drętwej mowie kateleptycznej czy oportunistycznej, a obudziwszy się zostałaby zatłuczona albo i zamarłą w nowym odrętwieniu. Nie trzeba zapominać, że inteligentny i subtelnie uczony Kołakowski jeszcze w 1954 czy 55, ogłosił książeczkę o filozofii katolickiej i redagował dla „Słownika Wyrazów Obcych” hasła filozoficzne wedle sowieckiego wzoru: więc, mówiąc z niejaką przesadą — tłumacząc różnicę np. między Leibnizem a Kartezjuszem — różnicą stosownych wywiadów. A i dziś, siłą faktów, zmuszony jest swoją rzeczywistość „światną myśl laicką” i niemniej świetne pióro marnotrawić na pastisze pod Krowickiego, a wykształcony i inteligentny esseista J. Strzelecki przeciwstawia urokom polskiego niedostatku — piekło obfitości dóbr materialnych w USA. Jeżeli więc autor „Oprotestowujemy” ubolewa nad degradacją publicystów katolickich, niechże się z kolei rozejrzy, co się dzieje z drogimi jego myślami, a zapewne i sercu myślicielami laickimi.

Prawda, że ci spłycili się i wędną *pod przymusem*, a Kisiel i jego towarzysze degradują się dobrowolnie: pewno nikt tego od nich nie wymaga a na pewno nikt ich do tego nie przymusza. Zatem — w stosunku do nich, ale *tylko do nich*, autor słusznie mówi o „kieszonkowym jezuityzmie nonkonformistów katolickich”. Straszna to w istocie rzecz, w obecnych polskich warunkach, gdy amator pcha się w wielką politykę. Kisiel robił dobrą politykę, póki był felietonista, i robi kiepskie felietony, odkąd stał się politykiem. Nie boli mnie głowa o jakość jego felietonów, i jest bez znaczenia, że i one, i np. propagitowe objazdy pasterskie zagranicą Eminencji Zawieyskiego w okresie kryzysu berlińskiego — budziły tu niesmak. Mniejsza o to. Ale ważne jest, że ogłaszane zapewne dla doraźnych korzyści (nie lekceważmy ich — idzie tu niekiedy o byt instytucji), te miłosne admiracje dla ZSSR, te litanie do Chruszczowa, te samozwańcze deklaracje, iż cały naród polski jest obecnie za reżymem komunistycznym pono „pragmatycznym” — gdybyż tylko wypowiedane przed audytorium emigracyjnym! ale ciągle drukowane — niestety, w „Tygodniku Powszechnym”, gubią rzecz stokroć cenniejszą. Mianowicie, powodują zmaczenie, zwichnięcie owej duchowej osi krystalizacyjnej, o której była mowa. Ze tym sposobem „obóz katolicki” wchodzi na równię pochyłą postępujących kompromisów z przeciwnikiem, który zwykł przelykać stokroć silniejszych i chytrzejszych niż Kisiel, Stomma i tow. partnerów. Dzieje się to ze szkoda nie tylko dla katolicyzmu — nie nasza to rzecz o tym orzekać — ale i dla obecnego statusu Polski, co już nas wszystkich obchodzić musi. Bo, jak słusznie autor zaznacza,

ten status jest i długo jeszcze będzie nieustannie zagrożony ponowną sowieetyzacją, czy NRD-yzacją. Rzeczywiście, wszystko tu zależy od potencjału oporu, czyli od wiedzy Moskwy o tym potencjale.

Aha — mógłby powiedzieć autor — więc miałem rację utożsamiając tę grupę z „Tygodnikiem Powszechnym”, z politykami katolickimi w ogóle — skoro ta grupka jest trzonem ich sejmowej reprezentacji! Nie miał racji. A i może tego nie powie?, bo z artykułu wynika, że ma na rzeczy spojrznie szersze. Niechże więc wycofa bodaj ten jeden — brzydki i krzywdzący — frazes: „Wydaje się, że politycy katolicy, za cenę pozbycia się plagi bolszewickiej, nie bez ulgi pogodziliby się z dominacją Rosji pragmatyków, empiryków?” — stare to zresztą nałogi polskiej myśli endecko-katolickiej”.

Szymon KAMIŃSKI

Z tego jednego frazesu autor „Oprotestowujemy” wycofuje się z całą gotowością. Zresztą, pisząc: „polska myśl endecko-katolicka” miał tylko takąową na myśli i nie utożsamiał jej z polską myślą katolicką w ogóle i zawsze. Ale, bądź co bądź, jest faktem bezspornym, że w okresie międzywojennym, a i znacznie wcześniej, ta jej szkaradna odmiana, endecka i endeckoidalno-koltuńska, antysemicka, a w stosunku do zaborców ugodowa, dominowała w Polsce. A i dziś przejawia groźną zaiste żywotność.

Więc o co ten spór? — skoro „ci publicyści” stanowią polityczną czołówkę „Tygodnika Powszechnego”, a politycy „trzon katolickiej reprezentacji sejmowej”? Kto w „Tygodniku Powszechnym” wypowiadał się — jawnie, niedwuznacznie, publicznie — przeciwko, mówiąc łagodnie, wybrukom myśli czołowych i reprezentatywnych jego publicystów-polityków? Niechby się takie głosy rozległy, z radością „odszczekamy” zarzut pod adresem ogółu polityków katolickich.

Tamci zasłaniają się warunkami geopolitycznymi, real-polityką, ich rzekomo ezoteryczną wiedzą o Polsce dzisiejszej, hasłem ratowania tego, co się da itp. — stare to piosenki wszystkich ugodowców od lat bez mała 150. Ich nędzę ujawniała historia raz po raz.

Zgoda natomiast na podkreślenie przez p. Sz. Kamińskiego roli i wagi katolicyzmu polskiego (czy katolickiej polskości) pod stalinizmem. Ale tak już jest, że w polityce liczy się dziś, a nie wczoraj. Zresztą p. Kamiński mocno rzecz upraszcza: w krystalizacji oporu narodu przeciwko sowieetyzacji niemałą rolę odegrała i narodowa pamięć insurekcyjna, i żywe wciąż w środowisku proletariackim tradycje polskich ruchów robotniczych.

(Przypis autora „Oprotestowujemy Testament Kisielewskiego”)

Waszyngton, 7 sierpnia 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Ponieważ w „Kulturze” za lipiec-sierpień zauważyłem zapowiedź wydania „Piętnastolecia Kultury” w osobnej odblacie, zatem śpieszę zwrócić uwagę na drobną niedokładność, jaka się zakradła na str. 213. Piszą Panowie, iż obie moje książki wyszły w języku „amerykańskim”. Pragnę uzupełnić, że wyszły one również w języku angielskim, gdyż najpierw zostały wydane przez firmę Allen & Unwin w Londynie i w Anglii oraz dominiach doczekały się licznych recenzji, a dopiero po upływie kilku mie-

sięcy każda z nich została wydana przez firmę Macmillan Co. w New Jorku.

Łączę serdeczne pozdrowienia

Stefan KORBONSKI

Londyn, dn. 23.7.62 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

„Nowa Kultura” zamieściła w numerze z 3 czerwca niepodpisany artykuł pod tytułem „Skandal w Formentor”. Artykuł ten przedstawia tegoroczne obrady Jury Międzynarodowej Nagrody Wydawców (którą otrzymał młody pisarz niemiecki Uwe Johnson) w świetle całkowicie absurdalnym, przypisując mnie przy tym w tych obradach decydującą i ponurą rolę. Aby wymiana listów pomiędzy mną i redakcją „Nowej Kultury”, którą chcę podać do wiadomości czytelników Pańskiego miesięcznika, była dla nich jasna, pozwolę sobie zacytować kilka ustępów z tego artykułu.

„Nowa Kultura” zaczyna od stwierdzenia, że przyznanie nagrody Uwe Johnsonowi jest niezrozumiałe, po czym przeprowadza własne, zadziwiające zawiłe „dochodzenia”:

„Nagrodę otrzymał Uwe Johnson.

„Dlaczego?”

„Rabka tajemnicy uchylił nieco paryski „L'Express”. Niby, że chodziło o to żeby dać satysfakcję Niemcom... Ta argumentacja mogłaby ewentualnie wytrzymać krtykę, gdyby Uwe Johnson był jedynym kandydatem niemieckim. Ale Johnson miał kontrkandydata Niemca, Günthera Grassa, autora „Blechtrommel”, bestsellera w NRF, książki ambitnej... Dlaczego więc nie Grass? Sprawa jest prosta. Johnson miał tę nad Grassem przewagę że wychowany w NRD zmienił ojczyznę, po prostu przeniósł się do NRF. Ta kwalifikacja przeważała szale... Na kongresie w Formentor byli suferzy, którzy o tym dobrze wiedzieli, którzy to docenili i potrafili zerować na naiwności politycznej pisarzy. Dowód? Powołamy się znowu na „Manchester Guardian”, który niechętny ujawnił tajemnicę sukcesu Johnsona: „Melvin Lasky popierał młodych pisarzy niemieckich” (czytaj: Uwe Johnsona). Tak, Melvin Lasky, szara eminencja Wolnej Europy, organizator różnych kongresów w „obronie wolności kultury”, inspirator wszystkich intryg antykomunistycznych w dziedzinie kultury. Tak, to on dostał nagrodę, a nie Uwe Johnson”.

W odpowiedzi na ten artykuł wysłałem do redaktora „Nowej Kultury” list w języku angielskim o następującej treści:

Encounter, Londyn, 18 czerwca 1962 r.

Dear Sir,

Podobnie do wielu innych redaktorów miesięczników i krytyków literackich na Zachodzie, od szeregu lat czytuję Pański tygodnik, i często, wraz z moimi kolegami, podziwialiśmy zalety obiektywizmu i inteligencji w jego artykułach literackich. Stąd moje zgorzniecie gdy przeczytałem w numerze z 3 czerwca artykuł zatytułowany „Skandal w Formentor”, który jest nie tylko całkowicie niedokładny, ale pełen niemal niezrozumiałej złośliwości i złej woli. Pański korespondent nie miał oczywiście żadnych bezpośrednich informacji o przebiegu obrad w Formentor, gdzie pięćdzie-

sięciu krytyków literackich z dwunastu różnych krajów zebrało się celem przyznania międzynarodowej nagrody młodemu obiecującemu pisarzowi, i skutkiem tego wymyślił tajemniczy spisek polityczny oparty na skrawkach źle zrozumianych sprawozdań. Pozwoli Pan, że postaram się jego wersję sprostować.

„Chodziło o to, aby dać satysfakcję Niemcom...”. To po prostu nie-mądre. Przez kilka dni zebrani krytycy omawiali tuziny pisarzy i ich ostatnie powieści. Amerykańska powieściopisarka Carson McCullers cieszyła się silnym poparciem brytyjskiej delegacji. Kandydat francuskiej awangardy, Alain Robbe-Grillet, został ostro skrytykowany. Były kandydaty pisarzy japońskich i tureckich, a także Rosjan i Polaków. Jeśli w ostatecznym głosowaniu nagroda przypadła młodemu powieściopisarzowi niemieckiemu Uwe Johnsonowi, mogę Pana zapewnić, że nie miało to nic wspólnego z jego narodowością — najbardziej uderzającą cechą dyskusji jury, jak to zgodnie stwierdzili w swoich przemówieniach Angus Wilson i Alberto Moravia, był jej całkowicie międzynarodowy (nawet kosmopolityczny) duch.

„Melvin Lasky popierał młodych pisarzy niemieckich...”. „Nowa Kultura” podaje ten cytat z „Manchester Guardian” jako „mimowolne odsłonięcie tajemnicy”. Otóż nic podobnego. Każdy członek danej delegacji referował pewne ważne książki z obcej literatury. W delegacji francuskiej Roger Caillois mówił o Hiszpanach (i Południowych Amerykanach), zaś François Erval o Niemcach. W delegacji brytyjskiej, Angus Wilson mówił o Włochach i Skandynawach, Nigel Dennis o Amerykanach, ja zaś (jako wieloletni były redaktor „Der Monat” w Berlinie), o młodym pokoleniu pisarzy niemieckich. Twierdzenie, że „dostałem nagrodę” dla Uwe Johnsona jest absurdalne: nasza, brytyjska delegacja, głosowała jednogłośnie za Carson McCullers. Równie mylną jest teza, że istnieje coś dziwnego w udzieleniu nagrody „niemal nieznanemu pisarzowi”. Na tym właśnie polega nagroda. Podczas gdy Nagroda Nobla potwierdza sławę i dzieło literackie całego życia, celem Nagrody Formentor jest udzielenie zachęty młodemu i obiecującemu talentowi. Wszyscy czuliśmy się nieco zażenowani tym, że połowę nagrody udzielił mi w zeszłym roku Samuelowi Beckettowi, który jest oczywiście bardzo znany i w tym roku regulamin nagrody został usztywniony celem zagwarantowania nagrody młodszemu, mniej słynnemu pisarzowi.

Wreszcie, mam nadzieję, że zezwoli mi Pan łaskawie na szczere przedyskutowanie zarzutu, że ja, melodramatycznie określony jako „szara eminencja Wolnej Europy” w jakiś ponury sposób zorganizowałem to wszystko w celu „antykomunistycznej intrygi”. Nic nie mogłoby być odleglejsze od prawdy. Po pierwsze, całkowicie podzielał admiraację wyrażoną w „Nowej Kulturze” dla wielkiego talentu Günthera Grassa, i w moim referacie w Formentor nie tylko chwaliłem go bardzo wysoko, ale był on właśnie moim kandydatem do nagrody. Po drugie, wasza ocena „znaczenia politycznego” Uwe Johnsona jest całkowicie fałszywa. Prawdą jest, że opuścił on Niemcy Wschodnie dla Zachodnich, ale nie jest prawdą, że „ta kwalifikacja” przeważała szale”. Gdyby ktokolwiek w Formentor miał mieszać politykę do nagrody literackiej, „kwalifikacja” mogłaby być ewentualnie zagrać przeciwko niemu. Pana tygodnik jest zazwyczaj dobrze poinformowany i Pana redaktorzy powinni wiedzieć, że opinie polityczne Uwe Johnsona wywołały gwałtowne dyskusje w Niemczech Zachodnich, oraz że był on ostro zaatakowany w Parlamencie w Bonn przez samego von Brentano. Mieszanie polityki z literaturą napełnia mnie niesmakiem, ale gdybyście brali wasze teorie „zimnej wojny” na serio, mogliście opracować wersję, w której bym „intrygował”, z motywów wąsko ideologicznych, przeciwko „szacownemu neutraliście” Johnsonowi i za „burżuazyjnym dekadentem” Grassem. Jeżeli spiski, plotki, intrygi i skan-

dale istotnie interesują „Nową Kulturę”, mógłbym się zabawić w wymyślenie innej, bardziej prawdopodobnej wersji. Ale nie zawierałaby ona więcej prawdy od brudnej mitologii artykułu „Skandal w Formentor”.

Jak stwierdziłem powyżej, patrzę z podziwem na publicystykę kulturalną w polskiej prasie literackiej ostatnich kilku lat. Nawet nie zgadzając się z pewnymi jej tezami, szanuję jej głęboką i uczciwą dbałość o wartości literackie i moralne. Dlatego też mam nadzieję, iż we wspólnym nam duchu prawdy i sprawiedliwości zechce Pan znaleźć miejsce na wydrukowanie tego listu.

Yours sincerely.

Melvin J. LASKY

W odpowiedzi na ten list otrzymałem pismo następujące:

NOWA KULTURA

Warszawa, ul. Wiejska 12
Pan Melvin J. Lasky,

Warszawa, dn. 27.6.1962 r.

Potwierdzamy odbiór pisma i dziękujemy za cenne informacje. Niestety, nie zdołały one podważyć naszego zdania o tegorocznym Prix Formentor, wyrobionego na podstawie relacji w takich pismach, jak *Le Monde*, *L'Express*, *Manchester Guardian*, *France-Observateur*, *Observer*, które i Pan chyba uważa za rzetelne i dobrze poinformowane.

Listu, niestety, nie mogliśmy wydrukować ze względu na obelżywy ton, do którego nasi czytelnicy nie są przyzwyczajeni. Gotowi byłiby przypuścić, że to wszyscy Anglicy w ten sposób polemizują.

L. PRZEMSKI — Kier. Działu Zagranicznego

Treść powyższego listu nie wymaga chyba komentarzy. Przekazuję tę wymianę korespondencji do wiadomości czytelników „Kultury”, w nadziei, że dotrze ona również do niektórych czytelników „Nowej Kultury”.

Łączę wyrazy szacunku.

Melvin J. LASKY

(Od Redakcji „Kultury”: — Po otrzymaniu tego listu od redaktora *Encounter* zwróciliśmy mu uwagę, że wyrażenie „szara eminencja Wolnej Europy” oznacza, w języku „Nowej Kultury” *Radio*, względnie *Komitet Amerykański Wolnej Europy*. P. Melvin J. Lasky odpowiada nam: „Dziękuję za wyjaśnienie, choć dowiaduję się z rozczarowaniem, że jestem szarą eminencją nie całego kontynentu, a tylko amerykańskiej organizacji. Proszę Pana Redaktora o podanie w przypisku mojego listu, że nie łączy mnie, ani nigdy nie łączyły żadne związki z Komitetem czy Radiem Wolnej Europy”).

Berkeley, 30 lipca 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

List p. Jerzego Grobickiego w nr. 7/177-8/178 „Kultury” przeczytałem ze smutkiem i zdziwieniem. Na proste, ludzkie słowa Józefa Czapskiego w przedmowie do drugiego wydania „Nieludzkiej ziemi”, że wierzy w konieczność współzycia Polski i Rosji, p. Grobicki odpowiedział nie

tylko „uczuciem niesmaku” (co jest koniec końców sprawą jego osobistych gustów), ale i publiczną deklaracją swej nienawiści do Rosjan. Powołał się przy tym na starą zwrotkę o Moskalach, Lechitach i kościele Karmelitów, którą ja postawiłem na o wiele niższym poziomie niż wierszyk dla dzieci: „Kto ty jesteś? — Polak mały”. Już powołanie się na tę zwrotkę (uważaną zresztą przez samego autora listu za „zbyt naiwną”) nadaje całej wypowiedzi p. Grobickiego charakter wyłącznie emocjonalny, a więc niepoważny. Nie będę przypominał p. Grobickiemu, że ani autor tej piosenki, ani ci, co ją śpiewali, do nikogo przed kościołem Karmelitów nie wypalili, byli natomiast bici — nie przed kościołem, ale w kościele. Smuci mnie jednak i dziwi, że autor listu wypowiada nie tylko swoje nastroje (co każdemu wolno), lecz podobne nastroje całego społeczeństwa polskiego i że nastroje te aprobuje nawet „choćby to miało być wbrew... interesom narodowym”! Czy w zaślepieniu emocją można pójść dalej?

Ograniczenie ilości „dobrych Rosjan” do „paru”, jak to czyni p. Grobicki, jest po prostu zdumiewające. Każdy Polak, który Rosję i Rosjan poznał nie tylko ze strony więzień i łagrów, liczbę taką stokrotnie pomnoży. Ale nie o to chodzi. Pan Grobicki oskarża cały naród rosyjski o zbrodnię Katynia i wykrzykuje: czy to ludzie z innej planety mordowali Polaków w Katyniu? Tu dochodzimy do sedna legendy o tzw. „lepszych” narodach. Zapytam więc p. Grobickiego: czy ludźmi z innej planety, np. Marsjanami, byli funkcjonariusze Bezpieki, którzy zakatowali na śmierć mego przyjaciela, a ciało jego zwrócili żonie w zalutowanej trumnie zabraniając otwierania trumny? Czy Feliks Dzierżyński był Marsjaninem? Czy Marsjanin zamordował prezydenta Narutowicza? Czy Marsjanie wprowadzili i zamordowali gen. Zagórskiego? Czy studenci bijący drągami bezbronnych Żydów byli Marsjanami? Czy Marsjanie wybili oko Nowaczyńskiemu? Czy generał marsjański rozkazał oficerom marsjańskim katować bezbronnego prof. Cywińskiego na oczach żony i dzieci? Czy premier gen. Składkowski, który pojmując po swojemu szczytną zasadę *neminem captivabimus* udoskonalił Berzę, i jej kat naczelny Kostek-Biernacki byli Marsjanami? W swoim czasie Czapski słusznie pisał o „prawie dżungli”. Mieliliśmy jej po trosze i z prawa i z lewa i buszowali w niej bracia Lechici.

Jeżeli p. Grobicki zaprotestuje mówiąc, że zamordowanie Narutowicza i Zagórskiego oraz wyczyny „bezpiekowców” były to wypadki o osobno, nie masowe i że od pałek „narodowców” lub tortur w Berezie nikt nie umarł, odpowiem na to, że sadyta walący pięścią czy łagą człowieka słabego lub bezbronnego albo pastwiący się nad więźniami każąc im czyścić ustę gołymi rękami lub oddawać stolec na komendę *jest mordercą potencjalnym*. Gestapowiec lub enkawudysta mordowali, bo mieli taki rozkaz i byli pewni bezkarności. Umundurowany bohater wyprawy na prof. Cywińskiego lub oprawca w Berezie nie miał rozkazu mordowania, a tylko rozkaz znęcania się i bał się odpowiedzialności za śmierć katowanej ofiary. No a masowość czy jej brak jest kwestią ilości a nie jakości. W moich oczach kat-gestapowiec czy kat-enkawudysta zostaną utrwaleni w pamięci w krwawym świetle jakiegoś demonicznego ognia, za kata-Lechitę natomiast będą się tylko do śmierci rumienił.

I jeszcze jedno. Zarówno gestapowcy jak enkawudyści wypierają się swych czynów. Gestapowcy bronią się, że działali na rozkaz Hitlera; enkawudyści zwalają winę na Niemców. Milionowa emigracja rosyjska potępiła Katyń z oburzeniem, wstrętem i wstydem. A bracia Lechici? W chwili wybuchu wojny, a więc w czasie gdy chodziło o zjednoczenie całego narodu, premier Składkowski mianuje ober-kata Berezę Kostka-Biernackiego ministrem. A w szereg lat później, już na emigracji, tenże gen. Składkowski ogłasza artykuł broniący instytucji Berezę (*Kultura* nr 47 z r. 1951). A co

na to ogół Polaków na emigracji? Tych Polaków, o których pewien pisarz powiedział, że się brzydzą gwałtem, przemocą, użyciem siły fizycznej? Cóż — głosują na Sławoja Składkowskiego do „Akademii” „Wiadomości” oddając na generała równo tyleż głosów co na znakomitego pisarza Gombrowicza; zachwycają się jego wyglupianiem się w „kwiatuśkach administracyjnych”; chwala go za talent gawędziarski; słowem — głaskają po siwej głowce „dobrodusznego” sumiasto-wąsego Polonusa. Przeważają głosy: zapomnijmy o przeszłości! zapomnijmy o tym, co nas dzieliło, a lepiej snujmy wspólnie wizję lepszej Polski! (Dodam: i zapewne lepszej Berezji).

Czy to wszystko nie wywołuje u p. Grobickiego „uczucia niesmaku”?

Wspomniałem Dzierżyńskiego. Otóż nie dawno pewien publicysta polski napisał — chyba zartem — że Dzierżyński przysłużył się sprawie polskiej mordując dziesiątki tysięcy Rosjan. Nie posądzam p. Grobickiego, aby podzielał to zdanie, pragnę mu tylko przypomnieć, że Lenin, Dzierżyński, Stalin i towarzysze wymordowali ogółem nie setki tysięcy a dziesiątki milionów Rosjan. Ukraińcy w Winnicy mieli też swój „Katyń”. Może się nigdy nie dowiemy, ile takich „Katyniów” odbyło się na olbrzymiej przestrzeni imperium sowieckiego. Czy to Rosjanie mordowali Rosjan? Sądzę że mordercami byli po prostu *komuniści*, których pierwszą ofiarą padli właśnie Rosjanie. O tym warto pamiętać, a nie czepiać się rasistowskich teorii o lepszych i gorszych narodach.

Rozwodzenie się nad olbrzymim wkładem literatury rosyjskiej do kultury wszechświatowej, a więc pośrednio i polskiej, zajęłoby zbyt dużo miejsca. Pomijam też legendę o „duszy wschodniej” czy też „duszy rosyjskiej”, bo na temat cech wspólnych tych „dusz” z duszą polską można by było ciekawym tom napisać. Radziłbym tylko p. Grobickiemu zastanowić się na chwilę nad poziomem wymiaru sprawiedliwości w Rosji w okresie 1864-1917, a poziomem sądownictwa polskiego począwszy, powiedzmy, od sprawy brzeskiej.

Łączę wyrazy szacunku.

Michał K. PAWLIKOWSKI

Monachium, 7.7.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W rubryce Londyńczyka — *Kultura* nr 7/177-8/178, w rozdziale „Jewtuszenko w Londynie” przeczytałem świetnie sformułowane i doskonałe skomentowane uwagi o wizycie w Anglii i wypowiedziach tego młodego rosyjskiego poety.

Londyńczyk przytacza Jewtuszenkę, który mówi o wysokości nakładu ostatniej swojej książki w ilości 100.000 egzemplarzy, mimo, że autor nie jest członkiem partii, mimo, że atakuje biurokrację, dogmatyzm i szowinizm.

Londyńczyk dodaje, że są to wielkie i korzystne zmiany — bo dawniej biurokraci decydowali o nakładach książek. Dziś decyduje publiczność.

Ale w *Observer* ze z 27 maja Jewtuszenko wspomina Wozniesieńskiego — którego uważa, chyba bardzo słusznie, za jednego z najwybitniejszych współczesnych poetów rosyjskich. Stwierdza przy tym, że tomiki Wozniesieńskiego w Rosji dziś już są „białymi krukami”.

Czyżby ta sama publiczność, która sprawiła, że nakład tomu Jewtuszenki sięga cyfry 100.000 egzemplarzy — nie mogła wpłynąć na wydaw-

ców państwowych, by wznowili druk rozchwytych tomików Wozniesieńskiego?

Czy też „białe kruki” nie są czasem wynikiem rządowej polityki wydawniczej, bo przecież chyba nie wynikiem wpływu publiczności rosyjskiej?

Pytanie to nasunęło mi się spontanicznie i myślę, że nie weźmie mi Pan za złe, iż się nim z Panem dzielę.

Łącząc wyrazy poważania dla Londyńczyka pozostaję z wysokim szacunkiem.

Bronisław PRZYŁUSKI

Londyn 16.VII.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Pułkownik Tomaszewski polemizując z Pobóg-Malinowskim pisze w liście do Redaktora w nr. 177/8 „Kultury”: „...Rząd opuścił Warszawę nie 6 września, a 4 września...”

Pułkownik Tomaszewski myli się co do daty. Oto chronologia tych dni: 3 września, w niedzielę Anglia, a po południu Francja wypowiadają wojnę Niemcom. Wywołuje to radość i podniesienie nastrojów w stolicy.

4 września, w poniedziałek wywiezione zostaje z Warszawy złoto Banku Polskiego.

4 i 5 września opuszcza Warszawę korpus dyplomatyczny.

Dnia 5 września we wtorek, o godzinie 10 rano kardynał Hlond, jako Prymas Polski celebrytuje w katedrze św. Jana uroczystą Mszę św. za pomyślność oręża polskiego, w obecności rządu *in corpore*. Po nabożeństwie odbyła się Rada Ministrów w gmachu ministerstwa spraw wewnętrznych.

Dnia 6 września, w środę, ściśle biorąc w nocy na 7 września rząd opuszcza Warszawę udając się do Łucka.

Proszę Pana Redaktora o wydrukowanie mego listu celem stwierdzenia prawdy historycznej.

Z poważaniem.

SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI

Chicago, czerwiec 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Nie wiem, co Pan Redaktor „Kultury” zamierzał, lub chce przez to osiągnąć, że pozwolił sobie na zamieszczenie w majowym zeszycie „Kultury” „cuchnącego rodzyńka” p. M. Hłasko pt. „W dzień śmierci jego”.

W skali mniejszej, w tym odcieniu wyszczególniają się wprawdzie dość często pp. Łobodowski, Gombrowicz i inni poeci i pisarze, ostatni „kwiatuśzek” p. H. to już wyraźne postawienie czytelników wobec faktu, że dział *p o r n o g r a f i c z n y* w treści pisma również musi mieć swe prawo bytu.

Niestety bardzo mi przykro, ale przeciwko tego rodzaju — kolchozowemu potraktowaniu czytelnika — zmuszony jestem wyraźnie z a p r o - t e s t o w a ć. Drukowała „Kultura” wyjątki z książki p. Czesława Miłosza pt. „Zniewolony umysł”, ale na miły Bóg — parafrazując powyższy

tytuł — nie zniewalajcie Panowie dorosłych i niedorosłych czytelników do czytania nieoobycza jowej „szmiry”.

Czynie tę uwagę, jako stały prenumerator „Kultury” od 1952 roku, a po wtóre wydaje mi się w tym wypadku nie będę odosobniony. W moim pojęciu na tego rodzaju brutalną literaturę w piśmie „Kultura” nie ma miejsca, bo to ze słowem KULTURA nie koresponduje, a przeciwnie, uwłacza jej.

Jak kto smakuje i w czym, też jest objawem kultury, i jeśli redakcja ma zapotrzebowanie na tego rodzaju „pokarm duchowy” to może Redakcja stworzy jakiś fundusik i wyda tego rodzaju zeszytiki, ale już poza piśmie „Kultura”.

Z poważaniem

Kazimierz SZTERNAL

Londyn, 23.7.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o zamieszczenie poniższej treści w poczytnym piśmie Pana.

Życie płata nam często figle. Czasem bywają one humorystyczne i nieszkodliwe, częściej jednak są złośliwe i bolesne...

Nigdy w myślach czy w śnie nie „marzyłem”, że kiedykolwiek wy-czytam imię swoje w jakichś publikacjach. Tym większym było dla mnie zaskoczeniem, szokiem i oburzeniem, kiedy czytając o sobie w książce „Między Młotem o Swastykę” odnajduje siebie uśmierconym za bandytyzm. Otóż Żbik-Kołaciński, autor wspomnianej książki na stronie 260 pisze:

„...W stosunkowo krótkim czasie zapadły 3 wyroki śmierci... Strzelec „Śmigły” — notoryczne kradzieże... Mowa tu o mnie.

Nie mam pretensji do „chwały” ni do popularności, niemniej byłem żołnierzem Podziemia przez kilka lat i robiłem co mogłem. Byłem partyzantem, brałem udział w niejednej z walk i żyję zdrów i cały. Tu ni stąd ni zowąd autor książki umieszcza mnie wśród trupów i to z piętnem bandytyzmu.

Będąc w Chicago — przed pół rokiem — rozmawiałem z autorem bezpośrednio na ten temat. Pan Kołaciński obiecał sprawdzić i sprostować to...

Ponieważ nie uczynił Pan tego do dziś, przeto tą „drogą” zwracam się do Pana, Panie Żbik-Kołaciński z żądaniem wyjaśnienia tej tak ponurej dla mnie sprawy! Znając Pana i licząc na Jego prawość charakteru, wierzę, że uczyni Pan to bezzwłocznie, aby naprawić wyrządzoną mi przez Pana krzywdę moralną.

Łączę wyrazy poważania.

SMIGŁY

Nowy Jork, 1 VII 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z moim artykułem pt. „Studium stosunków polsko-sowieckich”, który ukazał się w czerwcowym numerze *Kultury* prosiłbym Pana o zamieszczenie pewnego wyjaśnienia i sprostowania. W rękopisie, który

przesłałem do redakcji, a następnie w korekcie używałem stale skrótu ZSRR (Związek Socjalistycznych Republik Rad), gdyż tego terminu jako oficjalnego skrótu nauczono mnie jeszcze w gimnazjum przed wojną w Polsce. Nie jest dla mnie jasne dlaczego redakcja uznała za właściwe zamienienia go wszędzie na skrót ZSSR. Nie kruszyłbym jednakowoż o to kopii, jakkolwiek uważam to za błąd. Jednakże korektorzy redakcji *Kultury* poszli moim zdaniem nieco za daleko zmieniając ZSRR na ZSSR w cytacie, który przytaczam z książki Z. Żaluskiego, na stronie 80. Nie chcąc być oskarżony o to, że samowolnie zmieniam cytaty, wzięte z wydawnictw krajowych będę wdzięczny Panu Redaktorowi za umieszczenie powyższego wyjaśnienia.

Łączę wyrazy prawdziwego szacunku.

Piotr WANDYCZ

Genewa, 1 lipca 1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przeczytałem w czerwcowym numerze „Kultury” osiem stron „fragmentu z dziennika” Gombrowicza. Wiem, że Panowie — pięknie mówiąc — lansują go wielce.

Nie wiem jednak dlaczego zalecają mi Panowie, jako Redakcja „Kultury”, której każdą stronę czytam, czytanie tego „belkotu nocy niedzielnej”. Nie wiem czy jestem tak upośledzony, w każdym razie absolutnie nie rozumiem, co przeczytanie tych ośmiu stron mi dało i dlaczego to jest literatura.

Może znajdzie Pan Redaktor jakiś kącik w swym piśmie, aby wytłumaczyć to zgnębionemu czytelnikowi.

Łączę wyrazy szacunku.

Aleksander WASUNG

Bankstown, (Australia) 20.6.1962 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze 4/174 1962 r. „Kultury” w Listach do Redakcji p. gen. St. Skwarczyński, między innymi napisał: — „Rada Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie stwierdza, że prace piśmiennicze p. Władysława Pobóg-Malinowskiego nie mogą być w żadnym razie związane z instytutem”. — Nikt chyba co do tego nie ma nawet najmniejszych wątpliwości?

Dalej w swym liście Pan General pisze: „Wobec tego, że wielu członków Instytutu, a wśród nich większość członków Rady (ale nie wszyscy — przypisek mój) zapatruje się krytycznie na poglądy historyczne p. Wł. Pobóg-Malinowskiego, a w szczególności na jego charakterystyki nie żyjących już dziś w większości czołowych postaci obozu Piłsudczyków, Rada Instytutu uznała za wskazane powzięcie przytoczonej uchwały, a ja jako Prezes Instytutu, podanie jej do wiadomości publicznej”.

Na mnie osobiście, wypowiedzi powyższe wywierają wrażenie odwrotne niż to było zamiarem p. gen. St. Skwarczyńskiego, gdyż pozwalam sobie wnioskować, rozumując logicznie, że w Instytucie są dwa poglądy co naj-

mniej — jeśli nie więcej i nie wiadomo w takim razie, który z nich jest zgodny z prawdą historyczną.

Czytając Najnowszą Historię Polityczną Polski tom II Władysława Pobóg-Malinowskiego i wspominając fakty przez niego opisywane odnosi się wrażenie całkowitej bezstronności wywodów p. Pobóg-Malinowskiego, a przecież tylko tego pragniemy od historyka — *bezstronności*.

Stwierdzam, że bezstronność nie istnieje w Instytucie Józefa Piłsudskiego, bo gdzie są głosy za i przeciw, to któryś z nich musi nie być zgodny z prawdą czyli stronniczy.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego szacunku.

Kamil ZADEMSKI

ERRATA

W artykule pt. „Gospodarka uspołeczniona w Austrii” w poprzednim numerze „Kultury” na str. 169, wiersz 2 od góry, po wyrazie „motywację” należy wstawić wyraz „polityki”. Na dole str. 174 należy wstawić opuszczone przez pomyłkę drukarską trzy wiersze:

„laurach — nie tylko dlatego, że przyrost ludności i pęd do podnoszenia poziomu życiowego wymagają (jak wszędzie) wzrostu produkcji i tworzenia nowych miejsc pracy, ale także dlatego, że w ustroju demokratycz-”

W książce Bernarda Singera pt. „Od Witosa do Sławka” (Tom LXXIX „Biblioteki Kultury”), na str. 291, w 19 wierszu od góry zamiast „skrajnie antyniemiecką” powinno być „skrajnie antysemicką”.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE,
91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)
Directeur-gérant: Jerzy Giedroyc.

Dépôt légal: 3^e trimestre 1962

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, Av. de Poissy, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Telefon: 962 19-04

PREZSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Janusz Kruszynski, 54, 15th St., Parkhurst, Johannesburg	55 cent. (5 sh. 6 d.)	3,10 rand (31 sh.)	6 rand (60 sh.)
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	7 sh. (a)	£.A.2.0.0.	£.A.3.15.0
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 116, rue Joseph-II, Bruxelles 4, Nr konta pocztowego 7315-20..	45 fr. b.	240 fr. b.	450 fr. b.
BRAZYLIA : Julia Barcinska, rua Maria Angelica 367, ap. 301 (Jardim Botânico), Rio de Janeiro; Seweryn A. Hartman, rua Barao de Itapetinga 221, s. 1203, Cxa Post. 6335, Sao Paulo. J. Orciuch; Moveis Cimo S/A, Departamento de Vendas, Caixa Postal 13, Curitiba, Parana.		5 dol. am.	9 dol. am.
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w Księgarniach polskich w Paryżu.	3,50 NF	19 NF	37 NF
HOLANDIA : T. Szpilczyński, Ruysdaelkade 5 Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr Konta pocz. 13500 — t.b.v.S. 6538	3 fl. hol.	18 fl. hol.	34 fl. hol.
IZRAEL : « Sifri-Holon », Stanislaw Wytrzyk, Holon, Sokolow Nr. 40	3,85 NF	21 NF	41 NF
KANADA : M. Jaxa-Debicka, 221 Howard Park Av., Toronto 3, Ont. lub c/o Polish Voice, 1089 Queen St. W. Toronto Ont., K. Krakowska, 2318 Hingston Ave. N.D. de G., Montreal/Queb., Tél.: HU 8-5224; H.R. Radomski, 55 Ridge Drive, Toronto 7, Ont. Tél.: HU 9-0829; M. Król, 637 Kent Road, Winnipeg, Man.; « Zwiaskowiec », 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tél.: LE 1-2491; W.T. Drymmer, 31 Argyle Ave., Ottawa, Ont., Tél.: LE 33407.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
MEKSYK : Victor Stanislawski, Av. Libertad 1350, dep. 1, Guadalajara, Jal. Tél. 49855	1 dol.	5 dol.	9 dol.
NIEMCY : St. Milkiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1	4.- DM	22 DM	40 DM
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss.	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
SZWAJCARIA : Mario Wasung, 6, rue des Lilas, Genève. Tél.: 33 34 20, Nr konta poczt. 1.14431	3,50 fr. s.	22 fr. s.	40 fr. szw
SZWECJA : Red Norbert Zaba, Kalkskärsgatan 3/IV Stockholm	5 kor.	25 kor.	45 kor.
U. S. A. : W. Bienkowski, 738 Hampton Avenue, Schenectady, N.Y.; S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y.; L. Dudarew Ossetynski, 143, 16-th street, Brooklyn 15, N.Y.; S. Dziarczykowski, 4009 W., 23rd St., Los Angeles 18, Cal.; M.K. Dziewanowski, 41, Katherine Rd., Watertown, Mass.; T. Konopacki, 1253 Hathaway Av., Cleveland 7, Ohio. Tel. LA-1.2305; Ch. M. Kretowicz, 6947 Oregon Ave., La Mesa-San Diego, Cal.; V.B. Kwast, 376 Wallingford Terrace, Union, N.J.; Polish Amer, Book Co, 1136 Milwaukee Av., Chicago 22, Ill.; E. Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo 12, N.Y.; Praca, 2419 Memphis St., Philadelphia 25, Pa.; The Polish Book Importing Co, Inc., 156 Fifth Ave., New York 10, N.Y.; K. Trojanowski, 124 Hellstrom Rd. East Haven, Conn. R.J. Sas-Babczynski, 12932 Shackelford Lane, apt. 6, Garden Grove, Cal. Jan Wojcik, 153 Broad Street, New Britain, Conn., A. Wisniewski, 1029 Cuba St., Toledo 17, Ohio, Jan Zych, 6428 Morse, Detroit 10, Mich. Tél. TA-5-6740.	1 dol.	5 dol.	9 dol.
W. BRYTANIA : « Gryf » Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11	5 sh. 6 d.	31 sh.	60 sh.
WLOCHY : Prosimy o przekazywanie prenumerat czekiem lub przekazem pocztowym.	500 lires	2.800 lires	5.000 lires

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 2 NF półrocznie i 4 NF rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 0,35 NF.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi,
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.) — C.C.P. PARIS 18.228-56

Zapowiedzi wydawnicze

MILOWAN DŻILAS

ROZMOWY ZE STALINEN

w przekładzie Adama Ciołkosza



WITOLD GOMBROWICZ

DZIENNIK

T. II



TOM LXXX · BIBLIOTEKI « KULTURY »

II-gi

ZESZYT HISTORYCZNY

zawierający m. in:

Bazyli Rogowski:

Ostatni okres życia marszałka Rydza-Smigłego

Nieznane listy marszałka Piłsudskiego

Cena ZESZYTU w sprzedaży: 15 NF (22/-; dol. 3)

w prenumeracie o połowę taniej.